SĄD NAD FRANKIEM

TAK ZARABIA SIĘ NA DZIECIACH

JEZUS DLA NIEWIERZĄCYCH

BEYONCÉ: DIWA NA ŻYWO

Kraków 25 czerwca 2023 nr 26 (3859) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Jakie mamy wybory

JAROSŁAW FLIS O NADZIEJACH I SZANSACH OPOZYCJI

MAGAZYN CONRAD
23 EKSTRA STRONY O KSIĄŻKACH

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

WYDAWNICTWO WAM POLECA

Koniec świata chrześcijańskiego
Chantal Delsol

Wybitna francuska filozofka i pisarka Chantal Delsol napisała esej na ostrzu noża. Poruszając palące tematy: problem pedofilii w Kościele, kryzys wiary, przemiany obyczajowe, udowadnia, że Europa zmieniła się głębiej niż twierdzą publicyści.

Rozeznawanie. Boży głos w sercu
Papież Franciszek
tłumaczka:
Agnieszka Dywan, LEV

Papież Franciszek, uczeń św. Ignacego z Loyoli – mistrza wnikliwości – pyta o to, jak słuchać Boga, który mówi do ludzkiego serca.

wydawnictwowam.pl

ZAMÓWIENIA
KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zakupie od **99 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

MANDO inside

to książki, które mają łamać stereotypy, dowodzić, że szukanie pomocy u specjalisty to żaden wstyd, i ułatwiać wykonanie pierwszego kroku.

Męska depresja. Jak rozbić pancerz
Krzysztof Krajewski-Siuda,
Szymon Żyśko

O być może najpoważniejszej chorobie naszych czasów – jak mówi się powszechnie o depresji – otwarcie i bez klisz rozmawiają Szymon Żyśko, dziennikarz, który sam się z nią zmagał, oraz prof. Krzysztof Krajewski-Siuda, ceniony psychiatra i psychoterapeuta. Wspólnie odkrywają mechanizmy depresji u mężczyzn i tajniki pracy nad jej zwalczeniem.

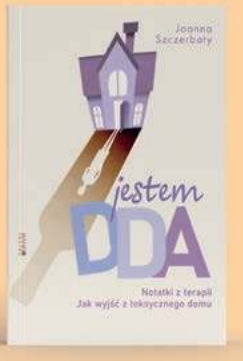

Jestem DDA. Notatki z terapii. Jak wyjść z toksycznego domu
Joanna Szczerbaty

Kim są Dorosłe Dzieci Alkoholików? Czy można wyjść ze złego domu i być szczęśliwym? Joanna Szczerbaty od lat pomaga osobom wychodzącym z domów alkoholowych. Słuchając osób w terapii stworzyła poruszającą historię o domu złym i powolnym, ale skutecznym wychodzeniu z niego, o traumach, bólu dorastania i wysiłku powrotu do normalnego życia.

empik salony / online / aplikacja

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Jezus i cała reszta*

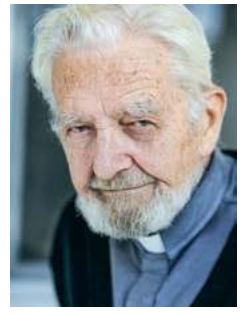

Przyznaję: nie czytałem żadnych prac franciszkanina Richarda Rohra, o którego książce pisze w tym numerze Piotr Sikora. Wiem, ukazały się w Polsce, nadrobię. Ale poruszyła mnie w artykule Piotra sprawa dorabiania i przerabiania nauki Jezusa. No i roszczenie chrześcijaństwa, że „w swej konkretnej postaci posiada pełnię boskiej prawdy". Powiem tylko, że w moim przekonaniu zasada Cypriana z Kartaginy „extra Ecclesiam nulla salus" (poza Kościołem nie ma zbawienia) już dawno utraciła siłę wykluczania nienależących do Kościoła ludzi z grona ewentualnych zbawionych. Nie w tym tkwi jednak istota krytyki zawartej w książce Rohra i w tekście Sikory.

Sam Kościół katolicki subtelnie się wycofuje z pewnych twierdzeń, które głosił. Wystarczy porównać nauczanie Soboru Watykańskiego II z praktyką licznych kar kościelnych nakładanych na systemy ustrojowe. Odnosi się wręcz wrażenie, że Sobór pochwala formy, które uprzednio były potępiane. Ale mniejsza o Sobór. Weźmy odpusty. Znam wyjaśnienia stojące za przyznawaniem stu dni odpustu czy odpustu zupełnego i pytam, gdzie w nauce Pana Jezusa mają one oparcie (nie wspominając o sprzedaży odpustów, żeby zdobyć fundusze na budowę bazyliki św. Piotra i o innych tego typu historiach). Dziś o odpustach mówi się mało lub wcale, co nie znaczy, że nauka o nich nie trwa i nie jest wciąż ważna.

Zostawmy jednak odpusty i idźmy ku ważniejszej sprawie: władzy, czy jak kto woli, kompetencjom następców św. Piotra. Nawet przyjąwszy, że w zamyśle Jezusa tacy następcy się pojawili, to już ich kompetencje na pewno nie były przez niego określone. Gdy świadomi tego śledzimy rozwój władzy Piotrowej, musimy się zatrzymać na jej wzroście, zawsze odwołującym się do Piotra. Nie mówię tu już nawet o władzy ziemskiej, feudalnej, budowanej na wzór innych suwerenów, ale o tej duchowej, odnoszącej się do spraw ściśle religijnych. W miarę czasu opatrzyliśmy nauczanie (władzę) następców Piotra w przywilej nieomylności, co oczywiście sprowadziło mnóstwo kłopotów z ustalaniem, które wypowiedzi należy traktować jako nieomylne, a które jako zwyczajne – czyli omylne.

Zgoda, jakoś trzeba było zorganizować rosnący Kościół. W tych poczynaniach decyzjom ludzkim towarzyszył, jak ufamy, Duch Święty, choć gdy np. przyjrzeć się rozmaitym tytułom i stopniom hierarchicznym, można nabrać wątpliwości, czy na pewno wszystko odbywało się pod tchnieniem Ducha. Ale nawet to można jakoś znieść – zwłaszcza że zmiany, choć powoli, to jednak tu następują: widziałem biskupów brazylijskich, którzy właściwie nie przypominają hierarchów europejskich.

Jednak spojrzenie Rohra idzie dalej. Kluczowe wydaje się odrzucenie przez niego postrzegania „śmierci Jezusa w kategoriach sprawiedliwości retrybutywnej – jakiejś konieczności odpłaty za zło". Nieco dalej czytamy: „Droga zbawienia – naprawy świata – nie może się posługiwać mechanizmem kozła ofiarnego, czyli zrzucaniem winy na konkretne grupy czy osoby. Właściwy sposób radzenia sobie z cierpieniem jest zupełnie inny".

Nie jestem tak szalony, żeby podejmować polemikę czy to z ojcem Rohrem, czy z moimi wspaniałymi profesorami teologii dogmatycznej, ale trudno mi nie przyznać, że to zdanie zdjęło ze mnie ciężar, który dręczył mnie przez całe życie. Wielkość tego autora polega na tym – jak pisze Piotr Sikora – że „mierzy się on z rzeczywistością, której nie da się wyczerpująco przedstawić".

Chrześcijaństwo istnieje ponad dwa tysiące lat. Nawet wierzący w nadprzyrodzoną opiekę nad czystością wiary muszą przyznać, że obrosło ono różnymi obyczajami i przekonaniami, które niewiele mają wspólnego z Chrystusem. Nie byłoby w tym nic groźnego, gdyby nie to, że wiąże się je z Chrystusem, jednocześnie nie wiążąc z Nim tego, co niewątpliwie wynika z Jego słów. Mówiąc inaczej – padamy na twarz niby przed Chrystusem, w gruncie rzeczy omijając Go i oddając cześć sobie samym lub sobie nawzajem.

Autorzy tacy jak Richard Rohr kwestionują w nas, chrześcijanach, różne nawyki myślowe, które może i ułatwiają nam życie, ale niekoniecznie wiążą się z Ewangelią Pana Jezusa Chrystusa. Ludźmi, którzy rzeczywiście weszli na drogę Ewangelii, są święci: brat Albert, który zajmował się biednymi, męczennicy z hitlerowskich obozów, dawni lub niedawni święci, często nierozumiani, brani za dziwaków. Bez nich cała debata wisiałaby w powietrzu.

Ludzie święci – mam wrażenie – umieli rozróżnić rzeczy istotne od drugo- i trzeciorzędnych. Obyśmy i my potrafili. ©℗

Księdzu Adamowi Bonieckiemu

wszelkich łask Bożych na dalsze lata posługi kapłańskiej w 63. rocznicę święceń

życzą

przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Sąd nad frankiem
MAREK RABIJ
Po 27 latach obecności franka szwajcarskiego w polskim życiu – czas na bilans.

WYBORY 2023

20 Pułapka dwóch biegunów
JAROSŁAW FLIS
Czy Polacy zdecydują się na zmianę władzy.

36 Uniwersalny Jezus
PIOTR SIKORA
Jak konkret każdego życia łączy się z boską podstawą całego świata? Dla Richarda Rohra odpowiedzią jest Chrystus, ale nie zawłaszczany przez chrześcijaństwo.

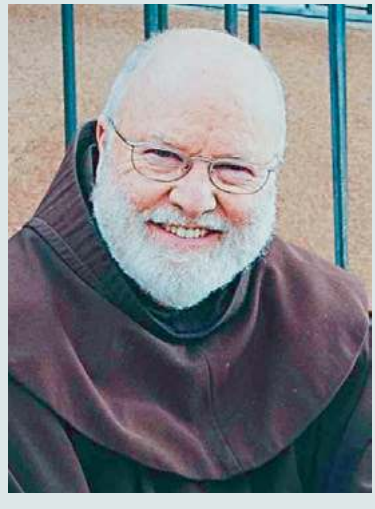

42 Plecak pełen kamieni
ROZMOWA Z ALISĄ KOWALENKO:
Przebywanie na froncie otwiera różne zakamarki duszy. Czasami trudno znaleźć nadzieję i radość.

56 Jak odbudować tamę
ROZMOWA Z DANIELEM PETRYCZKIEWICZEM:
Lata pracy w korporacjach nauczyły mnie, jak z nimi wojować w obronie przyrody.

90 Diwa na żywo
ANNA GACEK
Uczta Beyoncé dotarła do Warszawy.

JOANNA BOROWSKA / FORUM // TOMASZ GRZYB / FORUM // ARCHIWUM PRYWATNE // KEVIN MAZUR / GETTY IMAGES // JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // MATERIAŁY PRASOWE WHITAKER HOUSE

6 Gdy ofensywa utyka
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

31 Tygodnik Czytelników

KRAJ

20 Pułapka dwóch biegunów
JAROSŁAW FLIS

24 Ciężko chora rzeka
ROZMOWA Z ILONĄ BIEDROŃ: *Odra krzyczy od roku: „Umieram!”*

27 Czasem mamy dość
ANNA GOLUS: *Rodzice polskich kidfluencerów zrobili z nich źródło dochodu*

WIARA

32 Komisja ostatniej szansy
TOMASZ TERLIKOWSKI: *Ważą się losy niezależności komisji badającej przypadki nadużyć seksualnych wobec małoletnich w polskim Kościele*

36 Uniwersalny Jezus
PIOTR SIKORA

39 Kto daje i odbiera
KAROL KLECZKA: *Dom dla chłopców, prowadzony przez dominikanki w Broniszewicach, potrzebuje naszego wsparcia*

ŚWIAT

42 Plecak pełen kamieni
ROZMOWA Z ALISĄ KOWALENKO

46 Duch Berlusconiego krąży po Europie
PAWEŁ BRAVO: *Magnat włoskiej polityki i mediów zbudował nieodgadnioną dla naukowych narzędzi więź z co najmniej połową narodu*

MARCIN WOLNY / FESTIWAL CONRADA

69 Michał Paweł Markowski o migracji

74 Karolina Rakowiecka-Asgari o Maryam Madjidi

77 Małgorzata Szczurek o Nagrodze Goncourtów

81 Tomasz Pindel o Nonie Fernández

84 Rozmowa z Martínem Kohanem

87 Sylwia Chutnik o Sofi Oksanen

FELIETONY
30 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 WOJCIECH BONOWICZ
61 JACEK PODSIADŁO **104** OLGA DRENDA
105 PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK ZALEJSKI
ZDJĘCIA: BEATA ZAWRZEL / REPORTER // JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

49 Pamiątki po Escobarze
DOMA MATEJKO, KRZYSZTOF STORY: *Król kokainy sprowadził do Kolumbii hipopotamy*

HISTORIA

52 Jak Piast pogromił Sasów
MARIUSZ SAMP: *Tysiąc lat temu pierwszy władca Polski pokonał najsilniejszą ówczesną armię*

Z ODDECHEM

56 Jak odbudować tamę
ROZMOWA Z DANIELEM PETRYCZKIEWICZEM

NAUKA

62 Cudak z trąbą
MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI: *Dzieje suhaka na stepach Ukrainy*

65 Przypadki Kathleen Folbigg
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Dzięki naukowcom skazana za zabójstwo dzieci Australijka wyszła na wolność*

KULTURA

90 Diwa na żywo
ANNA GACEK

94 Tkanka życia
BARTOSZ SADULSKI *o twórczości Cormaca McCarthy'ego*

97 Kobiety, które ośmieliły się rzeźbić
PIOTR KOSIEWSKI: *Otwarto wystawę Camille Claudel*

100 Lek na islamofobię
ANITA PIOTROWSKA *o „Chłopcu z niebios” w reżyserii Tarika Saleha*

101 Wywoływanie ducha
LEKTOR *o książce „Była sobie kiedyś” Yael Neeman*

ZMYSŁY

106 Pomarańcze z Kolymbetry
DOROTA KOZIŃSKA *o ogrodach w sycylijskiej Dolinie Świątyń*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć w weekend
Występy drag queens ciągle budzą u nas skrajne, niekoniecznie pozytywne emocje. A co dopiero w jesieni życia – ANITA PIOTROWSKA poleca filmy i seriale na VoD | **tygodnikpowszechny.pl/weekend**

Miesiąc w nauce [Podkast]
Jak stworzyć hodowlany tłuszcz do mięsa in vitro? Czym są latawce z epoki kamienia? – na przegląd wydarzeń naukowych zaprasza ŁUKASZ LAMŻA | **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

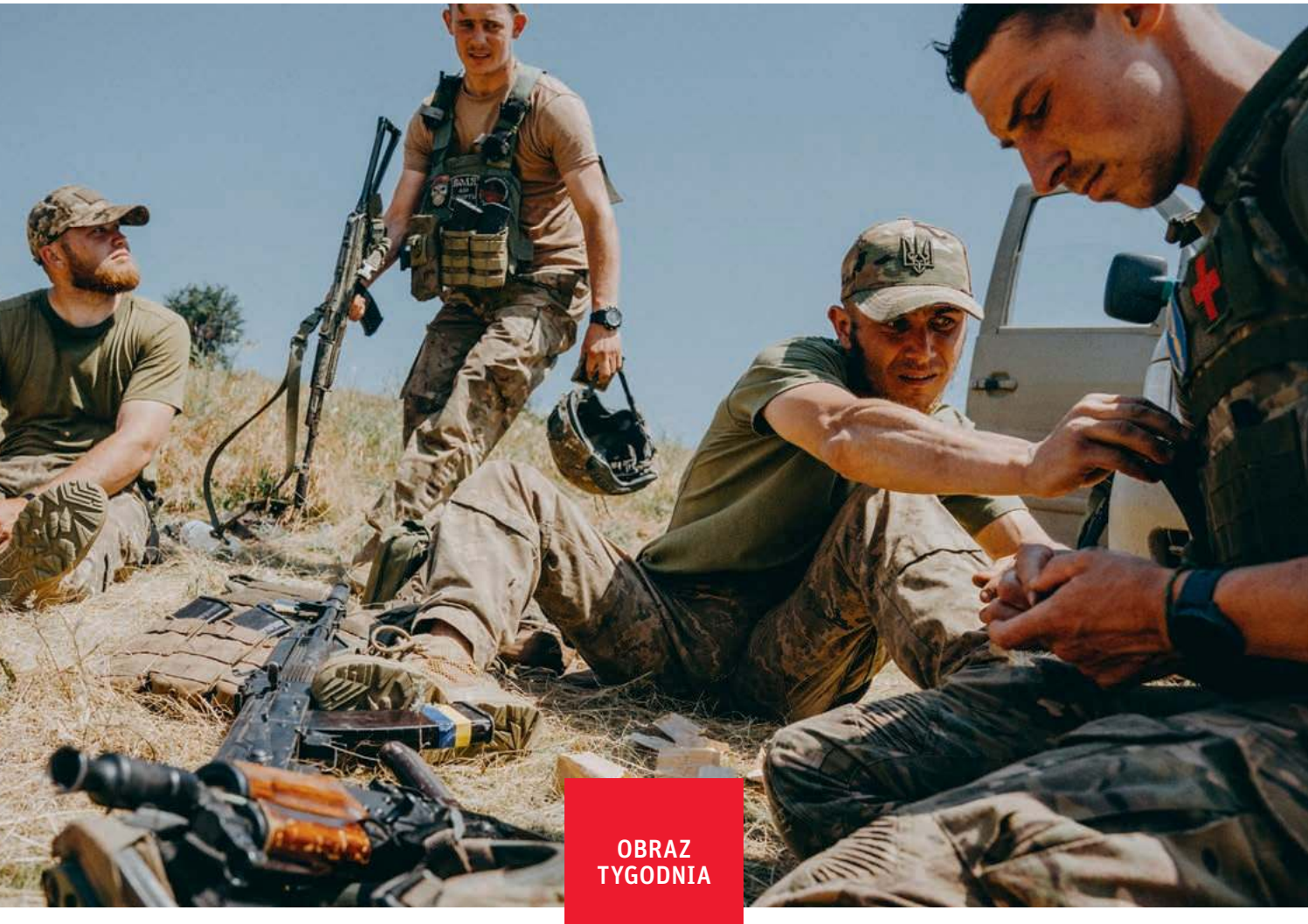

OBRAZ TYGODNIA

GDY OFENSYWA UTYKA

Nawet jeśli ukraiński kontratak nie uda się, nie powinno to podważyć woli oporu i przetrwania. Społeczeństwo dostosowało się do realiów długotrwałej wojny. Widać to zwłaszcza nad Dnieprem i w Donbasie.

WOJCIECH PIĘCIAK
Z CHERSONIA I KRAMATORSKA

POWYŻEJ:
Przed bitwą: ukraińscy żołnierze z 80. Brygady Desantowej w obwodzie donieckim, 18 czerwca 2023 r.

Leżały rozrzucone po placu przed dworcem kolejowym. Auta hamowały, omijały je. Ale nie, nie były martwe: jedno właśnie drgnęło, dźwignęło się w stronę przechodzącego człowieka. Za nim kolejne. Nie były napastliwe. Tylko podchodziły, z nadzieją. Otrzymawszy cokolwiek, oddalały się, by połknąć dar z dala od spojrzeń towarzyszy.

Bezdomne zwierzęta: w Chersoniu, gdzie kilkadziesiąt tysięcy ludzi żyje na linii frontu, jaką wyznacza tu rozlany szeroko Dniepr, są wszędzie. Gdy po wysadzeniu tamy powódź zalała dolną część miasta i nabrzeżne wsie, liczba zdanych na siebie zwierząt domowych wzrosła drastycznie.

Kilka psów mieszka pod zadaszeniem koło cerkwi przy ul. Wiśniowej. Tę malutką świątynię ks. Jurko zbudował wraz z parafianami. Była to pierwsza w mieście parafia autokefalicznej Prawosławnej Cerkwi Ukrainy. Z brzydkich pustaków, nie jest piękna. Ale ludzie widzą, jak Jurko żyje: że co dostanie, oddaje dalej i jeździ starym kombiakiem. Dziś cerkiew służy też za magazyn pomocy humanitarnej. – Ojcze, macie wodę? – pyta kobieta z torbą na kółkach. – Jutro o dziewiątej będzie – mówi Jurko. Furgonetkę z pomocą, którą tu przywieźliśmy (połowę dla jego parafii, połowę dla rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi) rozdzieli także po zalanych wsiach. Popłynie tam łodzią motorową, która je-

chała z nami na przyczepie z podkrakowskich Bolechowic.

– Nawet jeśli domy zalało po dach, ludzie nie chcą odejść. Czekają na poddaszu, aż woda opadnie – mówi Mychaiło, także ksiądz prawosławny, który właśnie odbiera od Jurka pomoc. Pod wodą jest wyspa, gdzie mieszka w bloku koło zakładu Naftohavan (południowe dzielnice leżą na takich wyspach). Wspomina, jak ratował psy i sprzęty liturgiczne. Ludzie nie chcieli się ewakuować. Dopiero gdy fala podeszła do pierwszego piętra, zaczęli przenosić się wyżej lub do innych dzielnic. Twierdzi, że wtedy Rosjanie, widząc ruch, zaczęli ostrzał z moździerzy: – Były ofiary.

Te są tu niemal codziennie. Gdy 3 maja rakiety Grad spadły na otwarte znowu markety Epicentr i ATB, parędziesiąt osób zginęło lub odniosło rany. Na to trudno zobojętnieć. Ale skoro nie można tego zmienić, trzeba jakoś z tym żyć. – Jak woda zejdzie, ludzie będą suszyć domy – przekonuje Mychaiło (nie dodaje, że to nie będzie proste: większość młodych i w średnim wieku opuściła 300-tysięczne kiedyś miasto, sprzątanie spada więc na starszych).

Gdy zaczęła się inwazja, Mychaiło z żoną uznali, że zostają. Tylko córkę i syna wysłali do krewnych w centrum kraju. Przetrwali okupację i zimę, przetrwają i to. – Mamy już pompę – mówi Mychaiło. A prąd? – Jest generator – krótki uśmiech. Pompy szambowe, przemysłowe osuszacze: tego trzeba. Ale nim zaczną suszyć, teren sprawdzą saperzy. Powódź ogarnęła pola minowe, własne i wroga, miny mogą być wszędzie. Gdy napłynie na nie np. niesione falą drzewo, eksplodują.

Jeśli więc ukraińska armia planowała także atak przez Dniepr, musi z tego zrezygnować. A Rosjanie mogą przerzucać stąd siły do obwodu zaporoskiego i zachodniej części donieckiego, gdzie kontratakujący próbują przerwać ich pozycje. Choć nagłaśniają każdy lokalny sukces, dotąd odbili niewiele. To nie jest coś, czym Rosjanie musieliby się niepokoić. Za to straty własne, jak słychać, są dotkliwe. Także w zachodnim sprzęcie – szef estońskiego wywiadu ocenia, że utracono 10 proc. tych zasobów.

Na polach minowych utknęła idąca w szpicy 47. Brygada – uchodząca za jedną z najlepszych w armii, dowodzona przez ppłk. Ołeksandra Saka (najmłodszego dowódcę brygady, uważanego za mistrza taktyki), a sformowana w 2022 r. z samych ochotników jako autorski projekt jej legendarnego sierżanta-szefa Walerego Markusa, weterana, blogera i pisarza (mówi się, że sam selekcjonował nawet szeregowych). To ich leopardy i bradleye miały płonąć na dostępnych w sieci nagraniach.

Z „otuliny" armii można usłyszeć: to nadal rozpoznanie walką, główne siły nie weszły do boju; nie ma co oczekiwać szybkiego przełamania; Rosjanie mieli czas, by założyć wielkie pola minowe; lepiej nastawić się na mozolne wgryzanie się w ich pozycje.

Ostrożność – w postępowaniu i komentowaniu – można zrozumieć. Pewien zachodni generał ujął to prosto: Ukraińcy mają tylko „jeden strzał". Jeśli zużyją siły bez efektów, nie będą mieć szansy na kolejną strategiczną ofensywę, bo zabraknie i sprzętu, i ludzi gotowych ryzykować. Weterani już skarżą się, że wielu żołnierzy z mobilizacji to lichy materiał ludzki. – Siedzą w okopie, atakuje ich pięciu Moskali na krzyż, a oni zaraz wołają o wsparcie artylerii – mówi ktoś.

Co, jeśli ofensywa się nie uda? Za wcześnie, by rozważać skutki polityczne (czy na Zachodzie nasili się oczekiwanie, by Kijów podjął negocjacje bez żadnych warunków) i militarne (czy nastanie pat strategiczny: obie strony okażą się za słabe, by uzyskać swoje cele, ale za silne, by przegrać). Za to gdy jedzie się przez kraj i rozmawia, widać, że społeczeństwo dostosowało się do realiów długotrwałego konfliktu. Jeśli nie uda się odbić okupowanych ziem, nie powinno to podważyć woli oporu i przetrwania. Czy też: trwania, ile by Rosjanie nie wypuszczali co noc rakiet i dronów.

Choć w Krzywym Rogu flagi opuszczone – rakieta spadła na blok, zabiła kilkunastu ludzi, trwa oficjalna żałoba – w słoneczne popołudnie miasto tętni życiem. Na ulicach tłumy idą za swymi sprawami, kawiarnie pełne. Co nie znaczy, że nie ma huśtawki emocji. Czasem też ktoś wywoła w sieci dyskusję, gdzie jest granica: np. czy wypada tańczyć w dyskotece, skoro na kierunku bachmuckim i zaporoskim chirurdzy ze „stabpunktów" (punktów stabilizacyjnych) łatają jak przy fabrycznej taśmie poharatanych ludzi. Jedni dyskutanci są rygorystyczni. Inni twierdzą, że tańczyć trzeba, by zachować psychiczną równowagę.

Dostosowanie może przybierać postaci upiorne. Na wolontariuszce z Donbasu, która wiele widziała, wrażenie zrobiło, gdy rakieta spadła na budynek przy jej ulicy. Niedaleko grupa ludzi czekała na przystanku. Nie rzucili się na ziemię, nie rozbiegli, ale też nie rzucili się ratować. Stali i patrzyli. – To trochę jak z covidem: choć codziennie umierali ludzie i także ciebie mógł trafić wirus, trzeba było żyć – szuka ktoś porównań.

Lekarz z Kramatorska w obwodzie donieckim – 20 km od frontu, w zasięgu artylerii – twierdzi, że do miasta wraca wielu z tych, którzy wcześniej uciekli. Choć alarm przeciwlotniczy trwa czasem przez większość dnia, na ulicy życie toczy się swoim rytmem, nikt nie biegnie do schronu. Pracują sklepy, w barach z szybkim jedzeniem pełno. Że to nie Lwów, świadczą wszechobecne mundury, ruiny i okna zakryte płytą pilśniową, by podmuch eksplozji nie wybił szyb.

Także w Chersoniu pilśnia jest wszechobecna. W budynku (niezalanym), gdzie siedzibę ma stowarzyszenie rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi „Centrum Sofia", trwa też remont piwnicy, która służy za schron. Lepiej nastawić się na długie trwanie. ©℗

Tekst ukończono 18 czerwca

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI / AFP / EAST NEWS

OLGA CYLINKO

WOJCIECH PIĘCIAK

Chersoń: wojna, okupacja, powódź

– Jestem bezdomna – mówi. Dotąd sądziła, że sobie radzi. Mają tu własny świat: w stowarzyszeniu „Centrum Sofia", które utworzyła 13 lat temu, a w którym są rodziny z niepełnosprawnymi dziećmi (dominuje model samotnej matki), dawali sobie nawzajem oparcie. Także dlatego stąd nie uciekli.

Olga Cylinko, samotna matka 19-letniej Sonii i 16-letniego Nazara (z autyzmem) myślała, że powódź to kolejna najgorsza rzecz, jaka ich spotyka – jakby mało było wojny i okupacji. Teraz sądzi, że najgorsze znów przed nimi: gdy ludzie wchodzą do domów i stają bezradni wobec zniszczeń. Jej dom zalało po dach.

Gdy ma chwile zwątpienia, myśli: mój świat umarł. Potem mówi sobie: musisz.

©℗ WP

Spektakl o przemocy

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Historia usprawiedliwiania przemocy – fizycznej, psychicznej i symbolicznej – jest równie długa, jak historia samej przemocy. A jednym z najczęściej używanych w tym celu środków retorycznych jest powoływanie się na jakieś wyższe dobro, którego wyłonienie wymaga ponoć stosownej dawki bólu. Może to być również ból intencjonalnie zadawany przez tych, którzy – z uwagi na szczególne talenty i dziejową misję – są procesu wyłaniania się wyższego dobra akuszerami. Im po prostu wolno więcej. To, co mówi ostatnio reżyser Krystian Lupa (na zdjęciu), nie odbiega od tej linii narracyjnej. Nie ma sztuki bez cierpienia, artysta zaś tylko wtedy jest w stanie stworzyć dzieło, kiedy wprzęgnie w dynamikę twórczą cały zespół. Nie jest to przyjemne ani proste, bo sztuka nie rodzi się w komforcie, lecz w amoku. Dlatego dzisiejsze czasy – ślepo podążające za komfortem – sztuce nie sprzyjają. Ludzie nie rozumieją, że wielki teatr łaknie krwi i egoistycznie nie pozwalają jej sobie upuszczać.

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

Oczywiście, to wszystko brzmi nieznośnie, a sztuka ani nie wymaga, ani tym bardziej nie usprawiedliwia toksycznych zachowań. Standardy etyczne są dziś zupełnie inne niż jeszcze kilkanaście lat temu, ze swoją afektowaną despotią Lupa staje się więc postacią z coraz bardziej egzotycznej przeszłości.

Nie zmienia to faktu, że we współczesnej kulturze istotnie często nie tolerujemy najmniejszych dyskomfortów, a w krucjacie przeciwko rozmaitym opresjom bywamy zaskakująco wybiórczy. Niekiedy w imię walki z przemocą przemoc usprawiedliwiamy – jeśli stosuje się ją np. przeciwko politycznym oponentom albo grupom tożsamościowym uznawanym akurat za źródło wszelkiego zła. Potrzebny nam więc dziś namysł nad tym, czym jest przemoc – gdzie się zaczyna i gdzie kończy – a także nad naszymi własnymi do niej dyspozycjami, nie zaś kolejny seans gremialnego oburzenia. A w tę właśnie stronę poszła dyskusja o zachowaniu Lupy, bez wątpienia zasadnie zwolnionego z pracy w Genewie. ©

NA PUNKTY

ŁĄCZY NAS BŁASZCZYKOWSKI
Z piłkarską reprezentacją pożegnał się Jakub Błaszczykowski. W wygranym przez Polaków 1:0 towarzyskim meczu z Niemcami legendarny gracz Borussii Dortmund i Wisły Kraków zagrał po raz 109.

DZIELI NAS OZDOBA
Nieznany bliżej z działań w obronie klimatu i środowiska wiceminister zajmującego się tymi kwestiami resortu Jacek Ozdoba oglądał inny mecz: „Polska 1 - Tusk 0", napisał na Twitterze, doklejając przy nazwisku lidera opozycji niemiecką flagę. „Przepraszam, co to za debil?", skomentował wpis Zbigniew Boniek.

BAWI NAS BONIEK
„Czy to jest oficjalne stanowisko UEFA? Zwrócę się do UEFA z oficjalną skargą na Pana zachowanie" – odpowiedział Ozdoba, nawiązując do funkcji pełnionych przez Bońka we władzach europejskiej federacji piłkarskiej. „Powiedzmy sobie wprost: był Pan wybitnym piłkarzem, beznadziejnym trenerem i żałosnym prezesem. A o polityce nie ma Pan zielonego pojęcia" – dodał.

SMUCI NAS MORAWIECKI
Ozdoba ma, rzecz jasna, patronów. „Niestety, panie Donaldzie, trzeba wiedzieć, kiedy w interesie polskiej racji stanu trzeba czasami powiedzieć swoim sojusznikom »nein«, a nie tylko »danke« albo »spasiba«" – powiedział Mateusz Morawiecki w Sejmie. ©℗

Kaczyński zarządził reset w ulu

MAREK KĘSKRAWIEC

Do dymisji podał się szef kampanii wyborczej PiS Tomasz Poręba. Przyznał, że „potrzebny jest ktoś z nową mocą i energią". Zastąpi go znany z twardej ręki Joachim Brudziński. Partia musi przejąć inicjatywę i zdobyć nowych wyborców, inaczej straci władzę.

Jarosława Kaczyńskiego przestraszyła nie tylko demonstracja 4 czerwca, ale też obarczenie PiS odpowiedzialnością za śmierć ciężarnej kobiety w Nowym Targu. Prezes próbował dawać odpór dziennikarzom, przypominając, że słynny wyrok TK nie odnosił się do takich przypadków, ale równocześnie wie, iż w odbiorze społecznym liczy się to, że jego partia stworzyła w kraju atmosferę lęku przed ciążą. Stąd próba narzucenia własnej narracji, kolejny programowy ul, na którym padną nowe obietnice socjalne, oraz zmiany w sztabie.

Dążąc do nowego otwarcia Kaczyński postanowił nie tworzyć kolejnych napięć z prezydentem i szybko uchwalić zmiany w lex Tusk. Biorąc pod uwagę obstrukcję Senatu, sprawa przeciągnie się do połowy wakacji, ale komisja już i tak straciła pierwotne znaczenie, więc będzie tylko źródłem propagandy. Prezes PiS bardziej liczy na powiązanie wyborów z referendum w sprawie unijnego mechanizmu relokacji, który narzuca państwom członkowskim obowiązek przyjmowania pewnej liczby imigrantów. Kaczyński wierzy w nasz narodowy krnąbrny charakter: „przyjęliśmy miliony uchodźców z Ukrainy sami z siebie, stając się wzorem dla Europy, nikt nam nie będzie narzucał niczego z góry". Prezes liczy na podobny jak w 2015 r. efekt strachu przed przybyszami z Azji i Afryki, i zapewne częściowo swój cel osiągnie, stawiając opozycję przed trudnym wyborem, czy iść pod rękę z Unią, czy jednak się jej postawić. ©℗

Papież swoje

EDWARD AUGUSTYN

PAPIEŻ JEST „ZDROWSZY NIŻ BYŁ", MÓWI prof. Sergio Alfieri z kliniki Gemelli o efektach operacji, jakiej poddał się Franciszek. Ale warunkiem powrotu do sił jest czas – cierpliwa rehabilitacja, zachowanie diety i ograniczenie aktywności, przynajmniej przez najbliższe tygodnie, do spraw najważniejszych.

Do takich papież zaliczył rozmowę z prezydentem Brazylii, Luizem Lulą da Silvą, – pierwsze oficjalnie potwierdzone spotkanie po opuszczeniu szpitala. Lula to jeden z niewielu przywódców, którzy mają dziś bezpośredni kontakt z Putinem. Franciszek chce go prosić (podobnie jak prezydenta Kuby, Miguela Díaza-Canela, z którym ma zamiar się spotkać) o wsparcie pokojowej misji dla Ukrainy.

W przeddzień operacji Franciszka jego specjalny wysłannik, kard. Matteo Zuppi, rozmawiał z Wołodymyrem Zełenskim. Ich spotkanie nie było pewne do ostatnich chwil – otoczenie ukraińskiego prezydenta uznawało dotąd papieską inicjatywę za „mediację na rzecz agresora". Przeważyła dobra opinia o Zuppim – jednym z niewielu włoskich kardynałów, którzy od początku podkreślali prawo Ukrainy do obrony. W czasie rozmowy kardynał skupił się na uważnym wysłuchaniu racji Ukraińców i nie formułował żadnych oczekiwań. To dobry początek, bo do tej pory Kijów słyszał ze strony Watykanu słowa niezrozumiałe, a nawet upokarzające i odbierające mu podmiotowość (że jest tylko „pionkiem w rozgrywce mocarstw" i że powinien – jako strefa buforowa Rosji – miarkować prozachodnie aspiracje).

Prezydenci Brazylii i Kuby znani są z usprawiedliwiania Putina i oskarżania Zachodu o „przedłużanie wojny" przez dostawy broni.

Ich pomoc w dotarciu Zuppiego na Kreml może być niedźwiedzią przysługą, a wspólny front z Franciszkiem – końcem papieskiej misji i włączeniem jej w inicjatywę iberoamerykańską, o której mówi Lula i której przywództwo mu się marzy. Byłby to kolejny – po watykańskim i afrykańskim – plan pokojowy dla Ukrainy. Z podobnymi szansami na powodzenie. ©℗

KAMIL PIKLIKIEWICZ / EAST NEWS

ANNA KRAWCZAK, BADACZKA DZIECIŃSTWA:

Tzw. ustawa Kamilka to pierwsza od lat szansa na ponadpolityczną zmianę prawa chroniącego dzieci.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę od śmierci Blanki z Olecka w czerwcu 2019 r. domagała się nowego prawa chroniącego dzieci przed drastyczną przemocą. Przez niemal cztery lata bez skutku. Potrzebny był jeszcze jeden dramat i nadciągające wybory?

ANNA KRAWCZAK: Projekt ustawy nowelizującej m.in. kodeks rodzinny i opiekuńczy jest gotowy od dłuższego czasu, ale moment jego zgłoszenia przez Suwerenną Polskę wygląda faktycznie na nieprzypadkowy. Wiąże się ze śmiercią małego Kamila i wytworzeniem się – także politycznego – klimatu dla ochrony dzieci.

Co różni przypadek Kamila od innych?

To, że cała Polska dostała zaproszenie, by przez miesiąc towarzyszyć mu na OIOM-ie. Maltretowany, poparzony przez ojczyma chłopiec trafia do szpitala, a potem dostajemy kolejne informacje o nim i jego rodzinie. Otrzymujemy, trochę wbrew logice mediów, w których jeden news wypiera poprzedni, szansę na zżycie się z tym dzieckiem. Zaczynają się dyskusje, czy chłopiec trafi do domu dziecka, czy do rodziny zastępczej, a tu nagle okazuje się, że nie ma o czym rozmawiać – Kamil nie żyje. To musiało wstrząsnąć społeczeństwem.

Co jest istotą projektu, który w czwartek przeszedł przez pierwsze sejmowe czytanie?

Ma dwa filary, pierwszy to obowiązek prowadzenia przez wszystkie instytucje pracujące z dziećmi polityki ich ochrony. To nie regulamin, który gdzieś tam sobie leży, ale strategia będąca zobowiązaniem, również do szkolenia pracowników z umiejętności wykrywania śladów przemocy – gdyby szkoła Kamila taką politykę przyjęła, być może historia potoczyłaby się inaczej.

Rzecz druga to zręby procedury na wzór brytyjskiej *Serious Case Review*. Chodzi o systemową analizę drastycznych przypadków. W pewnym sensie jest ona odwrotnością polityki ochrony – podczas gdy ta stanowi profilaktykę, SCR jest analizą *ex post*. Powołuje się eksperecką radę centralną, a po każdym drastycznym przypadku powstaje też rada lokalna, która bada przebieg zdarzeń. Nie tylko pod względem prawnym – decyzja sądu, który dwa lata temu, otrzymawszy od lekarza informacje o przemocy, nadał rodzinie Kamila kuratora, zamiast zabezpieczyć dziecko, była w zgodzie z przepisami...

Niektóre media, informując o pracach nad tzw. ustawą Kamilka, podawały też, że powoła ona do życia instytucję sądowego przedstawiciela dziecka.

Ale okazało się to niemożliwe w sprawach o ograniczenie bądź pozbawienie praw rodzicielskich. W 1972 r. Sąd Najwyższy stwierdził, że istnienie pełnomocnika dziecka godziłoby – uwaga – w autorytet i władzę rodzicielską. Gdy się o tym dowiedziałam, chcąc wnieść do projektu poprawkę, poczułam bezsilność.

Mimo tego uważam, że choć nie jest to projekt marzeń, stanowi pierwszą od lat szansę na ponadpolityczną zmianę prawa chroniącego dzieci. Mam nadzieję, że zostanie wykorzystana. ©℗

ANNA KRAWCZAK *jest specjalistką ds. ochrony dzieci w FDDS, współzałożycielką i członkinią Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW.*

LOUISA GOULIAMAKI / AFP / EAST NEWS

Marsz protestacyjny krytykujący politykę greckiego rządu po zatonięciu łodzi z migrantami na Morzu Śródziemnym. Port Pireus, Ateny, 18 czerwca 2023 r.

Śmierć pół tysiąca ludzi jest efektem bezprawia na morzu. Europa je toleruje

MASOWE MIGRACJE ▪ Tej żelaznej zasady uczy się na kursach ratownictwa morskiego: nie wolno robić nic, co na przepełnionej łodzi może wywołać nagły ruch ludzi. Jej złamanie – oraz niejasne postępowanie greckiej straży przybrzeżnej – wywołało największą od ośmiu lat katastrofę na Morzu Śródziemnym. W nocy z 13 na 14 czerwca na wodach międzynarodowych 80 km od Peloponezu zatonął kuter, którym podróżowało od 400 do nawet 750 osób. Ocalały tylko 104.

Jednostka wypłynęła z Tobruku w Libii. W miniony wtorek wczesnym popołudniem greckie służby podały, że przepełniona łódź nie nadaje sygnału SOS i utrzymuje kurs na włoską Kalabrię. Zaprzeczyła temu Alarm Phone, wiarygodna organizacja pozarządowa gromadząca dane o lokalizacji migrantów na morzu – jej wolontariusze mieli odebrać wiele próśb o ratunek. W kolejnych godzinach łodzi asystowały dwa statki handlowe, m.in. dostarczając pasażerom wodę. Wbrew twierdzeniom Greków łódź już wtedy dryfowała – pokazały to przeanalizowane przez BBC dane z aplikacji MarineTraffic. Wieczorem w rejonie zjawił się okręt straży przybrzeżnej i trzy godziny obserwował jednostkę z dystansu, wciąż utrzymując, że nie ma żadnego zagrożenia. Tuż po pierwszej w nocy czasu polskiego, po ośmiu godzinach dryfu w towarzystwie innych statków, kuter z migrantami przechylił się na burtę i zatonął.

Grecka straż przybrzeżna nie upubliczniła filmu z akcji, a relacje uratowanych przeczą jej oficjalnej wersji wydarzeń. Po nieudolnej akcji, którą trudno nazwać ratowniczą, pozostają pytania szczegółowe. Dlaczego jednostki, na której było tylu ludzi co na pokładzie jumbo jeta, od razu nie uznano za zagrożoną? Czy Grecy ociągali się z działaniem, skoro od pierwszego kontaktu z łodzią do jej zatonięcia upłynęło całe 12 godzin? Czemu niektórym pasażerom nie rozdano kamizelek ratunkowych? (Na tak przepełnionych łodziach nie da się ich rozdać każdemu, bo się po prostu nie mieszczą). I w końcu: co wywołało ruch osób na pokładzie, który spowodował przechył?

Na najważniejsze pytanie – czy śmierci pół tysiąca ludzi dało się uniknąć – w tym przypadku można niestety odpowiedzieć: „tak". Zostawiając na boku odpowiedzialność przemytników czy samych migrantów: niejasne strefy odpowiedzialności, tzw. push-backi stosowane wcześniej na pełnym morzu, brak jednolitych procedur na wzór tych stosowanych przez włoską marynarkę lub nieliczne prywatne statki ratownicze – to wszystko uczyniło w praktyce z Morza Śródziemnego strefę bezprawia. Istnieje ona od lat, przy cichej akceptacji państw europejskich. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Ekogroszek już nie „eko"

GREENWASHING ▪ Węgiel najpierw kruszymy i przesiewamy tak, by pozostawić tylko kawałki o średnicy nie większej niż 31,5 milimetra. Te następnie płuczemy z miału (który można potem sprzedać) i w ten sposób powstaje najbardziej charakterystyczne dla Polski paliwo, czyli węglowy groszek. Tani, dostępny, od lat jest źródłem ciepła w milionach domów. Według producentów i sprzedawców właśnie od tej ekonomiczności pochodzi nazwa „ekogroszek".

Teraz era ekogroszku zmierza ku końcowi. Ministerstwo Klimatu i Środowiska opublikowało projekt zmieniający nazwę handlową tego paliwa, co już dwa lata temu proponował były minister Michał Kurtyka. Argument jest prosty: opatrywanie

PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

węgla przedrostkiem „eko" to klasyczny *greenwashing* i wprowadzanie klientów w błąd. Potwierdziły to badania przeprowadzone w 2021 r. przez fundację ClientEarth. 44 proc. ludzi ogrzewających domy ekogroszkiem uważało go za produkt ekologiczny. Tymczasem ten drobno pokruszony produkt (tylko jeśli i paliwo, i piec są dobrej jakości) powoduje mniejsze emisje niż zwykły węgiel, ale nadal wielokrotnie przekraczające normy pyłów, tlenku węgla czy rakotwórczego benzo(a)pirenu. Mimo to bez trudu znaleźć można reklamy takiego węgla „pomalowanego na zielono".

Według projektu MKiŚ „ekogroszek" zmieni swoją nazwę handlową na... „groszek plus". Dopuszczalny będzie też „groszek premium". Węglowy miał również dostanie „plusa" zamiast przedrostka „eko". Zmiana wpisuje się w europejski trend, gdzie ustawodawcy próbują radzić sobie z greenwashingiem. Składanie szumnych „zielonych" deklaracji stało się bowiem dobrym sposobem na sprzedanie produktu. W marcu Komisja Europejska opublikowała projekt ograniczający takie fałszywe reklamy – Green Claims Directive (ang. Dyrektywa Zielonych Obietnic), ale na ostateczny tekst oraz efekty przyjdzie nam jeszcze poczekać. ©℗ KRZYSZTOF STORY

Kluczowa cecha życia wyjaśniona

PROBLEM CHIRALNOŚCI ▪ Podstawowe cząsteczki budujące życie występują w dwóch wariantach: „lewym” i „prawym”, będących swoimi lustrzanymi odbiciami. Zjawisko to nazywamy chiralnością. Obie te wersje cechują się niemal identycznymi właściwościami fizyczny i chemicznymi, przy czym nie są one z sobą kompatybilne. Stąd też kluczowe dla życia cząsteczki, takie jak białka, DNA czy RNA, złożone są z molekularnych cegiełek w tylko jednym z tych wariantów. W przypadku białek są to aminokwasy w wariancie „lewym”, szkielet DNA i RNA składa się zaś z cukrów w wariancie „prawym”. Pochodzenie tej właściwości biomolekuł to jedna z największych zagadek dotyczących życia na Ziemi – nikt nie umiał wyjaśnić, dlaczego biologia wybrała właśnie te warianty białek i DNA/RNA.

W ostatnim dziesięcioleciu odkryto, że chiralne warianty cząsteczek oddziałują w odmienny sposób z powierzchniami o właściwościach magnetycznych. Własność tę wykorzystała grupa Dimitara Sasselova z Uniwersytetu Harvarda, która od lat starała się zrozumieć, jakie warunki mogły doprowadzić do wyselekcjonowania tylko jednego wariantu RNA na młodej Ziemi. Wykorzystując namagnetyzowaną powierzchnię magnetytu – pospolitego minerału – zaobserwowali oni preferencyjną krystalizację związku, z którego na młodej Ziemi mógł powstać „prawy” wariant RNA.

Kilka cykli rozpuszczania kryształów i ponownej rekrystalizacji pozwoliło na selekcję tego wariantu i doprowadziło do wzmocnienia poziomu namagnetyzowania powierzchni minerału. Takie cykle można powiązać z procesami pogodowymi w pobliżu małych jezior. Jeden z chiralnych wariantów mógł być wymywany z jednej lokalizacji, pozostawiając kryształy drugiego wariantu, który po opadach deszczu mógł wrócić do roztworu. Ten niezwykle wydajny proces oferuje pierwsze tak kompletne i proste wytłumaczenie pochodzenia chiralności w biologii i pozwala nam lepiej zrozumieć warunki, w jakich powstawało życie na powierzchni Ziemi. © RAFAŁ SZABLA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce – www.tokfm.pl

BOGDAN SARWIŃSKI / EAST NEWS

Prace rolnicze na suchym polu. Mazury, 3 czerwca 2023 r.

Niemal cała Polska sucha jak pieprz

WODA I GOSPODARKA ▪ Na około dwóch trzecich powierzchni kraju panują warunki hydrogeologiczne, które w krótkiej perspektywie doprowadzą do zmniejszenia produkcji żywności. Cała północna połowa Polski – z wyjątkiem Żuław, wycinka Suwalszczyzny i południa Mazowsza – właściwie nie nadaje się dziś do produkcji rolnej. Jesteśmy u progu suszy, a wkrótce będzie także drożej. Nawet jeśli teraz zacznie intensywnie padać, woda z tych opadów spłynie do morza.

Żywności w Polsce oczywiście nie braknie. Jesteśmy zbyt dużym i zbyt zamożnym rynkiem zbytu, żeby sieciom handlowym nie opłacało się sprowadzać jej z regionów globu, w których problem suszy aktualnie nie występuje. Zresztą już teraz, kupując np. mąkę, nie mamy pewności, czy zmielono ją z krajowego ziarna czy z pszenicy przywiezionej z Chin, Indii lub Kanady. Suszę jednak podczas zakupów mocno odczujemy. Przy kasie.

Na inflację, która wprawdzie słabnie, ale wciąż trzyma się poziomów dwucyfrowych, niewidzianych w Polsce od końca lat 90., wpływ ma kilka czynników, z których ceny żywności należą do najistotniejszych. W koszyku NBP produkty spożywcze stanowią obecnie ok. jednej czwartej wszystkich monitorowanych towarów. Lato, z typowym do niedawna dla Polski urodzajem warzyw i owoców, od zawsze było także sezonowym okienkiem, w którym dynamika cen wyraźnie słabła – właśnie za sprawą dużej podaży lokalnych płodów rolnych. Na czerwiec i lipiec przypadał początek spadków cen warzyw. Pod koniec sierpnia dołączały owoce. Tej reguły nie trzeba do dziś tłumaczyć polskim babciom, które najlepiej wiedzą, że sezon na przetwory zaczyna się w wakacje.

W ten prastary rytuał polskiego peklowania, cukrowania i przecierania przez sito brutalnie wdarły się teraz zmiany klimatyczne. Ekonomiści mBanku w niedawnym opracowaniu szacują, że w zależności od poziomu wysuszenia w poszczególnych województwach tegoroczne zbiory mogą być niższe od 17 proc. w przypadku kalafiorów, do 21-23 proc. w przypadku zbóż, ziemniaków i pomidorów. Dlatego autorzy raportu stawiają wręcz alarmistyczną tezę, iż w tym roku – jak nigdy wcześniej – spadki cen żywności sezonowej mogą w ogóle nie wystąpić. Część produktów potanieje, ale ten spadek skonsumują mocne wzrosty cen innych warzyw i owoców. Sytuację pogorszyć może susza w innych krajach: jeśli tam zbiory okażą się równie skromne jak w Polsce, czeka nas wyjątkowo kosztowne lato. ©℗ MAREK RABIJ

TEMAT TYGODNIKA

SĄD NAD FRANKIEM

Przez lata był właściwie naszą drugą walutą. Nauczył nas, czym są spready, pokazał, czym pachnie krach giełdowy. Po 27 latach obecności franka szwajcarskiego w polskim życiu – czas na bilans.

MAREK RABIJ

TRYBUNAŁ SPRAWIEDLIWOŚCI UNII EUROPEJSKIEJ / MATERIAŁY PRASOWE

Ta historia zaczyna się w lutym 1996 r. w katowickim oddziale banku powiązanego wówczas z kapitałem austriackim. Klient szuka kredytu na zakup samochodu. Zapewne nie myśli o pożyczce w obcej walucie; pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy, że mógłby się o taką ubiegać. W okienku czeka jednak niespodzianka. Jego bank właśnie wprowadził do oferty kredyty samochodowe we franku szwajcarskim, a ściślej – indeksowane jego bieżącym kursem do złotego.

Zaskoczony klient zadaje pracownikowi kolejne pytania i z każdą odpowiedzią słabnie jego początkowa nieufność. Tak, kredyt we frankach jest tańszy od złotówkowego, powiązanego z referencyjną stopą procentową NBP, która wynosi w tamtym czasie aż 26 proc. Nie, spłat wcale nie trzeba dokonywać we frankach, nie trzeba nawet w nich zarabiać. Szwajcarska waluta w całej transakcji pojawia się jedynie w kilku punktach umowy.

Samochód, który był przedmiotem tamtej transakcji, prawdopodobnie dawno pocięto na żyletki, ale i wizerunek franka w trakcie tych 27 lat pokryła rdza. Bilans jego obecności w krwiobiegu polskiej gospodarki wychodzi zdecydowanie na minus. Nie chodzi tylko o zmuszenie kilkuset tysięcy polskich rodzin do codziennej gry w kantor walutowy, dekady zaciskania pasa i nerwowego obliczania, czy starczy na ratę, której wysokość przerosła najostrożniejsze kalkulacje. W akcie oskarżenia przeciwko frankowi musi pojawić się także zarzut zrujnowania wiary w instytucję zaufania publicznego, za jaką uchodziły banki, oraz przeprowadzenia swoistego testu opieki państwa nad obywatelami, który Polska koncertowo oblała. Można by go nawet rozszerzyć o podsycanie starego polsko-polskiego sporu, bo wątek cwanych frankowiczów, którzy rzekomo kupili nieruchomości kosztem uczciwej reszty, nadal przewija się w debacie publicznej.

Oskarżony nie działał jednak sam. Nie byłby tak skuteczny, gdyby z jednej strony nie pomagała mu lekkomyślność, a czasem po prostu ekonomiczna ignorancja klientów, z drugiej zaś chciwość i krótkowzroczność polskich bankowców. Tym ostatnim sądy na masową skalę wystawiają dziś krytyczne recenzje, unieważniając niemal każdą zaskarżoną umowę frankową i nakazując rozliczenie się z klientem w złotówkach.

Czas szwajcarskiej waluty w Polsce dobiega końca. Niedawny wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE, który pozbawił banki ostatniego oręża w walce z kredytobiorcami, zapewne przyspieszy jeszcze proces odsyłania franka tam, gdzie jego miejsce – czyli do Szwajcarii. A to też dobry moment na refleksję, jak do nas trafił.

Rozprawa przed Wielką Izbą Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu, 2015 r.

I Wiara

Jako przybysz z arcybogatego kraju frank idealnie trafiał w polskie aspiracje konsumenckie połowy lat 90. Czasów, w których nikt nie czytał metek, bo niemal wszystkich oślepiał blask kolejnych zachodnich marek, wchodzących na pustynię naszego rynku i błyskawicznie zajmujących miejsce rodzimych towarów. Podobny sukces stał się udziałem produktu, jakim był kredyt frankowy.

Na większą skalę pożyczki hipoteczne w szwajcarskiej walucie pojawiły się w Polsce w 2003 r. Jak wynika z danych Komisji Nadzoru Finansowego, w 2004 r. łączna wartość kredytów w walucie obcej, głównie we franku i euro, wyniosła już 6,1 mld zł. Cztery lata później – 56 mld zł. W 2008 r. 10 największych firm deweloperskich wydało łącznie na reklamę blisko 36,5 mln zł – o 30 proc. więcej niż rok wcześniej. Banki zachęcały do kredytu hipotecznego ustami kolejnych celebrytów. Skutecznie – skumulowana wartość ↦

↦ wszystkich udzielonych kredytów mieszkaniowych sięgnęła w 2008 r. kwoty będącej równowartością 20 proc. ówczesnego polskiego PKB. Nad Wisłą po raz pierwszy od rozpoczęcia transformacji ustrojowej mieliśmy do czynienia z hossą na rynku mieszkaniowym. Ludzie, którzy odpowiadali za rozkręcenie kurka z zasilającymi ją pieniędzmi, w większości do dziś uważają, że działali w interesie konsumentów.

■ **MARIUSZ GRENDOWICZ,** w latach 2001-2006 wiceprezes banku BPH, a od 2008 do 2010 r. szef BRE Banku, podczas procesu franka złożyłby następujące zeznania.

Czy w trakcie Pańskiej pracy w sektorze bankowym zetknął się Pan z analizą, która sygnalizowałaby, że umowa kredytu indeksowanego kursem obcej waluty może być niezgodna z polskim prawem?
Mam jedną krótką odpowiedź – nie. Proszę pamiętać, że wprowadzenie oferty niezgodnej z prawem byłoby także działaniem na niekorzyść banku, za co mógłbym, jako członek zarządu, ponieść odpowiedzialność. Kredyty frankowe nie były pułapką na klientów, miały jedynie otworzyć dostęp do rynku hipotecznego tym, którzy nie mieliby na to szans w polskiej walucie. Na początku stulecia stopa referencyjna NBP, która określa wysokość oprocentowania kredytów złotówkowych, sięgała 20 proc. Pięć lat później spadła w okolice 6 proc., ale w tym samym czasie stawka LIBOR dla waluty szwajcarskiej oscylowała wokół 0,5 proc. Oprocentowanie kredytów frankowych było po prostu znacznie niższe od oprocentowania pożyczek złotowych.

Bankowcy wiedzieli jednak, że kredyty w obcej walucie mogą stać się pułapką. Wpadli w nią w latach 80. Australijczycy, których kuszono tanimi pożyczkami indeksowanymi kursem japońskiego jena. Dekadę później to samo przerabiały z frankiem szwajcarskim banki we Włoszech. Pekao S.A., który na początku lat dwutysięcznych był własnością włoskiej grupy Unicredit, z tego powodu oferował w Polsce kredyty frankowe jedynie zarabiającym w tej walucie. Nie zapalała się Panu lampka ostrzegawcza?
Powtórzę: chodziło o stworzenie czegoś, z czego mogliby korzystać klienci niemający szans na kredyt złotowy. Analizy prawne wskazywały, że tego typu oferta jest w pełni zgodna z polskim prawem bankowym. Komisja Nadzoru Finansowego również nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń do jej meritum. Oczywiście, taki kredyt, jak każda inwestycja, był obarczony ryzykiem, ale to do klienta należała decyzja, czy chce je podjąć.

> Opowieścią o przewidywalnej szwajcarskiej walucie bankowcy karmili polskich klientów nawet wtedy, gdy na horyzoncie widać już było kryzys.

Pana zdaniem banki należycie informowały o ryzyku kursowym?
Robiły to zgodnie z ówczesnymi procedurami. Kiedy tylko nadzór finansowy nakazał pokazywanie klientom symulacji wzrostu kursu franka, natychmiast zaczęliśmy je udostępniać. Proszę też wziąć pod uwagę, że klientów zaciągających pożyczkę w polskim złotym w ogóle nie informowano wtedy o ryzyku związanym z wzrostem stóp procentowych.

Czy zgadza się Pan z opinią wyrażaną często przez posiadaczy kredytów frankowych, że banki w tego typu umowach scedowały na nich całe ryzyko?
Uważam, że tego typu poglądy głosić mogą tylko osoby, które nie znają mechanizmów bankowości, ewentualnie ktoś, kto z premedytacją nagina fakty. Wahania kursowe były również niebezpieczne dla banku.
Po pierwsze, wraz ze wzrostem wartości zobowiązań kredytobiorców rosło także ryzyko braku spłaty, co pociągało za sobą chociażby konieczność zawiązywania dodatkowych rezerw przez bank. W górę szła także suma bilansowa, co z kolei zmuszało do utrzymania wyższego kapitału własnego i zmniejszenia akcji kredytowej czy obniżki dywidendy. A co do samego ryzyka – pamiętam, że porównanie jakości portfela kredytów hipotecznych w złotych i walucie obcej wypadało jednoznacznie na korzyść tych ostatnich. Po regulacjach narzuconych przez KNF, które ograniczyły dostępność kredytów bez wkładu własnego, problem osób obciążonych kredytem frankowym do granic ich możliwości praktycznie zniknął. Późniejsze kłopoty frankowiczów wiązały się już z drastycznym umocnieniem kursu szwajcarskiej waluty, ale proszę nie zapominać, że czas, kiedy banki w Polsce szeroko oferowały kredyty we franku, był też okresem, w którym Polska szykowała się do przyjęcia euro. Donald Tusk jako premier zapowiadał, że stanie się to jeszcze w 2011 r. Kurs euro i franka był wtedy ze sobą skorelowany niemal na poziomie 1 do 1. Strategia banków opierała się więc również na założeniu, że ryzyko kursowe związane z kredytami we franku zmaleje niemal do zera w ciągu kilku lat.

II Nadzieja

Profesjonaliści, jakimi są bankowcy i ekonomiści, musieli jednak zdawać sobie sprawę, że w międzyczasie może dojść do kursowej katastrofy. Wbrew obiegowym opiniom Szwajcaria nigdy nie była ekonomicznym gigantem. Zasługiwała – i nadal zasługuje – raczej na miano średniaka z niewielkim rynkiem wewnętrznym (8,7 mln mieszkańców) i gospodarką uzależnioną w znacznej mierze od eksportu. Długa tradycja politycznej neutralności, liberalne przepisy podatkowe, a do niedawna także szczelna tajemnica bankowa sprawiły jednak, że waluta tego państwa od lat uchodzi w świecie finansów za bezpieczną przystań. W niespokojnych czasach jej kurs rośnie do innych walut, bo rynki przestrzegają niepisanej reguły, by w obliczu wojny czy kryzysu gospodarczego kapitał uwolniony dzięki sprzedaży innych dóbr lokować właśnie w Szwajcarii. Dla powstrzymania zabójczego dla eksportu napływu obcej gotówki (bo im droższy

frank, tym mniejsza konkurencyjność szwajcarskich produktów) tamtejszemu bankowi centralnemu zdarzało się wprowadzać nawet ujemne stopy procentowe, czyli kazać sobie płacić za przywilej przechowywania gotówki we franku – a i to zwykle nie zniechęcało spanikowanych inwestorów.

Opowieść o przewidywalnej szwajcarskiej walucie, którą w pierwszej połowie lat dwutysięcznych bankowcy karmili polskich klientów, była zatem półprawdą. Brakującą połową była informacja, że owa przewidywalność sprowadza się do tego, że tani wówczas frank prędzej czy później mocno podrożeje. Tymczasem część bankowców wysyłała klientom zgoła przeciwne komunikaty nawet wtedy, gdy na horyzoncie widać już było oznaki nadchodzącego kryzysu. Sebastian Węglewski, który w sierpniu 2006 r. stał się posiadaczem kredytu frankowego na 20 lat, będzie następnym świadkiem do wysłuchania.

– Po śmierci babci odziedziczyłem jej mieszkanie. Niestety, za małe na potrzeby czteroosobowej rodziny, postanowiliśmy więc je sprzedać i wykorzystać te pieniądze na wkład własny – wspomina. – W banku, w którym miałem konto, szybko dostałem ofertę kredytu. Z pożyczonych 200 tys. zł 120 tys. musieliśmy dołożyć do kupna nowego mieszkania. Reszta miała wystarczyć na remont i urządzenie, ale jak to zwykle z remontami bywa, koszty rosły w oczach. Spytałem, czy w grę wchodzi aneks i podniesienie kwoty kredytu o 30 tys. zł. Tydzień później pieniądze miałem już na koncie.

Kilka miesięcy później z identyczną propozycją wystąpił już bank. Frank wciąż tanieje i będzie dalej tanieć – klarowali jego pracownicy – za to nieruchomość Węglewskich zyskuje na wartości, bo na rynku mieszkaniowym trwa hossa.

– Dlatego usłyszałem, że mogę pożyczyć nawet 30 tys. zł bez ponownego badania zdolności, wystarczy podpis pod aneksem do umowy w oddziale. Pieniądze możemy wydać na cokolwiek. A rata wzrośnie tylko o kilkanaście złotych. No co miałem powiedzieć? Każdy by się skusił – uśmiecha się nieśmiało Węglewski.

Kolejna propozycja aneksu na ponad 20 tys. zł „na dowolny cel" wypłynęła z banku po następnych dwóch miesiącach. Znów bez żadnych formalności. Tym razem Węglewscy odmówili, ale bank nie odpuszczał. – Ostatni raz złożyli nam taką ofertę w wakacje 2008 r. – mówi Sebastian. – Dobrze pamiętam, bo się zastanawialiśmy, czy jednak nie wziąć tych 23 tys. i nie pojechać w jakieś egzotyczne miejsce. Pamiętam też zapewnienia pani z banku, że lekki wzrost ceny szwajcarskiej waluty to chwilowy trend i że za trzy lata za franka będzie się płaciło koło złotówki, więc dodatkowe pieniądze spłacą się właściwie same. A miesiąc później zaczął się kryzys w USA, frank zaczął drożeć jeszcze bardziej i pod koniec roku dobił do 3 zł.

> Umowy kredytów były naszpikowane niedozwolonymi klauzulami, a banki, pożyczając rzekomo franki, w rzeczywistości często nawet ich nie miały.

■ **Atmosferę bankowej kuchni tamtych lat najlepiej oddają wyznania RENATY Z.**

W latach 2006-2009 pracowała Pani w banku we Wrocławiu jako doradca klienta do spraw kredytów hipotecznych.
Tak.

Również walutowych?
Przede wszystkim walutowych. Nie przypominam sobie, żeby w trakcie mojej pracy w banku któryś z obsługiwanych przeze mnie klientów dostał kredyt hipoteczny w złotówkach.

Klienci nie wnioskowali o takie pożyczki?
Rzadko, bo były droższe. Ale nawet jeśli zawnioskowali o złotówkowy, to zwykle nie dostawali. Przychodziła odpowiedź, że nie mają zdolności kredytowej.

Przychodziła?
Ja tylko kierowałam papiery do analizy i po kilku dniach zwykle wracały z odpowiedzią, że klient nie spełnia kryteriów do umowy w złotówkach. Wtedy mieliśmy mu proponować franki.

Było takie oficjalne zalecenie?
Może nie zalecenie, ale wskazówka na szkoleniach ze sprzedaży. Potem się już wręcz utarło, że od razu mówiliśmy klientowi, że z kredytem w złotówkach może być ciężko i żeby złożyć wniosek o dwie analizy, dla pożyczki w PLN i CHF.

I nie dziwiło Pani, że klient, który zarabia w polskich złotych, ma większą zdolność kredytową w obcej walucie?
Skończyłam filmoznawstwo. Nie znam się na tym. Na firmowych szkoleniach tłumaczono nam, że to wynika z niższych stóp procentowych dla franka niż dla złotego. Ale w pracy mówiło się, że nie tylko z tego.

Co ma Pani na myśli?
No... ludzie od analizy ryzyka opowiadali na spotkaniach integracyjnych, że mają z góry polecenia, żeby tak szacować zdolność kredytową we franku, żeby była jak najwyższa. Przy obliczaniu raty kredytu w CHF nie uwzględniali np. spreadu bankowego, tylko brali średni kurs NBP.

Co to dawało?
Powiedzmy, że klient miał mieć kredyt na 30 lat, a rata miała wynosić 600 franków miesięcznie. Jeśli się przeliczyło ją po średnim kursie NBP, który wynosił wtedy, powiedzmy 2,4 zł, całkowity koszt kredytu wraz z odsetkami wynosił, chwilę, policzę na telefonie, 518 400 zł. Ale gdyby podliczyć umowę po rzeczywistym bankowym kursie sprzedaży franka, który wynosił 2,62 zł, wyszłoby już 565 920 zł i klient mógłby takiej kwoty nie dostać.

Ale bank, jak rozumiem, i tak pobierał potem od klienta raty posługując się swoim wewnętrznym kursem, czyli nie po 2,4 zł, ale po 2,62 zł?
Tak.

Czyli na etapie analizy ryzyka celowo zaniżano całkowity koszt kredytu we franku, żeby klient mógł go dostać?
Tak.

I to się nazywało analizą ryzyka kredytowego?

↦

JOANNA BOROWSKA / FORUM

Manifestacja frankowiczów w Warszawie, czerwiec 2016 r.

Tak. Dużo klientów brało pożyczkę bez wkładu własnego, nierzadko także na urządzenie mieszkania.
Gdyby nie taka sztuczka, nie dostaliby zgody na kredyt i w złotych, i we frankach.

Ale Pani, jak się domyślam, miała poinformować o ryzyku związanym z taką inwestycją?
Zgodnie z procedurą banku.

To znaczy?
Mieliśmy gotowy formularz, w którym było napisane, że kurs franka do złotego nie jest stały i że w trakcie trwania umowy rata może wzrosnąć. Potem doszły symulacje wysokości raty przy różnym kursie franka.
Ale mieliśmy raczej uspokajać.
Na szkoleniach podpowiadano nam, żeby podkreślać, że to ryzyko raczej hipotetyczne, bo frank jest bardzo stabilny.

Pokazywano państwu na szkoleniach historyczne analizy kursu franka do złotego, które by taką stabilność potwierdzały?
Nie przypominam sobie.

A wiedziała Pani wówczas, że kurs złotego został w pełni upłynniony dopiero kilka lat wcześniej i relację obu walut można szacować jedynie w tak krótkim horyzoncie czasowym? A kurs franka do dolara w ciągu 20-30 lat potrafi się zmienić nawet o ponad 30 proc.?
Dopiero teraz się o tym dowiaduję od pana.

Czyli Pani sama nie była dostatecznie przekonana o tym, że frank to stabilna waluta, ale mówiła to klientom?
Ja byłam sprzedawcą. Miałam sprzedać kredyty. Miałam cele miesięczne, od których zależało moje wynagrodzenie. Nie byłam doradcą klienta.

Ale tak miała Pani napisane na wizytówce, prawda?
No tak...

Ile wynosiła prowizja od sprzedanego kredytu?
Różnie, zależnie od wkładu własnego i kwoty. Ale to dobre pieniądze były, bo ruch był duży, nawet po kilka wniosków tygodniowo. W dobrym miesiącu można było mieć ponad 10 tysięcy samej premii.

III Nienawiść

Frankowe okienko zamknęło się z trzaskiem we wrześniu 2008 r., kiedy upadek wielkiego banku Lehman Brothers zapoczątkował światowy kryzys finansowy. Banki przestały udzielać takich pożyczek klientom, którzy nie zarabiają w szwajcarskiej walucie. Jej kurs rósł błyskawicznie. W czerwcu 2010 r. przebił 3 zł. Jesienią 2011 r. przekroczył 3,5 zł. Wreszcie przyszedł styczeń 2015 r., kiedy szwajcarski bank centralny przestał bronić kursu i frank w kilka minut zdrożał do ponad 4,25 zł, otarłszy się przez chwilę o pułap ponad 5 zł. Blisko pół miliona rodzin frankowiczów w tamtych dniach właściwie nie rozstawało się z kalkulatorem. W łeb wzięły nawet najbardziej zapobiegliwe domowe analizy ryzyka związanego z zakupem mieszkania w obcej walucie.

„Zapytaj nas o kredyt/ mamy tu pasmo przeżyć wartkich./ Zapytaj, ile kosztuje, by śledzić,/ jak nam rośnie w siłę frank szwajcarski" – rapowali Łona i Webber na płycie zatytułowanej „Cztery i pół".

Na tym etapie procesu franka bezcennego materiału procesowego dostarczają badania socjologa Mateusza Halawy, w tamtym okresie przeprowadzał wywiady z rodzinami spłacającymi kredyt w szwajcarskiej walucie. „Wobec niespodziewanych wzrostów kursu, zwłaszcza przed 2015, moi rozmówcy artykułowali przeważnie poczucie rezygnacji. Kontrakt (...) utożsamiano z niezmiennym »wyrokiem losu« (charakterystyczne, że grupa badanych z jednego z nowych bloków na Białołęce swoją typową dla klasy średniej sytuację uwikłania w kredyt próbowała rozwiązywać strategiami bliższymi klasie ludowej: grą w lotto, by spłacić powiększony dług). Zdarzało się, że wśród tych, którzy utrzymywali stabilne lub rosnące zatrudnienie, początkowe fazy niestabilności franka były interpretowane wręcz jako moralnie chwalebne momenty próby (»na tym polega dorosłe życie«), potwierdzające dojrzałość i zaradność w ochronie rodziny przed zewnętrznymi turbulencjami" – pisał Halawa w artykule opublikowanym w 2017 r.

Słowem – pierwszą reakcją klientów banków było wzięcie odpowiedzialności na siebie. Bunt przyszedł później. Z chwilą, kiedy frankowicze zrozumieli, że stanowią społeczność, a indywidualne doświadczenia każdego z nich zwykle znajdują pokrycie w doświadczeniach innych. Wyrok losu, jakim dotąd wydawał się frank po 4 zł, nagle zaczął się jawić jako starannie ukartowana manipulacja. Zwłaszcza w obliczu kolejnych informacji o tym, że umowy kredytów w CHF są naszpikowane niedozwolonymi klauzulami, a banki, pożyczając rzekomo franki, w rzeczywistości często nawet ich nie miały. A po drodze było jeszcze rozczaro-

wanie państwem, które nie potrafiło zaproponować obywatelom-frankowiczom nic poza radą wyrażoną przez Jarosława Kaczyńskiego, żeby „brali sprawy we własne ręce i walczyli w sądach”.

Poczucie odpowiedzialności za własne położenie to – jak zauważa socjolog prof. Tomasz Szlendak – jedna z cech konstytuujących polską klasę średnią. Nic też dziwnego, że efektem ubocznym kryzysu frankowego, który zagroził przecież filarowi projektu dobrego życia polskich średniaków, jakim był zakup domu na kredyt, stała się masowa odmowa dalszego dźwigania odpowiedzialności za tenże kryzys. Frankowicze zaczęli organizować się w stowarzyszenia, konsultować z prawnikami, szukać rozwiązań. W końcu ruszyli do sądów.

Bankowcy początkowo obserwowali ten trend z politowaniem i chyba nie dostrzegli, że także w polskim krajobrazie społecznym coś pękło. Po skandalu wywołanym upadkiem Lehman Brothers powiedzenie „pewne jak w banku” brzmiało już jak szyderstwo. Ku swojemu zaskoczeniu branża utraciła najpierw oręż w postaci bankowego tytułu egzekucyjnego, przywileju z czasów, kiedy banki były instytucjami państwowymi. Potem niektóre z nich zaczęły przegrywać w sądach sprawy o trefne polisolokaty. Wreszcie zaczął się sypać nawet frankowy bastion.

Po orzeczeniu TSUE z 2019 r., który stwierdził, że w przypadku usunięcia klauzul niedozwolonych z umowy kredytu bank nie może zmusić klienta do zastąpienia ich innymi warunkami, bankowcy zrozumieli, że linia obrony oparta na starej zasadzie *pacta sunt servanda* jest nie do utrzymania. Wtedy w ich narracji pojawiło się straszenie reszty społeczeństwa. „To nie system bankowy stanie na kraju bankructwa. To Polska stanie na skraju bankructwa. A wszystko po to, żeby ci, którzy brali kredyty we franku, mieli dziś je za darmo” – grzmiał niedawno w rozmowie z Gazeta.pl Marek Belka.

Od kilku lat jesteśmy świadkami nieustannej zabawy w „dziel i rządź” połączonej ze swoistą licytacją. Na niemal każdą informację o wzroście liczby zaskarżonych kredytów w CHF (według danych samego Związku Banków Polskich procesuje się już co trzeci frankowicz) branża bankowa odpowiada szacunkiem strat, jakie zwycięstwo frankowiczów przed sądem ma rzekomo wywołać w polskiej gospodarce. Raz to 60 mld zł, innym razem ponad sto, a nawet bez kozery dwieście. Banki mają paść jak muchy pod ciężarem roszczeń kredytobiorców i pozbawić oszczędności milionów „uczciwych” klientów – mimo że właśnie mają za sobą rekordowy rok nie tylko pod względem liczby frankowych pozwów, ale także zysków. Mają też rzekomo przestać kredytować gospodarkę – mimo że to właśnie kredyty konsumenckie pozwoliły im w zeszłym roku zarobić na czysto ponad 12,5 mld zł, czyli dwa razy więcej niż rok wcześniej – i wspierać innowacje – choć w rzeczywistości bardziej palą się do pożyczania na kolejne bezpieczne z ich punktu widzenia cele, jak AGD czy sprzęt elektroniczny, niż do finansowania nowych przedsięwzięć biznesowych o potencjalnie wysokiej stopie zwrotu, ale i sporym czasem ryzyku.

W jednym obszarze bankom nie można jednak odmówić zasługi. Jeszcze w 2002 r., jak podaje Narodowy Bank Polski, w całym kraju oddawano do użytku niespełna 100 tys. domów i mieszkań. W 2009 r., czyli pod koniec hossy zasilanej tanim wówczas kredytem frankowym – już 160 tys. W tym samym czasie liczba mieszkań przypadających na każdy tysiąc mieszkańców Polski wzrosła z 310 do niemal 350, a przeciętny metraż w przeliczeniu na lokatora skoczył z 21 do ponad 24 m kwadratowych. Nadal brakuje około 1,5-2 mln lokali, ale w końcówce pierwszej dekady XXI wieku rynek mieszkaniowy w Polsce po raz pierwszy pokazał, że może sprostać popytowi na nieruchomości.

To argument na korzyść franka. O ile nie uwzględnić faktu, że kredytowa hossa doprowadziła też do pierwszej bańki spekulacyjnej na naszym rynku nieruchomości i wywindowała ceny do poziomu, przy którym o mieszkaniu zaczęto mówić jako o dobru luksusowym. Nawet z tanim kredytem indeksowanym kursem niezwykle stabilnej waluty.

©℗ MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:

Poznacie po owocach

Logo izraelskiego ministerstwa turystyki przeszło lifting. Niestety w nowej odsłonie nie widać już na pierwszy rzut oka, że przedstawia ono wywiadowców niosących olbrzymią kiść winogron z Ziemi Obiecanej. Owych wywiadowców wysłał Mojżesz na prośbę Izraelitów, którzy – po ponad roku spędzonym na pustyni od czasu wyjścia z Egiptu – mieli wkroczyć do Kanaanu i po podboju wziąć go w posiadanie. „I doszli aż do doliny Eszkol i ucięli tam latorośl z jedném gronem jagód winnych, i nieśli ją na drążku we dwoje; niemniej z granatowych jabłek i z fig. Miejscowość tę nazwano doliną Eszkol, z powodu grona winnego [hebr. *ha-eszkol*], które byli ucięli tam synowie Israela" (Lb 13, 23-24; Cylkow).

Po czterdziestodniowej nieobecności szpiedzy wrócili do pustynnego obozu. Ich słowa nie stały się źródłem otuchy dla Dzieci Izraela i prawdopodobnie dlatego komentatorzy postrzegają także przyniesione owoce jako problematyczne. Otóż miały one być dodatkowym dowodem na niepokojące rozmiary wszystkiego, co znajduje się w Kanaanie. „Ziemia, którąśmy przeszli dla wypatrzenia jej, ziemia to pożerająca mieszkańców swoich; a wszystek lud, któryśmy widzieli w niej – ludzie to rośli. Tam też widzieliśmy i olbrzymów, synów Enaka, z rodu olbrzymów, a byliśmy w oczach naszych jako szarańcza, i takimi też byliśmy w oczach ich" (wersy 32-33). Do przydźwigania tamtejszej kiści winogron – rzecze midrasz – potrzeba było aż ośmiu chłopa, a olbrzymie jabłko granatu i wielką figę taszczyło następnych dwóch. Spośród dwunastu wywiadowców tylko Jozue i Kaleb nie zdecydowali się na przyniesienie owoców, pomni na popłoch, który mogą tym wywołać wśród współbraci.

Owoce z Kanaanu zostały użyte przez dziesięciu szpiegów w niewłaściwym celu. Jak na poziomie kosmicznym naprawić wyrządzone przez nich zło? – zastanawia się twórca Kabały Luriańskiej. Poprzez coroczne przynoszenie do Świątyni Jerozolimskiej pierwocin ze swoich zbiorów! Przykazanie to dotyczy siedmiu gatunków roślin, z których słynie Izrael, będący ziemią „pszenicy, i jęczmienia, i winogradu, i fig, i granatowych drzew; (...) oliwników i miodu [z daktyli]" (Pwt 8, 8). W pierwszej części Talmudu czytamy, jak oddzielić pierwociny: o odpowiedniej porze roku wychodzimy obejrzeć nasze włości i gdy zauważymy dopiero co dojrzałą figę, takież kiść winogron bądź owoc granatu, oznaczamy je, obwiązując gałązkę źdźbłem trawy. Choć ofiarowuje się w Świątyni pierwociny siedmiu gatunków, które rozsławiają Ziemię Obiecaną, jednak tu wspomniane są właśnie te trzy, przydźwigane przez wywiadowców, by ją oczernić. Dzieci Izraela niosły do Jerozolimy swe dary, by okazać miłość i wdzięczność swojej ziemi. Po owocach ich poznacie? ©

O. WACŁAW

Oszajca:

Więcej muzyki

„Kto się przyzna do Mnie przed ludźmi, do tego i Ja się przyznam przed moim Ojcem, który jest w niebie. Ale jeśli ktoś się Mnie wyprze przed ludźmi, tego i Ja się wyprę przed moim Ojcem, który jest w niebie", mówi Jezus w Ewangelii Mateusza. Paweł Apostoł za nim powtarza: „Jeśli się Go wyprzemy, to i On się nas wyprze. Jeśli się będziemy Go zapierali, to i On nas się zaprze", ale też dodaje: „Jeśli my odmawiamy wierności, On wiary dochowuje, bo nie może się zaprzeć siebie samego". Jak się wydaje, to dopowiedzenie przeczy pierwszej części wypowiedzi. Spośród wielu objaśnień najwłaściwszą wydaje się ta, która uwzględnia proces powstawania Biblii – Księgi składającej się z wielu Ksiąg. Pisanych, i przepisywanych przez całe wieki. Naznaczonej zarówno duchem danej epoki, jak i kompetencją pisarzy, posługujących się chyba wszystkimi możliwymi gatunkami literackimi i nie tylko. Dlatego Jezus, jak i pozostali bohaterowie biblijnych opowiadań, mógł powiedzieć zarówno: „Odejdźcie ode Mnie, przeklęci, w ogień wieczny, który przygotowano diabłu i jego aniołom", jak też: „Nie przyszedłem po to, aby świat sądzić, ale aby świat zbawić". Na szczęście poza słowami mamy w Biblii również czyny. Podczas egzekucji prosi Ojca: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co robią". Podobnie Szczepan, kamienowany, modli się: „Panie, nie poczytaj im tego za grzech!".

Jezus, jak każdy człowiek, poznawał Boga w miarę dorastania i dojrzewania. Żył za to, co zarobił, jako bardziej murarz niż cieśla. Ani on sam, ani jego matka i ojciec nie żyli od cudu do cudu, ale od jednej do drugiej wypłaty. I to ta zwyczajność ich życia stała się cudem nad cudami, gdy odkryto, że Bóg żyje w takim świecie, jaki jest tu i teraz, że *sacrum* i *profanum* to nie dwie skłócone ze sobą rzeczywistości, ale jej awers i rewers. Dzieje się tak, gdyż Bóg jest stale obecny, a nie tylko czasami łaskawie nawiedza ziemię, przymuszony usilnymi modłami, ceremoniami, ofiarami. Właśnie to wynika ze słów Pawła: „Jeśli my odmawiamy wierności, (Bóg) wiary dochowuje, bo nie może się zaprzeć siebie samego". Bóg, choćby chciał, nie może, bo nie potrafi, wyzbyć się miłości. Na tym polega jego wszechmoc, że nie jest w stanie przestać kochać. To dlatego kościelne dzwony wygrywają tę samą melodię w dzień narodzin i w dzień pogrzebu.

Francuzi w uroczystość Narodzin Jana Chrzciciela do późnej nocy, jak kto potrafi, grają, śpiewają i tańczą. Być może w ten sposób przygotowują się na dzień obchodów jego męczeńskiej śmierci. Przecież wiemy, że śmierć to następne narodziny, tym razem dla tego, czego „oko nie widziało", o czym „ucho nie słyszało", ani człowiekowi w głowie i sercu nie postało. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Serce, nie kamień

Prawdziwa miłość im bardziej kocha, tym bardziej pragnie kochać.

OBŁOK NIEWIEDZY

Jestem tym, kogo kocham, a ten, kogo kocham, jest mną.

IBN 'ARABI

„On [Chrystus] sprawił, że mogliśmy się stać sługami Nowego Przymierza, przymierza nie litery, lecz Ducha; litera bowiem zabija, Duch zaś ożywia. Ale jeśli posługiwanie śmierci, utrwalone literami w kamieniu, dokonywało się w chwale (...), to o ileż bardziej pełne chwały będzie posługiwanie Ducha?" (2 Kor 3, 5-7). To niesłychanie ważny tekst, ale – jak się wydaje – w pierwszym odbiorze narażony na błędne uproszczenie w interpretacji. Mogłoby się wydawać, że Paweł przeciwstawia sobie dwa Przymierza: „Stare" i „Nowe", albo dwa posługiwania (pada tu greckie słowo: *diakonia*) – „Staremu" i „Nowemu" Przymierzu. Taka interpretacja prowadzi do herezji, zwłaszcza że to pierwsze posługiwanie jest dalej (w. 9) nazwane „posługiwaniem potępieniu" i przeciwstawione „posługiwaniu sprawiedliwości". O co więc chodzi? Jakie dwa „posługiwania" przeciwstawia sobie Apostoł?

W poszukiwaniu odpowiedzi wielce pomocne okazuje się tłumaczenie (i zakodowana w nim interpretacja) św. Hieronima na język łaciński. W Wulgacie „posługiwaniu Ducha" przeciwstawiona jest „*ministratio mortis litteris deformata in lapidibus*", co można przetłumaczyć (dosł.): „posługiwanie śmierci zniekształcone literami w kamieniu". Posługiwanie Nowemu Przymierzu nie jest przeciwstawione posługiwaniu „Staremu", lecz posługiwaniu zniekształconemu (*ministratio deformata*). Kiedy zostaje ono zniekształcone? Wtedy, gdy gwarancji swego życia upatruje ono w kamieniu, w którym co do litery zostały utrwalone jego zasady. Tymczasem prawdziwą gwarancją służby życiu jest zapis przymierza dokonany przez Ducha Świętego „nie na tablicach kamiennych, lecz na żywych tablicach serc" (2 Kor 3, 3).

Każdej religii – chrześcijaństwu na równi z judaizmem – grozi redukcja do „litery", i to jeszcze litery wyrytej w „kamieniu", a więc uznającej takie czy inne formy za „wieczne" (jak „wieczny" jest kamień; w przeciwieństwie do łatwo zniszczalnych: papieru czy pergaminu). Tymczasem, pielęgnowanie takiej czy innej formy kultu Bożego i przywiązanie do niej – samo w sobie dobre, piękne i właściwe – przestaje być takim, gdy staje się „skamienieliną": nie ma już w sobie życia. I nie dopuszcza do siebie nowego! A to nowe przychodzi zawsze jako propozycja Ducha Świętego. W tym właśnie kluczu, w Liście do Rzymian (Rz 7, 6) św. Paweł przeciwstawia „nowość Ducha" (Wlg: *novitas Spiritus*) „starości litery" (*vetustas litterae*).

Tak więc, „Nowe" Przymierze nie przeciwstawia się „Staremu"; przeciwnie – kryje się w nim, jest przez nie zapowiadane i „wypełnia" je w Chrystusie. Przeciwieństwo, jakie opisuje św. Paweł, dotyczy dwóch modeli „religii". Z jednej strony mamy sekwencję: Duch–serce–nowość–życie; z drugiej zaś: litera–kamień–starość–potępienie. Mogłoby się wydawać, że wybór jest oczywisty. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (25 VI – 2 VII)

12. niedziela zwykła: Jr 20, 10-13; Ps 69; Rz 5, 12-15; Mt 10, 26-33;
Poniedziałek: Rdz 12, 1-9; Ps 33; Mt 7, 1-5;
Wtorek: Rz 13, 2. 5-18; Ps 15; Mt 7, 6. 12-14;
Środa: Rz 15, 1-12. 17-18; Ps 105; Mt 7, 15-20;
Czwartek, uroczystość świętych apostołów Piotra i Pawła: Dz 12, 1-11; Ps 34; 2 Tm 4, 6-9. 16-18; Mt 16, 13-19;
Piątek: Rdz 17, 1. 9-10. 15-22; Ps 128; Mt 8, 1-4;
Sobota: Rdz 18, 1-15; Ps: Łk 1, 46b-50. 53-54; Mt 8, 5-17;
13. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 8-12a. 14-16a; Ps 89; Rz 6, 3-4. 8-11; Mt 10, 37-42.

Wybrał PIOTR SIKORA

PUŁAPKA DWÓCH BIEGUNÓW

Ilekroć Polacy zaczynali ostro oceniać rząd i zauważać pogarszającą się własną sytuację życiową, decydowali się na zmianę władzy. Właśnie jesteśmy świadkami podobnego zjawiska.

JAROSŁAW FLIS

Manifestacja 4 czerwca przyniosła trzy ważne obserwacje. Najbardziej jednoznaczna dotyczy obozu rządzącego. Chyba dopiero to wydarzenie uświadomiło mu, jak jest źle. Druga dotyczy głównego nurtu opozycji – zwolenników Koalicji Obywatelskiej i tych, dla których odsunięcie PiS od władzy jest celem samym w sobie, bez stawiania żadnych dodatkowych warunków. Oni najwyraźniej zobaczyli, że aż tak źle nie jest. Wreszcie ci, dla których to wszystko nie jest aż tak proste, mieli okazję do utwierdzenia się w swoich przekonaniach.

Bardzo źle

W zamieszaniu wywołanym przez lex Tusk i opozycyjny marsz niezauważony przeszedł najnowszy sondaż CBOS. Ta rządowa instytucja od 30 lat pyta Polaków również o oceny samego rządu. Pozwala to porównać sytuację obecnego obozu władzy z poprzednikami – tymi, którzy oddali rządy po jednej kadencji, i tymi dwoma premierami – Donaldem Tuskiem w 2011 r. oraz Mateuszem Morawieckim osiem lat później – którzy przy władzy się utrzymali.

Powiedzieć, że dzisiejszy rząd ma problem, to trochę mało. Choć sam trend jest już wyraźny od dwóch lat, to jednak zbliżające się wybory nadają obecnym ocenom coraz większą wagę. Właśnie z takich majowych sondaży odczytać można było w przeszłości wynik jesiennych wyborów. Tymczasem bilans ocen rząd Morawieckiego ma gorszy od tych, które były udziałem gabinetów Marka Belki w 2005 r. i Ewy Kopacz w 2015 r. Dużo słabiej wypadł jedynie rząd Jerzego Buzka w 2001 r., minimalnie gorsze były oceny rządu Jarosława Kaczyńskiego w maju 2007 r. Wszystkie one pożegnały się z władzą pół roku później, i to ze sporym przytupem.

Drugie kadencje zarówno koalicji PO-PSL, jak i Zjednoczonej Prawicy też były zapowiadane przez takie sondaże; w majowych zestawieniach znajdowały się bowiem „nad kreską" – liczba zwolenników była większa niż liczba ich przeciwników. Wyjątkiem jest rząd Włodzimierza Cimoszewicza, który w 1997 r. miał lepszy od nich bilans. Trzeba jednak pamiętać, że koalicja SLD-PSL przejęła władzę w 1993 r. za sprawą ledwie jednej trzeciej wyborców, po politycznej katastrofie rozdrobnionego obozu solidarnościowego. Konsolidacja, do której doszło cztery lata później, wystarczyła, by wrócić do władzy.

Powody krytycznych ocen rządu są rozliczne – były na łamach „Tygodnika" wyliczane nie raz i nie dwa. Tąpnięcie przyniosła zwłaszcza pandemia, z kulminacją jesienią 2020 r., kiedy to protesty po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji kazały pożegnać się PiS z ponad 40-procentowym poparciem w sondażach i dziś partia walczy raczej o 200 miejsc w Sejmie niż o większość – 231. Ostatnie miesiące niczego w tej kwestii nie wstrzymały, żeby wspomnieć tylko o chaotycznej reakcji na rosyjską rakietę pod Bydgoszczą. Lecz poza chybionymi inicjatywami, nieudolnością i nadużyciami władzy nastąpiło w tej kadencji jeszcze jedno zjawisko. Załamał się trwający 20 lat proces wzrostu osobistego dobrostanu, widoczny w innym sondażu CBOS – tym, w którym Polacy deklarują, czy żyje im się dobrze czy źle.

Bilans takich ocen rósł od 2001 r., z niewielką stagnacją w latach 2010-12. Najwyższy poziom osiągnął w wyborczym roku 2019, gdy ponad dwie trzecie z nas deklarowało, że żyje im się dobrze, a tylko 3-4 proc., że źle (pozostali nie mieli jednoznacznej opinii). Od wybuchu pandemii bilans takich ocen zaczął się powoli pogarszać, by po trzech latach spaść poniżej poziomu, z jakiego się wspinał po wyborach 2015 r. To poziom i tak wyższy niż ten, który deklarowali Polacy w poprzednich kilkunastu latach od początku wieku, lecz w naukach społecznych panuje przekonanie, iż rewolucje nie wybuchają wtedy, kiedy ludziom jest źle, lecz wtedy, kiedy po długim okresie wzrostu następuje odwrócenie trendu.

Jeszcze gorzej

Nastroje społeczne stanowiłyby dla obozu rządzącego wyzwanie nawet wtedy, gdyby był on zwarty i solidarny. Lecz przecież już od trzech lat nie jest. Kwintesencją jego obecnej sytuacji jest to, co się dzieje w Trybunale Konstytucyjnym. Organ powołany do rozstrzygania najważniejszych sporów prawnych nie jest w stanie ustalić, kto nim kieruje, i zebrać się w ustawowym pełnym składzie. Może udawać jedność tylko wtedy, gdy chodzi o obronę „swoich" – tak jak w przypadku niewiarygodnej deklaracji w sprawie prezydenckiego ułaskawienia Kamińskiego i Wąsika, kwestionującej stanowisko Sądu Najwyższego. Naprawdę polski prezydent może ułaskawiać, kogo chce, kiedy chce i bez spełniania jakichkolwiek warunków? Każdy następny też tak będzie mógł?

Ponieważ jednak nadzieja umiera ostatnia, PiS rozpaczliwie trzyma się myśli, że da się raz jeszcze wygrać tymi samymi środkami, nawet jeśli sił jest już znacznie mniej. Większość sejmowa jest zszyta cieniutką nitką, natomiast zasoby państwa wysysane są celem gromadzenia zaskórniaków na gorsze czasy, a nie z myślą o kolejnych wyborczych fajerwerkach. Te zaś – jak ukazuje przykład 800 plus – spalają na panewce. Ciągle jednak partia pociesza się pierwszym miejscem w sondażowym rankingu ↦

TOMASZ GRZYB / FORUM

Marsz 4 czerwca w Warszawie, 2023 r.

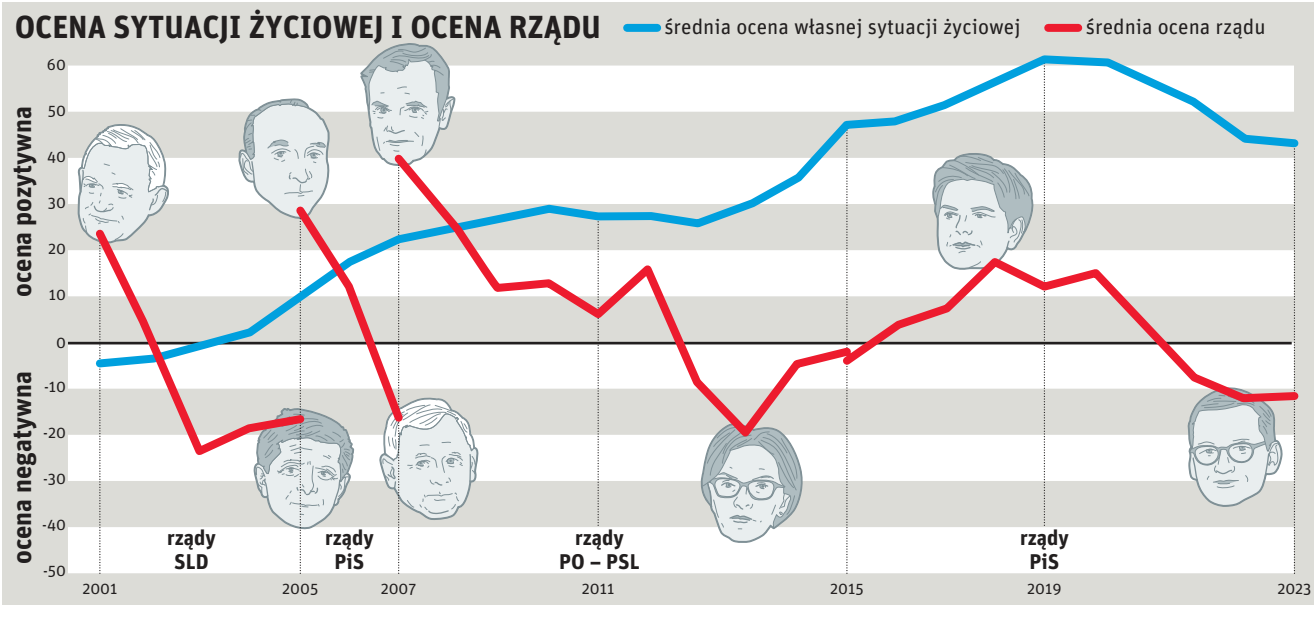

LECH MAZURCZYK

↦ i żyje wspomnieniami niegdysiejszych tryumfów. W zachowaniu dobrego samopoczucia pomagają jej też najzagorzalsi polityczni przeciwnicy, którzy za nic nie chcą porzucić nawyku demonizowania prezesa i jego drużyny, wyrobionego w coraz bardziej odległych czasach.

Znaczna część opozycyjnego komentariatu – w tym aktywni medialnie posłowie – jest rozdarta pomiędzy dwoma sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony jako oczywistość podkreśla ogrom zła będącego udziałem PiS – wliczając w to na równych prawach przestępstwa, błędy i zaniechania, ale też naturalną, przeciwną pozycję na osiach nieuniknionych ideowych sporów. Opozycja jest przekonana, że każdy rozsądny i uczciwy człowiek musi przyjąć taką właśnie perspektywę, więc co najwyżej, jak to ujął po manifestacji Tusk – „konsultować z PiS możemy warunki ich kapitulacji".

Z drugiej strony całe to środowisko dobrze pamięta, że takie same uczucia miało w 2019 r., a jeszcze lepiej, jak to się wtedy skończyło. Gardzi więc i podziwia. Jest bowiem przekonane, że tamto zwycięstwo PiS zawdzięcza sprytnym trikom i brakowi takowych po stronie opozycji. Bardzo chciałoby nokautu przeciwnika i frustruje się, że nie potrafi wyprowadzać ciosów, które mogłyby go przynieść. Choć za oczywistość uznaje swoje przywiązanie do demokracji, to w praktyce trudno mu sobie wyobrazić cierpliwe ucieranie poglądów i mozolne zwycięstwo na punkty. Te zjawiska nie mieszczą się w logice twitterowej komunikacji, która w klasie politycznej zaczęła dominować. Z takiej perspektywy oceniana jest też opozycyjna manifestacja.

Nie aż tak źle

Z marszem w rocznicę czerwcowych wyborów Tuskowi się poszczęściło. Pomógł mu PiS, kierując swe działania ku standardowym problemom, chwytającym za serce główny opozycyjny nurt – praworządności i nadużyciom władzy. Pomógł też prezydent, podgrzewając atmosferę wokół tematu. Najpierw szybkim podpisem pod ustawą o komisji badającej rosyjskie wpływy, a potem podważeniem swoich własnych deklaracji o konstytucyjności uchwalonych przez PiS rozwiązań. Wreszcie pomogła pogoda.

Tusk postawił na kartę, co do której nie było pewności, jaką ma wartość. Grał nią ryzykownie. Mógł swój pomysł wzmocnić i wykorzystać rozsądniej – już na etapie planowania dzieląc się inicjatywą 4 czerwca z pozostałymi liderami bloku senackiego. Wolał działać ponad ich głowami, choć przecież gdyby struktury reszty opozycji zaangażowały się wcześniej i uznały marsz za swój, frekwencja byłaby pewnie jeszcze większa.

Ale i tak wyszło na jego. Choć PiS swoimi inicjatywami ustawowymi poniekąd pokrzyżował plan, by głównym tematem uczynić drożyznę i złodziejstwo, to samo wystąpienie Tuska mogło się podobać. Tematy dzielące społeczeństwo zostały zgrabnie ominięte, podkreślone zostało zaś to, co może dobrze brzmieć w uszach nie tylko zwolenników wszystkich opozycyjnych partii, lecz również wahających się wyborców. Samorządność i proeuropejskość to akurat tematy, w których liderzy PiS najbardziej rozmijają się z odczuciami nawet własnego elektoratu.

Z relacji uczestników marszu wiem, że gdy jakaś grupa podjęła próbę skandowania hasła zapisywanego w postaci ośmiu gwiazdek, starsza dystyngowana manifestantka powiedziała głośno i z godnością: „Ja nie j...ę". Innego odzewu nie było. Próby przedstawiania przez spin-doktorów PiS odosobnionych incydentów na manifestacji jako dowodu na „marsz nienawiści" były równie oderwane od rzeczywistości jak zaniżanie frekwencji. Jeśli podważały czyjąś wiarygodność, to tylko ich samych.

Uczestnicy i kibice marszu mieli swoją chwilę tryumfu i radości. Tyle że po stronie organizatorów zabrakło pomysłu, co zrobić z liderami mniejszych partii. Trudno za sensowne uznać sprzeczne zeznania co do źródeł ich cichej obecności oraz mniej lub bardziej złośliwe komentarze w kolejnych dniach. Brak takiego przygotowania został szybko wykorzystany przez PiS i jego media. Gdy nie udało się zredukować skali wydarzenia ani zohydzić samych uczestników, pozostało wykorzystanie marszu do wbijania klina w szeregi opozycji. Służyć temu miało sugerowanie, że wszystko

to skierowane jest wyłącznie przeciw liderom Trzeciej Drogi i Lewicy. I jest ono groźniejsze dla Tuska niż szyta grubymi nićmi komisja, bo odbiera mu więcej wiarygodności. Dodatkowo może sprowokować paniczne ruchy ze strony innych liderów opozycji, ich zaplecza, czy wreszcie części wyborców.

Nie takie proste

Szczególnie niebezpieczne dla bloku senackiego jest ożywienie nadziei zwolenników jednej listy. Gdy zdawało się, że sprawa jest już zamknięta, znów pojawiały się głosy sugerujące to rozwiązanie. Jest jednak bardzo wątpliwe, by marsz przekształcił się w impuls, który przełamie ograniczenia stojące na drodze takiego projektu. Natomiast na pewno nie służy trójce potencjalnych koalicjantów dalsze roztrząsanie tego tematu. Wałkowanie go przez ostatni rok bez konkluzji przyczyniło się do kluczowej zmiany, która na naszej scenie nastąpiła wiosną – wyraźnego wzrostu sił Konfederacji.

W oczach zdeterminowanych przeciwników PiS jest jedna gorsza perspektywa niż samodzielne rządy tej partii w kolejnej kadencji. To koalicja PiS-Konfederacja. Partia, która jeszcze w zeszłym roku zmierzała pod próg wyborczy, została ożywiona splotem czynników. Na pewno swoją rolę odegrała tu zmiana kierownictwa na młodsze. W przypadku Sławomira Mentzena można nawet powiedzieć, że zupełnie nowe. Istotne znaczenie miało też rozpoczęcie przez KO licytacji z Lewicą w sprawach obyczajowych, a z PiS na polu transferów socjalnych. To ostatecznie osierociło niegdysiejszy rdzeń elektoratu Platformy – konserwatywnych liberałów. Najmniej przewidywalne skutki ma jednak inne źródło wzrostu poparcia Konfederacji.

Partia ta przez lata była przedstawiana – zarówno przez sam PiS, jak i resztę opozycji – jako sojusznik ostatniej szansy Kaczyńskiego. Sama też w niejednej sprawie stawała po stronie rządu. Nie dla interesu, lecz w ramach wspólnych poglądów, np. na kwestie europejskie. Ale takie rozchwianie to dla Konfederacji zagrożenie – gdy zbliżają się wybory, ludzie chcą mieć pewność, czy głosują za zmianą premiera czy za jego pozostawieniem. Nowe kierownictwo ostatecznie jako swój sztandar podniosło ostrą krytykę rządu. Krytykę z innej strony, niż zwykła to czynić reszta opozycji – uderzenie skierowane zostało na flagowe projekty PiS, czyli transfery socjalne z 500 plus na czele.

> Ostatnią deską ratunku dla PiS stała się partia, której główną bronią jest atakowanie rządu **i która marzy o zepchnięciu go w otchłań.**

To tworzy sytuację w zasadzie tragikomiczną. Ostatnią deską ratunku PiS stała się partia, której główną bronią jest atakowanie jego rządu i której marzy się zepchnięcie go w otchłań, a w końcu zajęcie jego miejsca na scenie politycznej. To mogłaby być zapowiedź niezłego powyborczego chaosu, tyle że do wyborów jeszcze daleko. Teoretycznie KO mogłaby się teraz skoncentrować na działaniu, które zwiększy jej siłę wcale nie kosztem PiS czy senackich koalicjantów – na wyrwaniu młodych liberałów spod skrzydeł Konfederacji. To jednak manewr znacznie trudniejszy niż przekonywanie wyborców chcących odsunąć Kaczyńskiego od władzy, że najskuteczniejszym na to sposobem jest przeniesienie swojego poparcia z mniejszych partii (Trzeciej Drogi i Lewicy) na KO.

Ten argument, powtarzany raz za razem w publicznej debacie, jest po prostu nieprawdziwy. Biorąc pod uwagę matematyczne wyliczenia nie ma znaczenia, na którą z list opozycyjnych padnie głos, jeśli żadna z nich nie wyląduje pod progiem. Za to z punktu widzenia nawet największej partii opozycyjnej kluczowe jest to, żeby żaden z potencjalnych sojuszników pod progiem nie wylądował. Jeśli nie da się ich połknąć w całości, to lepiej pozwolić im żyć w spokoju, troszcząc się o to, by pozyskiwali nowych wyborców spoza sojuszu – w szczególności mobilizowali przez swoje sieci społeczne miliony biernych dotąd obywateli.

Z perspektywy opozycji najważniejszym przedwyborczym wydarzeniem ostatnich tygodni było porozumienie PSL i Polski 2050. Zredukowało ono liczbę liczących się partii do takiej, która mieści się w ramach naszej rywalizacji politycznej. Osobny start aż czterech partii bloku senackiego najpewniej oznaczałby, że jedna z nich wyląduje tuż pod progiem. Tego właśnie uniknięto. W efekcie mamy obecnie (z PiS i Konfederacją) pięć list, które sytuują się nad wyborczym progiem. To dokładnie tyle, ile dostawało się do Sejmu w 2011, 2015 i 2019 r. Od czasu wprowadzenia obecnych okręgów w 2001 r. i metody D'Hondta w 2005 r. tylko raz było ich mniej (cztery w 2007 r.), raz zaś więcej (sześć w 2005 r.). Trzecia Droga rozwiązała więc główny problem opozycji w minionym roku, lecz sojusznicy nie chcą tego docenić.

Trudno powiedzieć, na czym zwolennicy jednej listy opierają swoje rachuby. Jest mało prawdopodobne, by w wyborach sejmowych doszło do takiej polaryzacji, jak w drugiej turze wyborów prezydenckich. *De facto* na naszej scenie politycznej mamy do czynienia raczej z triangulacją i to w formie „uszczelki Sierpińskiego" – czyli nieskończenie rozdrabniających się trójkątów. Są dwie duże partie i ta reszta, która się w nich nie mieści. Ona też się dzieli na trzy – Trzecią Drogę, Lewicę i Konfederację. Każda z nich również się dzieli, jak Trzecia Droga z PSL, Polską 2050 i byłymi politykami PO. Nawet niegdyś Zjednoczona Prawica dziś w praktyce dzieli się na zakon PC, grupę Morawieckiego i drobnicę, z Suwerenną Polską na czele.

Taka polityczna triangulacja, jak jej geograficzny odpowiednik, pozwala dostrzec więcej, patrząc na każde zjawisko z dwóch różnych stron. Może być źródłem przewag, jeśli dobrze ją wykorzystać, lecz może też prowadzić do zgubnych konfliktów i zamieszania. Efekt politycznej triangulacji jest taki, że nie mamy do wyboru tylko PiS i PO. Któraś z tych sił na pewno będzie u władzy po wyborach, ale o tym, która z nich, zdecyduje relacja sił pomiędzy trzema siłami spoza tej pary. Dwie większe partie mogą na tę zależność sił wpłynąć, lecz to nie takie proste, jak wzajemne odsądzanie się od czci i wiary. Wymaga samoograniczenia i pomysłów. I to będzie kluczowa rozgrywka w najbliższych miesiącach.

© JAROSŁAW FLIS

Ciężko chora rzeka

ILONA BIEDROŃ,
INŻYNIERKA ŚRODOWISKA:

Zaklinamy rzeczywistość, zamiast starać się zrozumieć, co się dzieje. Rzeki ciągle do nas mówią, a Odra od roku wręcz na nas wrzeszczy: „Umieram, cholera!”.

KRZYSZTOF STORY: 10 czerwca z wpływającego do Odry Kanału Gliwickiego wyłowiono 450 kg martwych ryb. Jak się ma nasza druga największa rzeka niemal rok po katastrofie?

ILONA BIEDROŃ: W Kanale Gliwickim i Kędzierzyńskim jest słono. Mamy zdiagnozowaną i potwierdzoną „złotą algę”. Obserwacje wskazują na uszkodzenia skrzeli ryb przez poparzenia prymnezyną – toksyną, którą wydzielają glony, gdy kwitną. Zakwitu nie wykrył jednak monitoring. Nie pojawiła się też charakterystyczna dla tego zjawiska piana. Ryby padały jeszcze w następnych dniach, łącznie było to około 1000 kg.

Próbki zostały przebadane, obecność algi potwierdzona. Na Kanale Gliwickim przy śluzie Nowa Wieś wyszło 51 mln komórek Prymnesium parvum na litr. To ok. 8 razy mniej niż rok temu, ale wystarczająco, by wystąpił toksyczny zakwit.

Mamy dopiero czerwiec. Nikt nie przesądzi dzisiaj, czy czeka nas powtórka w tej samej skali, ale jedno wiemy: stan pacjenta jest gorszy niż rok temu. Odra straciła większość ryb i masę innych organizmów. Praktycznie wyginęły małże, które filtrują wodę.

Odra jest pacjentem?

Nie jestem lekarzem, ale tak: patrzyłabym dzisiaj na Odrę i całą jej zlewnię jak na kogoś przewlekle chorego.

W zeszłym roku pacjent prawie umarł nam na stole. Od tego czasu woda w Odrze jest regularnie badana, a z końcem maja ruszył zapowiadany przez rząd automatyczny system monitoringu jakości wody.

Przez rok staliśmy nad chorym i mierzyliśmy mu temperaturę, ale nie podaliśmy skutecznego lekarstwa. Działania przy śluzach były doraźne. Odra musi się czuć jak pacjent w typowej przychodni: każdy lekarz patrzy na niego tylko z perspektywy swojej specjalizacji. Neurolog skieruje na tomograf, internista przepisze antybiotyki, kardiolog – leki na nadciśnienie. Działamy objawowo, teraz służby zdecydowały się sztucznie natleniać wodę w Kanale Gliwickim. Świetnie, tylko nadal nie zajmujemy się pierwotną przyczyną.

Przykładowo: dwa rządowe raporty po katastrofie skupiają się wyłącznie na zakwicie złotej algi latem 2022 r. A to był przecież ostatni etap, konsekwencja wszystkiego, co zrobiliśmy ze zlewnią Odry. Na to z kolei bardziej zwracają uwagę raporty organizacji pozarządowych. Jednak nikt nie patrzy na rzekę holistycznie i to nie zawsze jest kwestia złej woli. Po prostu nie mamy dobrych danych, aby postawić rzetelną diagnozę.

Wszystkie legalne zrzuty ścieków, piętrzenia czy pobór wody odbywają się na podstawie pozwoleń.

Pozwolenia określają maksymalne i średnie wartości korzystania z wód. Nie mamy ciągłych pomiarów. Nie wiemy, ilu użytkowników w danym momencie korzysta z rzeki, co do niej wylewają. Średnia na wykresie się zgadza, tylko co z tego, skoro w środku suszy przychodzi moment krytyczny, a rzeka na przekór naszym wyliczeniom mówi: mam dość.

Wtedy szukamy jednego winnego, oferujemy milionowe nagrody. Chętnie skupiamy się na dużych użytkownikach: kopalniach, wielkich zakładach. To przynajmniej jesteśmy w stanie oszacować. Gorzej, gdy spojrzymy np. w stronę małych, często przestarzałych i niewydolnych oczyszczalni. W całej Polsce, w tym w zlewni Odry jest ich mnóstwo, a w większości typowym zjawiskiem jest „awaria”. To szyfr na nadmiar ścieków, które po prostu lądują w rzece nieoczyszczone. Ile? Jak często? Co dokładnie wylewamy? Ile azotanów i fosforanów spływa z pól uprawnych? Nie wiemy.

Da się to naprawić?

Nie ma magicznej tabletki. Potrzebujemy strategii, konsekwencji, uważno-

KRZYSZTOF CWIDERSKI / PAP

Natlenianie wody w Kanale Gliwickim. Kędzierzyn-Koźle, 12 czerwca 2023 r.

ści. Ciężko nam to przychodzi, ale nie ma innego wyjścia. Odra jest rzeką. I jak każda rzeka składa się z dopływów. Jej problemy biorą się więc z tysięcy małych rzek w zlewni zajmującej niemal pół kraju. Zajmuję się gospodarką wodną prawie 20 lat i widzę, jak przez ten czas wykreśla się z systemu kolejne elementy długofalowego planowania. Przy nowelizacji prawa wodnego pozbyliśmy się np. „warunków korzystania z regionów wodnych". One nie były doskonałe, ale stanowiły przynajmniej próbę spojrzenia na sytuację mniejszych rzek.

Druga rzecz to słuch. W ustach inżynierki to może zabrzmieć dziwnie, ale mi brakuje wysłuchania Odry. Zaklinamy rzeczywistość, zamiast starać się ją zrozumieć. Tymczasem rzeki ciągle do nas mówią, Odra od roku wręcz na nas wrzeszczy. Zakwitają glony, umierają ryby, to znaczy: „Nie daję rady! Umieram, cholera! Wy planujecie kolejne stopnie wodne, zapory, spowalniacie mi przepływ, a ja się tu zaraz ukiszę. Wylewacie słoną wodę z kopalń, solicie drogi i wodę w zmywarkach, a potem się dziwicie, że mam za wysoki poziom zasolenia. Za chwilę zamiast ryb będziecie mieli tylko algę. Jestem rzeką, gdzieś muszę mieć przestrzeń na wodę po ulewnych deszczach czy roztopach. Jeśli nie chcecie, żebym wylewała w dużych miastach, dajcie mi się rozlać na pola i łąki".

Czy po ubiegłorocznej katastrofie usłyszeliśmy cokolwiek sensownego?

Niewiele. Jako państwo pozwoliliśmy, by Odra była jeszcze bardziej słona.

Jak to?

Na początku 2023 r. Polska po raz kolejny aktualizowała Plany Gospodarowania Wodami, wymagane Ramową Dyrektywą Wodną (RDW).

Wyjaśnijmy: RDW jest najważniejszym w UE prawem dotyczącym gospodarki wodnej. Na jej podstawie państwa co sześć lat opracowują nowe plany dla konkretnych rzek i ich zlewni. Celem jest poprawa jakości wód w całej Europie.

Co sześć lat robi się analizę, wyciąga wnioski i wdraża nowe rozwiązania. Preambuła RDW jest piękna: „Woda nie jest produktem handlowym takim jak każdy inny, ale raczej dziedzictwem, które musi być chronione, bronione i traktowane jako takie".

Co poszło nie tak?

Polska w najnowszej aktualizacji podniosła dopuszczalne zasolenie wód znajdujących się „pod silną presją zasalającą", czyli np. tych, do których wylewa się wody pokopalniane. Maksymalny dopuszczalny poziom jest teraz ponad 3-krotnie większy. Ze względu na presję związaną z kryzysem energetycznym, kopalnie i elektrociepłownie dostały wolną rękę. Popuściliśmy pasa.

Co na to Odra?

Zdecydowana większość przebadanych w ostatnich miesiącach próbek ma przekroczony poziom przewodności [parametr, którym mierzy się zasolenie wody – przyp. red.].

Odra jest najmocniej przekształconą przez człowieka rzeką w Polsce, ale takiej katastrofy nie mieliśmy nigdy. Osiągnęliśmy jakiś punkt krytyczny?

Jak ciągle bijesz psa kijem, to trudno się dziwić, że potem warczy i w końcu gryzie. W 2015 r. mieliśmy w Polsce ogromną suszę i od tamtej pory problem powtarza się co roku. Nawet teraz, w czerwcu, wydawane są pierwsze ograniczenia w zużyciu wody w północnej, suchej jak wiór, Polsce.

Nawet jeśli średni przepływ wody w rzekach nie zmienił się mocno, to z badań widać, że stany niskie zrobiły się jeszcze niższe. Wisła nie bez przyczyny od kilku lat bije negatywne rekordy na wodowskazach w Warszawie; na innych rzekach dzieje się to samo. Wpływ zmian klimatu jest tu oczywisty, ale jeszcze więcej szkód zrobiliśmy sami.

Ale na Odrze w ostatnich latach nie powstały żadne spektakularne inwestycje hydrotechniczne. Rzeka płynie, jak płynęła.

Nie patrzmy tylko na Odrę. Skąd się bierze woda w rzece, kiedy nie pada? Tu nie trzeba być naukowcem, chłopski rozum wystarczy – z wód podziemnych. A my przez ostatnie dekady systemowo pozbywaliśmy się wody z krajobrazu. Ograniczyliśmy rzekom zasilanie wodami podziemnymi.

Betonozą?

Nie tylko. Wycinka lasów, rowy przy każdej drodze, rowy na polach, osuszanie wszystkiego, co się da. Straciliśmy 85 proc. torfowisk, najlepszych gąbek wody i węgla na świecie. Strefy buforowe przy rzekach zabudowujemy albo orzemy niemal do samego brzegu. Odwodniliśmy kraj.

Jak można to odwrócić? Trzy lata temu pod Pani kierunkiem powstał „Krajowy program renaturyzacji wód powierzchniowych", dokument zamówiony i przyjęty przez Wody Polskie.

I niestety nie zrealizowany. Został przyjęty jako dokument kierunkowy, a nie jako program działań.

Renaturyzacja. Ciężko wymówić.

Żałuję, że to słowo jest takie karkołomne, bo pod nim kryją się często bardzo proste rozwiązania. Ogromną różnicę w wielu przypadkach daje renaturyzacja bierna. Traktujesz wtedy rzekę jak kolegę wykończonego po całym tygodniu pracy. ↦

↦ On nie jest chory, po prostu potrzebuje odpocząć. Odra już nie jest na tym etapie, ale kilka z jej dopływów tak. Wystarczy dać im chwilę spokoju.

Kolejny etap to nasadzenia drzew na brzegach, odtwarzanie stref buforowych, podnoszenie dna. Dopiero na samym końcu są spektakularne projekty, zakładające burzenie tam, odtwarzanie meandrów czy odsunięcie wałów, aby dać rzece przestrzeń.

Mam wrażenie, że jak na razie idziemy w drugą stronę. W trakcie naszej rozmowy Sejm pracuje nad projektem „ustawy o rewitalizacji rzeki Odry". Zaakceptował go rząd.

Jest tam przepis podnoszący opłaty za solenie. Tylko że ma wejść w życie w... 2030 r.

Ustawa ma mieć ponad miliardowy budżet i zaczyna się od sześciu stron z wyliczeniem inwestycji, które mają pomóc rzece. Są tam stopnie wodne w Ścinawie i Lubiążu, zbiorniki wodne, jazy. Znamy już te pomysły.

Można pójść do dowolnego dużego biura hydrotechnicznego w Polsce, otworzyć szafę, i sądzę, że wypadną z niej te same projekty. Nie zmieniają się od 30 lat, nieważne, czy mają być częścią programu przeciwdziałania suszy, ratowania Odry, czy ogólnej strategii gospodarki wodnej.

Niezależne raporty organizacji ekologicznych, naukowców z PAN, a nawet UE mówią, że regulację Odry należy wstrzymać, jeśli faktycznie chcemy przywrócić życie w rzece. W ustawie dostajemy coś innego. Czy te dwa światy dalej mówią o tej samej rzece?

Jedną część odpowiedzi da się streścić w jednym słowie: polityka. Ale jest coś jeszcze. Żeby odpowiednio zarządzać, trzeba wiedzieć, jaki cel chcemy osiągnąć i dobrze go poznać. U nas w przetargach sensowny budżet jest jedynie na opracowanie wyników i przedstawienie rekomendacji.

Na studiach uczono mnie ciężkiej hydrotechniki, ale nie tego, że jako inżynier mam uszanować naturalne procesy. Nikt nie zwracał uwagi na to, że nasze pomysły, jak ułatwić życie ludziom, powinny zawierać kompromis ze środowiskiem. Dzisiaj decyzje podejmują ludzie

TOMASZ JAGODZIŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

ILONA BIEDROŃ jest wiceprezeską fundacji Hektary dla Natury, absolwentką inżynierii środowiska Politechniki Krakowskiej. Prowadzi badania doktorskie z zakresu suszy. Pod jej kierownictwem na zamówienie Wód Polskich powstał „Krajowy program renaturyzacji wód powierzchniowych".

w moim wieku i starsi. Trochę ich rozumiem, ale efekt jest taki, że powstaje specustawa, w której napisane jest, że zbudujemy przegrody na rzece, by podnieść stan wody i przeciwdziałać suszy. A przecież pytanie o zdrowie rzeki nie brzmi: ile wody ma stać w rzece? Pytania brzmią: ile wody tu płynie? Co w niej żyje? Co rośnie na brzegach? Czy mogę się wykąpać?

Stopnie wodne nie pomogą? Buduje się przy nich przepławki dla ryb.

Ryby mogą przepłynąć, ale życie rzeki zależy też od czegoś innego: od transportu rumowiska, materiału, który tworzy jej dno. Budując stopień wodny odcinamy wszystko, co powyżej niego. Poniżej rzeka zaczyna wymywać dno, a wtedy obniża się poziom wód podziemnych. To tak, jakby stopniowo człowiekowi usuwać półki z lodówki od góry. W końcu może się okazać, że nie będzie miał co jeść.

Przecież mamy prawo. Ramowa Dyrektywa Wodna wyraźnie nakazuje poprawianie stanu wód i pokazuje, jak to robić.

I jednocześnie zostawia furtkę. Jeden artykuł pozwala realizować niekorzystne inwestycje ze względu na „nadrzędny interes społeczny" (np. ryzyko przeciwpowodziowe). Zrobiliśmy z tego wytrych do wszystkiego. Ale to nie jest jedynie polski problem, mało który kraj dobrze wdrożył to prawo. Jesteśmy gdzieś w środku europejskiej stawki.

Często się mówi, że mamy mniej wody niż Egipt.

Mniej więcej tyle samo. Tylko Egipcjan jest prawie trzy razy więcej. Po drugie wystarczy, że w Sudanie zakręcą korek na Nilu i Egipt jest bez wody. My nie jesteśmy może wodnym rajem, nie mamy wielkich cieków spływających z Alp, ale naprawdę nie jest źle. Droga każdej kropli, która spada na Polskę, zależy wyłącznie od nas. Nie wpływa do nas żaden wielki Dunaj, gdzie stan rzeki zależy od ośmiu innych państw. Jednak nie myślimy o tym, jak bardzo zmieniamy drogę tych kropli wody. Jeśli chcemy przeciwdziałać powodziom, suszom, toksycznym glonom – musimy przedłużać ich bieg. Widzimy, co się dzieje, kiedy kopiemy im rowy, studzienki na betonowych pustyniach i pilnujemy, by jak najszybciej spłynęły do morza.

Czy los Odry mogą podzielić inne polskie rzeki?

Mówiliśmy, że to rzeka najbardziej przekształcona i mocno solona. Wisła jest bardziej naturalna, ma większą odporność, potwierdziła to choćby podczas awarii oczyszczalni Czajka. To kolejny argument za renaturyzacją. Ogromne problemy są za to na mniejszych rzekach, choć zupełnie inne. One po prostu coraz bardziej wysychają lub niosą duże ilości zanieczyszczeń. Tylko nikt ich nie monitoruje.

Mój dom rodzinny stoi dwa kilometry od Odry. Czy z perspektywy zwykłego obywatela mogę coś zrobić?

Samemu? Niewiele. Ale możesz zbudować lokalną społeczność, zabrać ją nad rzekę, żeby poczuła, że to również jej sprawa. Jeśli masz znajomych rolników, przekonaj ich, żeby nie orali pola do samej rzeki. Może nie musisz zabetonować całego podjazdu przed domem? Albo kosić trawy co tydzień? Wiem, że słyszymy to regularnie, ale to nie przekreśla sensu tych działań. Jako inżynier technicznie podchodzę do życia, ale wiem, że dzisiaj poza inwestycjami i wyliczeniami potrzebujemy w zarządzaniu wodą czegoś zupełnie niewymiernego: szacunku.

©℗ Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

Czasem mamy dość

ANNA GOLUS

Rodzice najpopularniejszych polskich kidfluencerów, czyli dziecięcych gwiazd internetu, zrobili z nich źródło dochodu. Łamią nie tylko ich prawo do prywatności, ale również przepisy Kodeksu pracy.

Trwa to już ze cztery lata i pierwszy raz wyszła taka sytuacja. Żartowali, jak to nieraz żartujemy. (...) W pewnym momencie syn po prostu przekroczył granicę. Widocznie widzowie tego oczekiwali" – mówiła mediom babcia 7-letniego chłopca, którego rodzice zarabiali, prowadząc na TikToku transmisje z domu w Dąbrowie Górniczej. W marcu ojciec „zażartował", podduszając dziecko, więc sąd umieścił je w rodzinie zastępczej, a prokuratura postawiła rodzicom zarzut znęcania się i zakazała publikacji treści w mediach społecznościowych.

Dorosłych, którzy upubliczniają w internecie wizerunek swoich dzieci i zarabiają na sprzedawaniu ich prywatności, jest coraz więcej. Nie robią tego zazwyczaj w tak drastyczny sposób jak w Dąbrowie, jednak często łamią prawo, nawet gdy odbiorcami są dzieci.

House tour

„Ja jestem taki mały, a takie mam filmiki! Zaplasam na mój kanał »Siema, tu Malcel«" – wykrzykuje 3-letni Marcel, podskakując obok wiszącego nad jego łóżkiem srebrnego przycisku „YouTube". Siostra chłopca wyjaśnia widzom, że jej brat to „chyba pierwszy trzylatek w Polsce, który zdobył 100 tys. subskrypcji", a właśnie za takie wyniki YT przyznaje swe wyróżnienia w postaci przycisków. Dziś Marcel ma 7 lat, a jego kanał – 436 tys. subskrypcji. Jego siostra, 13-letnia Lena, która występuje na kanale „Hejka tu Lenka" od 6. roku życia, jest najpopularniejszym dzieckiem na polskim YouTubie – ma 1,45 mln stałych widzów i złoty przycisk za milion subskrypcji.

Oba kanały prowadzone są przez rodziców rodzeństwa, Dorotę i Mariusza Pachuców – gdyż konto na YT mogą mieć osoby od 16. roku życia (na Facebooku, Instagramie i TikToku od 13. roku) – i stanowią dla nich źródło dochodu. Kilka miesięcy po opublikowaniu pierwszego filmu Pachuc zarejestrował firmę Hejka tu Lenka z siedzibą w domu rodziny, który na Google Street View zamazano, ale jest pokazywany w mediach społecznościowych. Scena z podskakującym trzylatkiem pochodzi z opublikowanego na kanale Leny wideo pt. „Co dostałam na święta i house tour", a dziewczynka pokazuje widzom cały swój dom – z zewnątrz i od środka. W innym filmie prezentuje własny pokój, zaglądając do wszystkich szafek i szuflad (oprócz jednej: na bieliznę).

Jednym z popularniejszych filmów (4,6 mln wyświetleń) jest nagranie pasowania na ucznia w szkole, która również pojawia się często na kanale Leny. Obok materiałów dokumentujących życie dzieci, reklamowych unboxingów (otwierania zabawek) czy challenge'ów (internetowych wyzwań) na kanale tym publikowane są też filmy reżyserowane, oparte na scenariuszach, w których dzieci, ich rodzice oraz inne osoby wcielają się w różne role. Nagrania są publikowane regularnie, co najmniej raz w tygodniu. ↦

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

↦ Dyrektorka szkoły odmówiła rozmowy z „Tygodnikiem", ponieważ Pachucowie się na to nie zgodzili, a pytania (m.in. o zezwolenie inspektora pracy na pracę Leny, warunki udostępniania jej rodzicom przestrzeni szkoły czy zgody opiekunów prawnych innych uczniów na upublicznianie ich wizerunków) są według niej „zbyt stronnicze". Wypowiedzi odmówiła też agencja influencer marketingu LifeTube, która współpracuje z Pachucami i na swojej stronie zapewnia, że kanał ich córki „idealnie nadaje się dla klientów z branży skupionej na najmłodszej grupie odbiorców".

Lena reklamuje jednak nie tylko produkty dla dzieci (w tym serię artykułów szkolnych z własną podobizną), ale też m.in. lustra do makijażu czy wypożyczalnię aut sportowych. Jej rodzice sprzedają także odzież, gadżety, książki, a nawet towarzystwo swoich dzieci, które w tym roku po raz drugi będą stanowić atrakcję na siedmiodniowym obozie Lenka Challenge Camp.

Ostatni przytulas

Za 2449 zł dzieci w wieku 7-15 lat mogą spędzić trochę czasu ze swoją idolką. Jak widać na relacjach z zeszłorocznego obozu, tego czasu nie ma zbyt dużo, bo Lenka jest jedna, a dzieci – prawie setka w kilku grupach. Dziewczynka musi wszystkich przytulić, zrobić sobie z nimi *selfie*, rozdać autografy, bawić się kilka razy (z każdą grupą osobno) w te same gry.

„Najsmutniejszy czas na całym obozie – ostatni przytulas, ostatni raz mogliśmy się przytulić do rodzinki Lenki i do niej, no i praktycznie większość osób płakała" – wspomina na YouTubie uczestniczka tego obozu, której rodzice również prowadzą (znacznie mniej popularny) dziecięcy kanał wideo.

Myślę o tym, jak czuła się Lena, przytulając kilkadziesiąt osób, których rodzice wykupili możliwość kontaktu z nią? Jak odnajdował się w tym wszystkim Marcel, też uważany za idola? Czy dzieci miały ochotę na tyle bliskich spotkań z obcymi ludźmi? Czy mogły odmówić?

Rodzice Leny i Marcela nie zgodzili się na rozmowę z „Tygodnikiem". Z kolei organizator obozu, firma MyMusic, nie odpowiedział na moje pytanie, czy inspektor pracy wydał zezwolenie na zatrudnienie dzieci.

Za zatrudnienie dziecka bez zgody inspektora pracy grozi grzywna do 30 tys. zł. Za zamianę go w maszynkę do pieniędzy nie ma paragrafu.

– Zgodnie z Kodeksem pracy dzieci poniżej lat 16 mogą wykonywać pracę lub inne zajęcia zarobkowe wyłącznie na rzecz podmiotu prowadzącego działalność kulturalną, artystyczną, sportową lub reklamową, z tym że nie może to być praca stała – mówi Juliusz Głuski-Schimmer, rzecznik Głównego Inspektoratu Pracy. – Świadczenie pracy odbywa się na podstawie zgody przedstawiciela ustawowego dziecka i zezwolenia właściwego inspektora pracy. Rodzaj pracy nie może zagrażać życiu, zdrowiu i rozwojowi psychofizycznemu dziecka ani kolidować z jego obowiązkami szkolnymi. Za tym, że praca nie jest sprzeczna z powyższymi założeniami, przemawiają opinie i zgody, które trzeba dołączyć do wniosku kierowanego do inspektora.

Oprócz zgody rodziców do takiego wniosku należy dołączyć opinię poradni psychologiczno-pedagogicznej, orzeczenie lekarza i opinię dyrektora szkoły, jeśli dziecko podlega obowiązkowi szkolnemu. Firma Hejka tu Lenka Mariusza Pachuca nie wnioskowała o wydanie zezwolenia na pracę dzieci, o czym poinformował mnie Okręgowy Inspektorat Pracy w Katowicach, na terenie którego zarejestrowana jest firma. Rodzice Leny i Marcela łamią nie tylko polskie prawo, ale też zasady YouTube'a, zgodnie z którymi osoby publikujące treści z udziałem dzieci muszą chronić ich prywatność i przestrzegać przepisów dotyczących zatrudniania dzieci.

Być jak Lenka

„Wszystko się zaczęło, jak miałam 6 lat. Oglądałam sobie wtedy filmiki Hejki tu Lenki i bardzo mi się one podobały, i też chciałam tak nagrywać – mówiła bohaterka kanału „Zaczarowany świat Sary", gdy miała 8 lat. – Całymi miesiącami namawiałam rodziców, żeby założyli mi kanał, a oni za żadne skarby nie chcieli się zgodzić, więc ja kradłam tacie telefon i się nagrywałam. Gdy taty telefon był całkowicie zapchany moimi filmikami, tata się nade mną zlitował i w tajemnicy przed mamą założył mi kanał. Strasznie się bałam reakcji mamy, ale jak zobaczyła mój pierwszy filmik, to się zgodziła na kolejne".

To jednak rodzice Sary, Andrzej i Julia Żyraccy, tworzą „jej" kanał, od początku nagrywając również jej młodszego brata Wiktora, który jako dwulatek raczej ich na to nie namawiał. Zarejestrowali firmę Sarka Media, zgłosili znak towarowy „Zaczarowany świat Sary", mają sklep internetowy z odzieżą i akcesoriami, wydali dwie książki i magazyn dla dzieci. Dotychczas opublikowali prawie 350 filmów, z reguły fabularnych i reklamowych. Na przykład odcinek „24H na fotelu! #118 Sara – challenge po polsku" – z pozoru wpisujący się w trend „wyzwań" – to reklama fotela, o którym wówczas 8-letnia dziewczynka mówi: „to najlepszy fotel dla gamerów na świecie. (...) Gdy kupicie ten fotel, nie będziecie potrzebować żadnych innych mebli".

Podobnie jak na kanale „Hejka tu Lenka", fikcja i reklama przeplata się tu z rzeczywistością i prywatnością dzieci, których codzienność jest nie tylko upubliczniana i monetyzowana, ale również fabularyzowana. Ich domy regularnie przemieniają się w plan filmowy, a całe rodziny uczą się swoich ról i grają same siebie w fikcyjnych sytuacjach.

– Środowisko, w którym fikcja miesza się z realnością, niekoniecznie będzie korzystne dla rozwoju dziecka – mówi psycholożka Marta Wojtas, koordynatorka Poradni Dziecko w Sieci Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. – Dom zmieniający się co kilka dni regularnie w plan filmowy może obniżać poczucie bezpieczeństwa dziecka oraz wpływać na jego rozumienie świata i siebie. Trudno określić poziom szkodliwości takiego zjawiska, ale jeśli dziecko we własnym domu nie może być sobą, lecz regularnie musi odgrywać jakąś fikcyjną wersję siebie, w jego głowie mogą pojawić się wątpliwości, które jego „ja" jest prawdziwe. Poza tym to ciężka praca (nagranie krótkiego filmu może trwać nawet dwa dni), na którą dziecko nie zawsze ma siłę i ochotę.

Poza domem nie jest lepiej. Kidfluencerzy to gwiazdy, na widok których inne dzieci piszczą, co trudno uznać za dobre relacje z rówieśnikami. Pod koniec filmu ukazującego pierwsze spotkanie z fanami 9-letnia wówczas Sara mówi: „Jeśli chcecie następne spotkanie, to wciśnijcie 50 tysięcy łapek w górę pod tym filmikiem". Dziś dziewczynka ma 12 lat, a „jej" kanał – ponad milion subskrybentów. Połowa jej życia i prawie całe życie jej brata związane są z grą na YouTubie (notabene zarabiającym krocie na emisji takich filmów).

– Myślę, że to jest niedobre zarówno dla dzieci, które występują na takich kanałach, jak i dla dzieci, które je oglądają – dodaje Wojtas. – Młodym widzom wydaje się, że to świetna zabawa, i też chcą być youtuberami i influencerami. Nie rozumieją, dlaczego rodzice i regulaminy serwisów społecznościowych w określonym wieku im tego zabraniają.

Pytam rodziców Sary m.in. o zezwolenie inspektora pracy na pracę dzieci i o konsekwencje ich popularności oraz regularnej gry aktorskiej w domowej przestrzeni. Odmawiają odpowiedzi. Sprawdzam więc w Okręgowym Inspektoracie Pracy w Katowicach, czy wydano zezwolenie na pracę Sary i Wiktora w firmie Sarka Media, i dowiaduję się, że nawet nie złożono takiego wniosku.

Kupa we włosach

„Zużyłyście strasznie dużo papieru toaletowego. Została nam ostatnia rolka i ja wam teraz powiem, jak ją będziemy dzielić. Więc tak, dziewczyny: na »dwójeczkę« dwa kawałki, na »jedyneczkę« jeden kawałek" – mówi do swoich córek, wówczas 11-leniej Hani i 9-letniej Amelki, Magdalena Kordaszewska, w filmie pt. „Czy Mama zwariowała? – #pandaChallenge" na kanale „Zabawkowicz". Również ten ma charakter fabularny i reklamowy, a został nagrany w domu rodziny.

Kanał istnieje od 2014 r. i początkowo występowała na nim sama Kordaszewska, redaktorka naczelna serwisu zabawkowicz.pl. Od 2018 r. towarzyszą jej dzieci – najpierw córki, a syn Kacper (na jednym z filmów jest cały w kupie, która brudzi ręce obu jego sióstr i włosy jednej z nich) od urodzenia w 2019 r. Dziś Hania ma 14 lat, Amelka – 12, Kacper – 4, a kanał subskrybuje milion osób. W najnowszym odcinku serii „Siostra kontra Siostra" (rekordowy wyświetlono niemal 8 mln razy) widzowie oceniają świąteczne dekoracje pokojów dziewcząt. Wygrywa Hania (18 471 głosów), w nagrodę przez tydzień może robić, co chce. Do Amelki (17 582 głosy) matka mówi: „Tak to bywa. Następnym razem, mam nadzieję, że ty, Amelka, wygrasz, i też się będziesz cieszyć takim sukcesem". Z reguły jednak zwycięża Hania, zapewne dlatego, że – jak zauważyła Amelka – jest starsza.

Jak na innych dziecięcych kanałach na YT, również tu popularne są rozmaite challenge'e, niekiedy polegające na zmuszaniu dzieci do jedzenia ohydnych produktów (np. „Pyszne vs Ochydne śniadanie do szkoły", pisownia oryginalna). W wyniku najnowszego wyzwania („Challenge, który zmieni wszystko") Amelka musiała wbrew swojej woli obciąć włosy, które zapuszczała. Wizyta u fryzjera została nagrana, a na koniec odcinka matka pyta widzów: „A wy co myślicie o naszych challenge'ach? Jeśli wam się podobały, piszcie w komentarzach, być może nagramy taki kolejny odcinek".

Zadaję Kordaszewskiej takie same pytania jak Żyrackim, ale mimo próśb nie otrzymuję nawet odmowy odpowiedzi. O zezwolenie na pracę dzieci w firmie Kordaszewskiej Young Mind (będącej właścicielem serwisu zabawkowicz.pl) pytam więc Okręgowy Inspektorat Pracy w Warszawie. Dowiaduję się, że nie wpłynął żaden wniosek w tej sprawie, i dalej patrzę na to, co Kordaszewska robi publicznie swoim dzieciom. Oglądam room toury po pokojach jej córek, widzę, jak odkrywa pościel na ich łóżkach, żeby zareklamować materace. W filmie, w którym reklamuje elementy wyposażenia pokoju wówczas 11-letniej Hani, każe jej dziękować widzom za telewizor – nagrodę w ocenianym przez internautów challenge'u (też będącym reklamą).

„Lubimy nagrywać, ale mamy czasem dość. Ale to też może być ten natłok zadań, które teraz mamy, w szkole itd." – stwierdziła ostatnio Hania w odcinku „Q&A – Odpowiadamy na 85 pytań widzów", również stanowiącym reklamę. Amelka natomiast przyznała, że nagrywanie jest czasochłonne, trwa dzień, dwa (plus montaż, którym zajmują się dorośli, i wymyślanie scenariusza, którym zajmują się wszyscy). Dłuższe, z reguły kilkunastominutowe filmy publikowane są na YT raz w tygodniu. Do tego dochodzą niespełna minutowe tzw. shortsy. W jednym z nich, 12-sekundowym filmie „Piątek po szkole", matka grozi Amelce pasem. To zapewne „żart".

Dobro dziecka

Nie było żartem wyznanie wówczas 7-letniej Michaliny, bohaterki kanału „Misia i ja", która w filmie ukazującym *challenge* z rozbijaniem surowych jajek na głowie wyznała, że była bita przez matkę. Dziś dziewczynka ma prawie 13 lat, a „jej" kanał – niemal 800 tys. subskrypcji. Rodzice prowadzą go, od kiedy dziewczynka skończyła 6 lat. Półtora roku później założyli firmę Marek Długi Kanał Misia i Ja. Najpopularniejszy film (19 mln wyświetleń) to reklama lalki, ukazująca 7-latkę na basenie. Kolejny (8 mln, też reklama) pokazuje ją w wannie.

Rodzice odmówili rozmowy z „Tygodnikiem". Okręgowy Inspektorat Pracy w Katowicach informuje, że nie wnioskowali o wydanie zezwolenia na pracę Michaliny.

Za zatrudnienie dziecka bez zgody inspektora pracy grozi kara grzywny od tysiąca do 30 tys. zł. Za przekształcanie dziecka w pozbawioną prywatności maszynkę do zarabiania pieniędzy nie ma osobnego paragrafu, ale sprawa rodziny z Dąbrowy Górniczej to nie jedyny przypadek, gdy dorośli wbrew swojej woli musieli zrezygnować z upubliczniania prywatności dzieci.

W 2015 r. sąd rodzinny w Poznaniu zakazał rodzicom, którzy transmitowali w internecie codzienność rodziny, rozpowszechniania wizerunków dzieci (choć to nie był tzw. patostreaming, jak w Dąbrowie Górniczej). Podobne wyroki zapadły też w 2017 r. w Opolu, a w tym roku – w Będzinie i Warszawie. W 2021 r. sąd w Krakowie zobowiązał rodziców m.in. do podjęcia terapii i zaprzestania angażowania dziecka w ich działalność w internecie. Rodzice tego nie zrobili, więc sąd umieścił dziecko w pieczy zastępczej i wszczął sprawę o pozbawienie ich władzy rodzicielskiej. Według Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego władza rodzicielska powinna być „wykonywana tak, jak tego wymaga dobro dziecka i interes społeczny", a nie – biznes rodziców.

© ANNA GOLUS

TOMASZ

Stawiszyński:
The truth is out there

„Chcę wierzyć" – głosi napis na plakacie zdobiącym zawalone tajemniczymi szpargałami biuro agenta Foxa Muldera, niestrudzonego tropiciela spraw ukrytych (a nawet: intencjonalnie ukrywanych), głównego bohatera serialu „Z Archiwum X". Napis umieszczono na tle fotografii nieco zamazanej, nie na tyle jednak, żebyśmy nie rozpoznali, co zostało na niej uwiecznione: latający talerz o klasycznym kształcie wypukłego dysku unosi się w powietrzu ponad zielonymi koronami drzew.

Przyznaję, taki sam plakat – dzięki czujnym producentom fanowskich gadżetów można go bez problemu kupić w sieci – znajduje się także nad biurkiem, przy którym piszę niniejszy felieton. Nie tylko dlatego, że serial, z którego pochodzi, jest jednym z moich ulubionych (nawiasem mówiąc, odkąd trafił w całości na jedną z platform streamingowych, nie muszę już uruchamiać prehistorycznego odtwarzacza DVD, żeby go po raz setny bodaj, odcinek po odcinku obejrzeć). Mam ten plakat przede wszystkim dlatego, że w prosty a celny sposób wyraża także moje własne egzystencjalno-poznawcze położenie.

Nie da się ukryć, też chcę wierzyć, że nie jesteśmy w tym otchłannym, niezrozumiałym, dziwacznym, nieludzkim i nieogarnionym wszechświecie sami – i że kiedy już wreszcie, miejmy nadzieję, uda się nam z jakimiś innymi jego mieszkańcami połączyć siły i doświadczenia, cokolwiek może poprawi to naszą opłakaną sytuację. Chcę zatem w to wierzyć, tyle że – co mnie zdecydowanie odróżnia od agenta Muldera – wciąż nie znajduję do takiej wiary nie tylko koniecznych, ale nawet wystarczających przesłanek. A może nie tyle przesłanek, bo te by się z łatwością znalazły – w końcu teza o istnieniu pozaziemskich cywilizacji jest jak najbardziej racjonalna – ile raczej dowodów, że przedstawiciele tych cywilizacji już tu są. I tylko wskutek niecnych knowań różnych rządowych agencji nie udało nam się dotąd poznać prawdy, która wszak – to znowu cytat z „Z Archiwum X" – „gdzieś tam jest".

Owszem, istnieje nieprzebrany ocean literatury na temat obcych. Owszem, istnieją tysiące ludzi, którzy twierdzą z ogromną pewnością siebie, że zostali przez nich uprowadzeni, a potem odesłani z powrotem na Ziemię. Owszem, niektóre z tych historii są spektakularne, do tego stopnia, że przekonały nawet Johna E. Macka, w latach 1977-2004 dziekana wydziału psychiatrii w Harvard Medical School, który w toku badań nad ludźmi pewnymi, że porwali ich kosmici, uznał, że to wcale nie muszą być urojenia (swoje wnioski zawarł w pasjonującej książce „Abduction", która prawie kosztowała go karierę). Owszem, nawet oficjalne amerykańskie instytucje wojskowe udostępniają od czasu do czasu filmy i fotografie przedstawiające niezidentyfikowane obiekty latające, a rozmaici whistleblowerzy – od słynnego hakera o pseudonimie „Solo" po, ostatnio, Davida Gruscha, byłego oficera Pentagonu, którego zeznania (w skrócie: rząd USA posiada wraki pojazdów kosmicznych pochodzących z innych wymiarów) w ostatnich tygodniach zelektryzowały opinię publiczną i stały się impulsem do napisania tego tekstu – przekonują, że na własne oczy widzieli tajne bazy na Marsie, sekcje zwłok szaraków albo konferencje międzygalaktycznych komisji. Tyle że – podobnie jak w przypadku innych doniesień o zjawiskach paranormalnych, opętaniach czy spotkaniach z duchami – są to nieustannie, tak czy inaczej, wyłącznie opowieści.

Niekiedy brzmiące jak oczywiste bajanie, niekiedy intrygująco realistyczne i spójne, niekiedy zaś oscylujące gdzieś na pograniczach. Nigdy jednak niepoparte bezspornymi dowodami. Za każdym razem – finalnie – mamy tu człowieka, który przekonuje, że coś widział albo czegoś doświadczył, z jakichś jednak zagadkowych powodów brakuje czegokolwiek, co byłoby w stanie nadać tym słowom walor wiarygodnego świadectwa.

Z tej specyficznej okoliczności doskonale zdają sobie sprawę wytrawni badacze, zainteresowani – z jednej strony – całą tą niezwykłą tematyką, z drugiej natomiast nastawieni krytycznie, bo dbający o dochowanie w obcowaniu z nią elementarnych standardów rzetelności. To zapewne dlatego właśnie Michael Shermer – zawodowy, by tak rzec, sceptyk, autor wielu książek o najdziwniejszych wierzeniach i przekonaniach – apelował na Twitterze do poważnych dziennikarzy piszących o rewelacjach Gruscha (np. na łamach „Guardiana"), żeby nie dawali się zwieść tym sensacyjnym opowieściom. I podkreślał, że wie, co mówi, bo zajmuje się tymi sprawami od lat – i to naprawdę zawsze wygląda tak samo, nie ma tu nic nowego, nic się nie okazało, nie nastąpiła żadna rewolucja. Wciąż tylko narracje, narracje i jeszcze raz narracje.

Czy ten brak dowodów nie jest zastanawiający zwłaszcza w epoce powszechnej dostępności smartfonów, którymi udaje się codziennie rejestrować mnóstwo unikalnych zjawisk pogodowych, rzadkich gatunków zwierząt albo nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, nie udaje się natomiast uporczywie sfilmować żadnego kosmity? Cóż, właśnie dlatego to wszystko jest wciąż wyłącznie kwestią wiary – zupełnie jak na wspomnianym na początku plakacie. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

„TP" 24/2023

Wiara dla odważnych

Przemyślenia Piotra Sikory, zawarte w artykule „Prawdziwe tu – prawdziwe wszędzie", stanowią, jak wiele tekstów tego autora, istotę chrześcijaństwa. Kilkanaście lat temu usłyszałam podczas kazania i zapadły mi w pamięć szokujące słowa: „Możecie codziennie chodzić na mszę świętą, a nie będziecie zbawieni. Możecie codziennie przyjmować komunię świętą, a nie będziecie zbawieni, jeśli swoim życiem nie będziecie świadczyć o Jezusie". Byłam pozytywnie poruszona, pomyślałam z przekorą, że mój ówczesny proboszcz chyba pożałował, że zaprosił tak radykalnego rekolekcjonistę.
Jak informują statystyki, praktykujących katolików ubywa, ja również zasiliłam szeregi tych, którzy odeszli. Najgłupsze i najmądrzejsze porzekadło mówi, że nie ma tego złego, co by na dobro nie wyszło. Po okresie roztkliwiania się nad sobą powiedziałam sobie, że się nie poddam i pójdę tą trudniejszą, bardziej wyboistą drogą, na której można być i czuć się chrześcijanką, nie uczestnicząc w Eucharystii. Jednocześnie zaznajamiałam się z teologią Kościoła baptystów i luterańskiego. (Nie)stety, czuję się katoliczką.
Jeśli Bóg jest na co dzień i od święta na pierwszym miejscu, to naprawdę On cię nie zostawi samej/samego. Prosisz o prowadzenie, prowadzi. Trzeba się tylko odważyć „odessać" od ogniwa pośredniego. Absolutnie nie radzę tego nikomu, kto dobrze czuje się w Kościele. Uważam tylko, że trzeba szukać swojej drogi do Boga, że nie wolno Boga obrażać letniością. Wierzę w słowa Jezusa skierowane do Samarytanki, że prawdziwi czciciele będą czcili Boga w Duchu i prawdzie, a nie na tej górze czy w świątyni w Jerozolimie. Z pewnością słuchanie, czytanie mądrych teologów jest bardzo pomocne (tutaj dziękuję Piotrowi Sikorze i Józefowi Majewskiemu). Św. Paweł i św. Tomasz Apostoł wskazują, że Bóg jest wszędzie – a w związku z tym powinniśmy ćwiczyć się w swojej świadomości Jego obecności w nas, przy nas i w całym wszechświecie. Także w łaciatym kundelku. Czy Jezus jest w Eucharystii? Oczywiście, jest. Ale Jego nakarmienie swoim Duchem chyba jest uzależnione od naszej autentycznej wiary, wiary wspólnoty, że ten cud jest ich udziałem. Jeśli tej wiary nie ma, to chyba nic Boskiego się nie dzieje. Prawdopodobnie wspomniany na początku rekolekcjonista miał rację. A kontemplowanie natchnionych słów Mistrza Eckharta jest budujące.

BARBARA

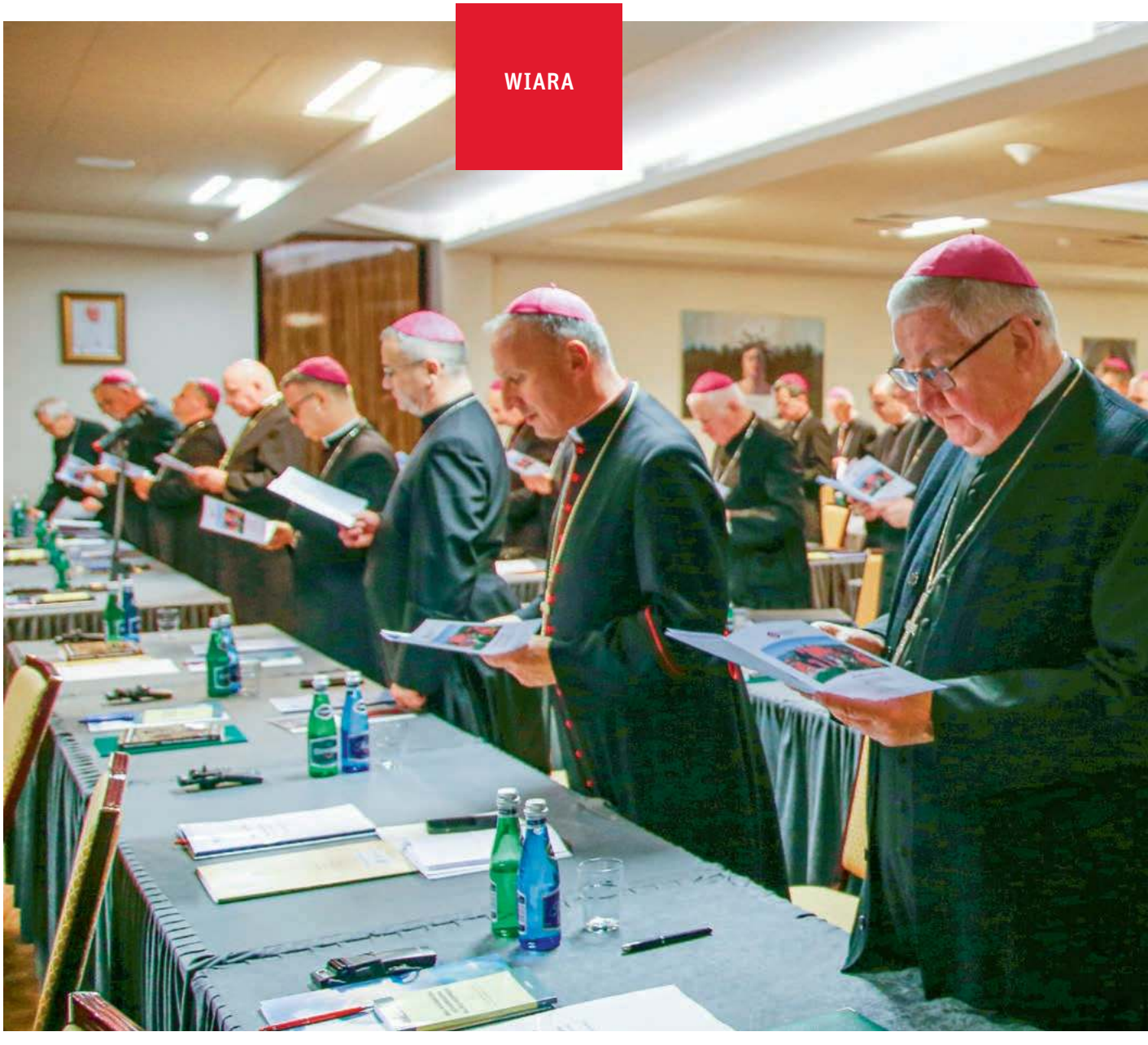

KOMISJA OSTATNIEJ SZANSY

Episkopat zrobił ważny krok w kierunku powołania komisji badającej przypadki nadużyć seksualnych wobec małoletnich w Kościele w Polsce. Ale wciąż ważą się losy jej niezależności.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

MATERIAŁY PRASOWE KEP

395. zebranie plenarne Konferencji Episkopatu Polski. Lidzbark Warmiński, 12 czerwca 2023 r.

Jeśli ktoś spodziewał się, że już podczas ostatniego posiedzenia Konferencji Episkopatu Polski doprecyzowane zostaną fundamentalne kwestie związane z zapowiedzianym i zatwierdzonym powołaniem komisji (nazywanej w komunikatach prasowych – nie wiadomo dlaczego – zespołem) historycznej, która miała zająć się zbadaniem nadużyć seksualnych w Kościele, to może poczuć się rozczarowany. Nic takiego się nie stało, a sprawa ta nie znalazła się nawet w głównym komunikacie po odbywającym się w Lidzbarku Warmińskim 395. zebraniu plenarnym KEP. Nie oznacza to jednak, że nic istotnego się nie wydarzyło, jak bowiem poinformował prymas, biskupi podjęli trzy decyzje istotne z perspektywy przyszłej komisji.

Reakcja na kryzys

Pierwszą z nich jest rozpoczęcie rozmów z przedstawicielami żeńskich i męskich zgromadzeń zakonnych, które miałyby zostać także zbadane w toku prac komisji. Majowa decyzja KEP nie obejmowała bowiem, co może wydawać się postronnym obserwatorom szokujące, spraw związanych z członkami zgromadzeń zakonnych. Komisja historyczna miała bowiem badać wyłącznie sprawy związane z duchowieństwem diecezjalnym. Teraz, po konsultacjach z biskupami z krajów, w których komisję już powołano, podjęto decyzję o poszerzeniu zakresu badań o wszystkich – także zakonnych – duchownych. „Doświadczenie innych Kościołów pokazało nam, jak ważne jest, by powołanie komisji było wspólnym dziełem wszystkich przełożonych kościelnych. Dla pokrzywdzonych nie jest ważne, czy skrzywdził ich duchowny, zakonnik czy siostra zakonna. Skrzywdził ich reprezentant Kościoła, dlatego działania powinny być podejmowane razem przez biskupów i wyższych przełożonych zakonnych" – wyjaśniał przyczyny tego poszerzenia arcybiskup Wojciech Polak.

To dobra decyzja, ale można zadać dość oczywiste pytanie: dlaczego nie podjęto jej podczas poprzedniego zebrania ↦

↦ plenarnego Konferencji Episkopatu Polski? Czy wcześniej biskupi nie wiedzieli, że krzywdzili seksualnie nie tylko księża diecezjalni, ale i zakonnicy, a sprawy te tuszowali nie tylko biskupi, ale i prowincjałowie (czy matki prowincjalne)? Nie wierzę, by tak było, bowiem najbardziej znane sprawy, które przetoczyły się przez Polskę, dotyczyły także zakonników. Jeśli więc nie podjęto wówczas decyzji o takich konsultacjach, to powodem nie był brak wiedzy, ale raczej fakt, że postanowienie o powołaniu komisji było wymuszoną reakcją na film Marcina Gutowskiego i książkę Ekke Overbeecka, i związane z nimi wątpliwości co do postawy Jana Pawła II wobec pedofilii. Gdyby nie one, to o komisji w ogóle nie byłoby mowy.

To przypuszczenie potwierdza także fakt, że komisja miała mieć charakter głównie historyczny, czyli zbadać dokumentację zawartą w IPN i aktach diecezjalnych, co jasno wskazuje, że chciano zajmować się wyłącznie historią, a nie teraźniejszością. To także się zmieniło (i to jest drugi i trzeci istotny krok), bo prymas jasno wskazał, że zakres czasowy prac komisji będzie obejmował także współczesność (aż do momentu jej powołania), a dodatkowo zapewnił, że komisja nie będzie miała charakteru historycznego, a interdyscyplinarny. „Potrzebujemy nie tylko prac archiwalnych i badań historycznych, ale także analiz prawnych i prawnokanonicznych oraz jakościowych badań psychologicznych osób pokrzywdzonych i sprawców. Tylko wyniki całościowych i interdyscyplinarnych badań mogą pomóc Kościołowi w skuteczniejszym przeciwdziałaniu przemocy seksualnej oraz reagowaniu na nią, a także udzielaniu bardziej adekwatnej pomocy osobom skrzywdzonym wykorzystaniem seksualnym" – mówił prymas Polski.

Wyraźnie też widać, że abp Polak zdecydował się na budowanie mocnego wsparcia dla komisji i dlatego doprowadził do włączenia w prace koncepcyjne na jej temat bp. Ryszarda Kasynę, przewodniczącego Rady Prawnej KEP, a także abp. Grzegorza Rysia oraz biskupa seniora Jana Kopca. Ten pierwszy ma zapewnić, że plany związane z komisją będą akceptowalne z kanonicznego punktu widzenia (a sprawa komisji i jej badań budzi ostre debaty w środowisku kanonistów), dwaj pozostali zaś to specjaliści od archiwów, którzy znani są w Episkopacie z tego, że wspierają badanie niewygodnych spraw.

Pytania otwarte

Decyzje, o których mowa, choć istotne, rodzą kolejne – konieczne do wyjaśnienia i ustalenia – pytania i problemy. Pierwszym z nich jest to, czy siostry zakonne zgodzą się na zaakceptowanie komisji i jej prac. Nie jest tajemnicą, że akurat – choć także w zgromadzeniach żeńskich pojawiły się delegatki – proces zmian idzie tu najwolniej, a problemy (związane nie tylko z przemocą seksualną, ale także z mobbingiem, nadużyciami władzy, brakiem szacunku i kontroli przełożonych) zamiatane są pod dywan częściej nawet niż w diecezjach czy zgromadzeniach męskich. Kultura sekretu, „święta" zasada, że nie kala się własnego gniazda, jest w życiu zakonnym kobiet egzekwowana jeszcze ostrzej niż w przypadku mężczyzn. Specyfika nadużyć seksualnych dokonywanych przez kobiety jest na tyle odmienna od tych dokonywanych przez mężczyzn, że wciąż części sióstr może wydawać się, że u nich problemu nie ma lub jest on zdecydowanie mniejszy. Czy Episkopatowi uda się przekonać siostry, by włączyły się w prace? Wierzę, że tak, ale jest to jedno z wyzwań, z którymi trzeba się zmierzyć.

Innym pytaniem, które stoi przed twórcami komisji, i to na nie też trzeba odpowiedzieć bardzo szybko, jest to, czy będzie ona badać tylko przestępstwa wobec małoletnich, czy także wobec zależnych (bezbronnych) dorosłych? Komisja francuska, z której twórcami konsultowano projekt polskiej, zajmowała się tylko przestępstwami wobec małoletnich, ale nie jest to bynajmniej rozstrzygający argument za tym, by tak samo zachowała się komisja w Polsce. Dlaczego? Bo po pierwsze, gdy tamta powstawała, Kościół nie miał jeszcze przygotowanych rozstrzygnięć w sprawie ochrony bezbronnych dorosłych, a teraz – za sprawą decyzji Franciszka – już się takie pojawiły. Co więcej, jak pokazały wyniki prac komisji pracujących we wspólnocie L'Arche w kwestii Jeana Vaniera i we francuskim zakonie dominikańskim, gdzie prowadzono dochodzenia w sprawie braci Philippe, nadużycia wobec bezbronnych i zależnych dorosłych także stanowią ogromny problem.

Historia Kościoła w Polsce uświadamia zaś, że i u nas sprawy takie powinny zostać szczegółowo wyjaśnione. Pierwszym skandalem seksualnym, który wstrząsnął polskim katolicyzmem, a który nigdy nie został wyjaśniony do końca, była afera wokół abp. Juliusza Paetza, przez wiele lat wykorzystującego zależnych od siebie księży i kleryków – najpierw w diecezji łomżyńskiej, a później w archidiecezji poznańskiej. Ta sprawa nigdy nie została wyjaśniona – nadal nie wiadomo, dlaczego człowiek, o którego działaniach wiedziano już wówczas, gdy był on pracownikiem Kurii Rzymskiej, został biskupem w Polsce. Nie sprawdzono, jaka była skala jego przestępstw i jakie są ich skutki w diecezji łomżyńskiej. Nie zbadano wreszcie, dlaczego wiadomości o jego działaniach nie dochodziły do Rzymu (albo na jakimś poziomie były zatrzymywane), jaką rolę w ukrywaniu tych spraw odgrywał ówczesny nuncjusz (a późniejszy prymas), i co o niej ma do powiedzenia obecny metropolita krakowski. To wszystko są pytania, na które odpowiedzi może oczekiwać opinia publiczna.

Niejasne i niezbadane, a także dotyczące bezbronnych dorosłych są również działania kard. Henryka Gulbinowicza i powiązanych z nim biskupów (by przypomnieć, jego współpracownikami byli abp Sławoj Leszek Głódź, bp Edward Janiak czy bp Jan Tyrawa, skazani przez Stolicę Apostolską za zaniedbania w kwestiach pedofilskich). Wiele wątpliwości i pytań rodzi także sprawa rektora seminaium w Sosnowcu (później rozwiązanego przez Stolicę Apostolską). Tu także jest wiele pytań, które powinny zostać wyjaśnione i zbadane przez komisję, jeśli ma być ona wiarygodna.

Czy to możliwe? Niewątpliwie trudne, bo sprawy dotyczą także obecnie urzędujących biskupów, ale wydaje się to niezmiernie istotne.

Co z tym przewodniczącym?

Jeszcze istotniejsza od odpowiedzi na te pytania jest jednak kwestia powołania przewodniczącego i członków komisji oraz ich realnej niezależności od Konferencji Episkopatu Polski. To, także na razie, sprawa otwarta, ale – jak się zdaje – od niej zależy najwięcej. Jeśli polscy biskupi chcą, by komisja była rzeczywiście wiarygodna w oczach opinii publicznej i by jej ustaleń nie dało się zbyć wzruszeniem ramion oraz prostym stwierdzeniem, że powołano komisję, której celem

jest obrona swoich, to muszą zagwarantować przewodniczącemu owego ciała całkowitą niezależność. Tylko on – tak było we Francji – powoływany ma być przez Episkopat, natomiast od momentu powołania musi mieć całkowitą niezależność i nieodwoływalność, a pozostali członkowie komisji muszą być powoływani i zależni tylko od niego.

Tak działała także dominikańska komisja ds. Pawła M., której przewodniczyłem. To ja zdecydowałem, kto wejdzie w jej skład, a nawet jeśli władze zakonne miały jakiekolwiek wątpliwości co do powołanych przeze mnie osób, to były zmuszone (podjętymi wcześniej zobowiązaniami) je zaakceptować. Tu powinno być podobnie.

Istotne jest także, by na stanowisko przewodniczącego powołać odpowiednią osobę. Jeśli komisja nie jest historyczna (a już nie jest), to nie ma powodu, by na jej czele stawał historyk, a rozsądek i pragmatyka podpowiada, że lepiej, by był nim prawnik (były sędzia, prokurator, profesor i wykładowca prawa) lub specjalista od wykorzystania seksualnego. Osoba ta powinna być osobą zaufania publicznego, nie powinna kojarzyć się z ochroną interesów ludzi Kościoła (a tym bardziej z obroną sprawców nadużyć lub biskupów), dobrze by było, żeby znano ją z tego, że miała wcześniej odwagę, by w ważnych sprawach występować wbrew biskupom czy sprzeciwiać się instytucji.

Jeśli szukać odpowiedniego przykładu, jakiej osoby w tej sprawie komisja potrzebuje, to można wskazać na prezeskę Fundacji Świętego Józefa Martę Titaniec, którą powołano na to stanowisko, choć wcześniej ostro sprzeciwiała się ona nadużyciom w Caritas Polskiej, a jej stanowisko w wielu sprawach odległe było od tego, jakie prezentowali niektórzy z biskupów. Jeśli zaś szukać kogoś, kto miałby odpowiedni autorytet prawniczy, to doskonałym kandydatem mógłby być prof. Andrzej Zoll (lub osoba o porównywalnym do niego dorobku prawniczym i znanej niezależności).

Kolejnym krokiem, który powinien należeć już tylko do powołanego przez Episkopat przewodniczącego, jest powołanie składu komisji. W miarę możliwości powinna ona składać się pół na pół z mężczyzn i kobiet (mnie, z mojej winy, nie udało się osiągnąć tego poziomu), powinni (to akurat inaczej niż w przypadku komisji francuskiej) wchodzić w jej skład także odważni duchowni (choćby po to, by członkowie komisji mieli lepszy wgląd w stan myślenia, życia i działania księży i zakonników), osoby wierzące, ale i niewierzące (a nawet mocno krytyczne wobec działania instytucji kościelnych). W jej skład powinni wejść – poza prawnikami (w tym kanonicznymi) także śledczy, psychiatrzy, psychoterapeuci i seksuolodzy (konieczni szczególnie do kontaktu z osobami skrzywdzonymi), a wreszcie historycy i archiwiści z doświadczeniem w badaniu akt IPN i archiwaliów kościelnych. Nie powinno wreszcie zabraknąć także teologa. To musi być kilkanaście osób, bo spraw do zbadania jest ogromnie dużo.

> Nie zazdroszczę tym, którzy będą tworzyć komisję przewidywaną przez episkopat, ale nie mam wątpliwości, że to oni **będą pisać historię Kościoła w Polsce.**

Taki skład gwarantuje realną dyskusję, odmienność perspektyw życiowych i naukowych, a także wzajemne wsparcie. Mogę powiedzieć, że w komisji dominikańskiej, o wiele mniejszej, powołanej do zbadania jednej tylko sprawy, to właśnie różnorodny skład pomagał nam lepiej uchwycić pewne problemy, zmierzyć się z całym ich skomplikowaniem i wreszcie zrozumieć mechanizmy działania zarówno sprawcy, tuszujących, jak i skrzywdzonych.

Droga ku nawróceniu

Decyzje dotyczące metody powołania przewodniczącego, jego niezależności i wreszcie powołania jej członków to oczywiście wciąż jeszcze pieśń – nieodległej, mam nadzieję – przyszłości. Decyzje w sprawie metody powołania przewodniczącego mogą zapaść w sierpniu na zebraniu biskupów diecezjalnych, a jego powołanie – jeśli nic się nie zmieni – to listopadowe zebranie plenarne KEP. Wcześniej zdecyduje się, czy w tworzenie komisji włączą się zgromadzenia męskie (to niemal pewne) i żeńskie (to także bardzo prawdopodobne, ale jednak obarczone pewnym ryzykiem). Realnie więc komisja może zacząć działać w przyszłym roku, bo jej przewodniczący musi mieć jeszcze czas na powołanie członków zespołu. Czy to długi okres? Nie, powoływanie komisji francuskiej trwało dłużej. Nie jest to także długi okres, jeśli wziąć pod uwagę to, ile powinny trwać prace takiej komisji. Francuska działała trzy lata, co oznacza, że i polska powinna pracować w podobnym czasie.

Tyle że przed nią staną nie tylko kwestie oczywiste, ale i trudne emocjonalnie dla Polaków. Jej członkowie będą bowiem musieli zadać pytania choćby o to, jak na nadużycia seksualne reagowali Jan Paweł II (to już częściowo przerobiliśmy), kard. Stefan Wyszyński (to wciąż przed nami) czy abp Antoni Baraniak. Część legendarnych postaci polskiego Kościoła – a mówię o duchownych ulokowanych niżej w hierarchii – może zostać odmitologizowanych. To jest ogromne wyzwanie, z którym zmierzyć się będą musieli członkowie komisji, a którego przedsmak mieliśmy w komisji dominikańskiej, gdy trzeba było się zmierzyć z pamięcią o zasłużonym dla polskiego Kościoła byłym dominikańskim prowincjale o. Macieju Ziębie, który akurat w tej sprawie zawiódł na całej linii.

Jeszcze istotniejsze jest jednak co innego. Otóż komisja, którą obecnie powołuje Episkopat, będzie musiała wypracować standardy rozmawiania o nadużyciach seksualnych w Kościele, powinna znaleźć mądrą teologiczną linię wyjaśniającą: dlaczego tak długo nie widzieliśmy tych zbrodni, dlaczego tak długo byliśmy wobec nich obojętni, dlaczego krzywda najsłabszych była ignorowana? Od tego, jak napisany będzie raport, jak komunikowane będą informacje z nim związane, jakie standardy kontaktu ze skrzywdzonymi zostaną wypracowane, zależeć będzie, czy Kościół w Polsce wejdzie na drogę oczyszczenia i nawrócenia.

Nie zazdroszczę tym, którzy będą tworzyć tę komisję, ale nie mam żadnych wątpliwości, że to oni będą pisać historię Kościoła w Polsce, oni zetkną się z piekłem, ale – jeśli potraktują tę sprawę poważnie – to przejdą przez nie przemienieni. I pomogą odmienić Kościół. Pierwsze kroki są na tej drodze postawione. Mam nadzieję, że nie zabraknie odwagi, by postawić kolejne.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Uniwersalny Jezus

PIOTR SIKORA

Jak konkret każdego życia łączy się z boską podstawą całego świata? Dla Richarda Rohra odpowiedzią jest Chrystus, ale nie zawłaszczany przez chrześcijaństwo.

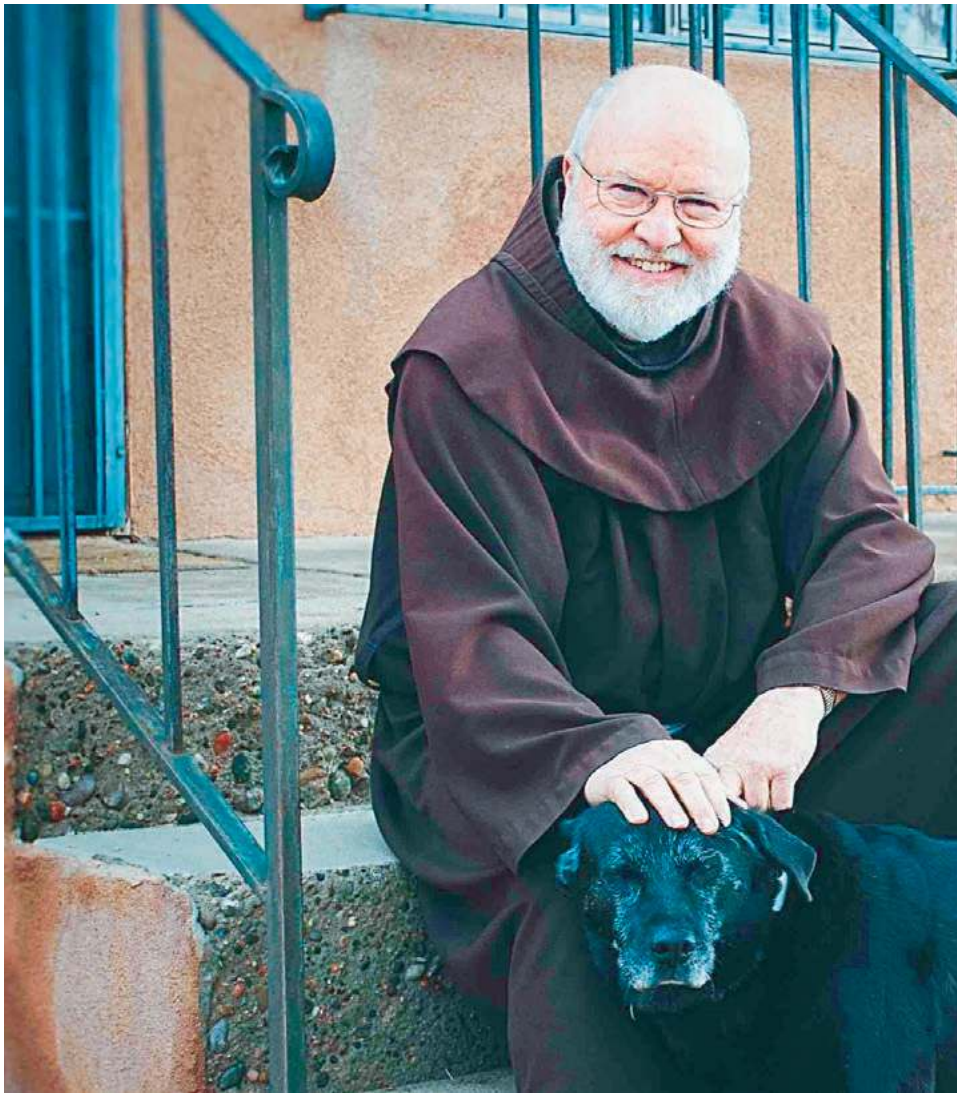

Dedykuję tę książkę mojemu ukochanemu czarnemu labradorowi – Wenus, którą musiałem oddać w ręce Boże. (...) Wenus również była dla mnie Chrystusem". Zacytowane wyżej zdanie, autorstwa franciszkanina Richarda Rohra, pochodzi z jego najnowszej książki „Uniwersalny Chrystus". Dedykacja ta, nawet jeśli może drażnić pobożne myśli wielu katolików, nie jest wyrazem rozregulowanych emocji po utracie ukochanego psa. Nie jest również tanią prowokacją marketingową jednego z bardziej płodnych i znanych pisarzy duchowych, także w Polsce (po polsku wydano już kilkanaście jego książek).

Religia ograniczona

Tak, „Uniwersalny Chrystus" okazał się bestsellerem „New York Timesa" i zachwalał go m.in. Bono. Owszem, Rohr potrafi pisać w sposób intrygujący i wciągający. Ale dedykowanie książki zmarłemu psu i przyznanie, że i on był dla autora Chrystusem, jest w tym przypadku rezultatem dogłębnego, wieloletniego namysłu teologicznego, ożywianego regularną, intensywną praktyką duchową. Jest też spójne z treścią książki. A treść ta odnosi się do fundamentalnego pytania: czy chrześcijaństwo jest jedną z lokalnych, „plemiennych" religii, czy też zdolne jest do wizji prawdziwie uniwersalistycznej, powszechnej (katolickiej)?

Uniwersalistyczny charakter chrześcijaństwa może się wydawać czymś oczywistym przynajmniej od czasów Pawła z Tarsu, który głosił, że nie trzeba stać się żydem (przyjąć obrzezania), by być chrześcijaninem. Nawet autor Ewangelii Mateusza – przynależący do bardziej judaizującego nurtu – kończy swoje dzieło „nakazem misyjnym" włożonym w usta zmartwychwstałego Jezusa: „Idąc, czyńcie uczniów ze wszystkich narodów" (Mt 28, 19). Z pewnością już od II wieku chrześcijaństwo porzuciło ścisły związek z konkretną grupą etniczną i nie wiązało swojego kultu z jednym, konkretnym miejscem.

Chrześcijaństwo (podobnie jak wiele innych religii) miało jednak zawsze trudność z wyzwoleniem się z „lokalności" w nieco innym – można nawet powiedzieć, głębszym – sensie tego słowa. Chodzi tu o skłonność do wysuwania roszczenia, iż w swojej konkretnej postaci posiadło pełnię boskiej prawdy i że owa konkretna postać stanowi jeśli nie jedyny, to najlepszy środek łączący ludzkość z Ostateczną Rzeczywistością. Wielowiekowa kościelna kariera sformułowanej w III wieku przez biskupa Kartaginy, Cypriana, zasady „*extra ecclesiam nulla salus*" (poza Kościołem nie ma zbawienia) jest tego dobitnym świadectwem.

Zasada ta była opierana na „lokalnej", ograniczającej wizji relacji Boga do świata. Bóg – wedle tej koncepcji – przekroczył swoją radykalną transcendencję wobec stworzenia, wcielając się w Jezusa z Nazaretu. Tak rozumiane wcielenie dotyczy jednak tylko tej konkretnej postaci ludzkiej – z jej konkretną, ograniczoną historią. Owszem, historia ta trwa nadal, ale nadal jest ograniczona – np. Jezus pozostaje realnie, substancjalnie i prawdziwie obecny w świecie – lecz ta forma jego obecności ogranicza się do eucharystycznych postaci chleba i wina. Aby wejść w pełny kontakt z Bogiem, trzeba zatem stać się członkiem wspólnoty, która jest kontynuatorką historii Jezusa i w której zapewniony jest dostęp do Eucharystii.

MATERIAŁY PRASOWE WHITAKER HOUSE

Richard Rohr i Wenus

Boski pluralizm

Owszem, na przestrzeni wieków można spotkać chrześcijańskich myślicieli, którzy mieli świadomość, że żadna tradycja – również chrześcijaństwo – nie ogarnie i nie pojmie w pełni boskiej wszechobecności. W XX wieku i współcześnie teologowie tacy wyraźnie mówili, iż także inne religie stanowią drogi Boga do ludzi i ludzi do Boga. Byli jednak najczęściej marginalizowani przez kościelne władze i instytucje.

Dopiero w XXI wieku doczekaliśmy się wypowiedzi najwyższego katolickiego autorytetu – biskupa Rzymu – sugerującej, że warto się uwolnić od takiej zawężającej wizji chrześcijaństwa. Mowa tu o deklaracji z Abu-Zabi ogłoszonej w 2019 r. wspólnie przez papieża Franciszka i wielkiego imama Al-Azharu Ahmeda al-Tajeba.

Stwierdzają oni w niej: „Wolność jest prawem każdej osoby: każda jednostka cieszy się wolnością wyznania, myśli, wyrażania i działania. Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są chciane przez Boga w Jego mądrości, poprzez którą stworzył on ludzi. Ta właśnie Boska mądrość jest źródłem, z którego wypływa wolność wyznania i wolność do bycia różnymi. Stąd należy odrzucić przymus przynależności do konkretnej religii lub kultury, jak również narzucanie kulturowych sposobów życia, których inni nie akceptują”.

Konsekwencją stwierdzenia, że Bóg chce wielości religii w swojej stwórczej mądrości i że stąd wypływa wolność wyznania – czyli wolność wyboru własnej drogi do jedności z Ostateczną Rzeczywistością – jest uznanie, że jedność ta jest możliwa na wielu religijnych drogach, nie tylko w chrześcijaństwie.

Deklaracja z Abu-Zabi wzbudziła w świecie chrześcijańskim różne reakcje. Dla wielu była trudna do przyjęcia: jak można ją pogodzić – pytano – z fundamentalną dla chrześcijaństwa wiarą w Jezusa Chrystusa jako wcielonego Boga? Pytanie powyższe jest bardzo ważne. Ale odpowiedź na nie jest możliwa. Jedną z jej wersji jest właśnie książka Richarda Rohra „Uniwersalny Chrystus”.

Wszędzie Chrystus

Rohr – jako teolog i duszpasterz – jest świadomy, że my, chrześcijanie, „stopniowo ograniczyliśmy Bożą obecność do osoby Jezusa”. Takie ograniczenie uznaje jednak za pomyłkę, gdyż „tymczasem ta obecność podobnie jak światło jest wszechobecnością”. Dlatego, przekonuje, żadna religia (kultura, naród) nie ma monopolu na prawdę i nie zdoła sama wyrazić pełni objawienia.

Amerykański franciszkanin zwraca uwagę na dwuaspektowy charakter imienia centralnej dla chrześcijaństwa postaci: Jezusa Chrystusa. Imię Jezus kieruje naszą uwagę na konkretną osobę ludzką, rabbiego z Nazaretu. „Chrystus” nie jest jednak, przekonuje Rohr, po prostu „nazwiskiem” Jezusa. Wskazuje raczej na uniwersalny charakter rzeczywistości, która ujawniła się w konkretnej postaci Jezusa. Chrystus, pisze Rohr, to „imię dla transcendentnego wymiaru każdej rzeczy”, „imię dla wszystkiego, co osiągnęło swą pełnię”.

Biorąc pod uwagę współczesną wiedzę o historii wszechświata, w której historia ludzkości stanowi „ostatnie mgnienie” (a historia objawienia biblijnego mgnienie wewnątrz tego mgnienia), trzeba, zdaniem Rohra, skupić uwagę na samej idei stworzenia i wydobyć na plan pierwszy te wątki chrześcijańskiej myśli, które uznają, że właśnie samo stworzenie jest samoobjawieniem się Boga. Co więcej: skoro Bóg jest absolutną miłością, a miłość dąży do jedności z ukochanym/ą, stworzenie ściśle łączy się też z wcieleniem: „Bóg kocha rzeczy stając się nimi”. „Boskie DNA – Rohr nie boi się używać w teologicznym dyskursie metafor wziętych z języka współczesnej nauki – jest zawarte we wszystkich stworzeniach”. Wcielenie – w tej perspektywie – to coś więcej niż fakt, że Bóg stał się Jezusem. „Światopogląd wcielenia” – którego broni franciszkanin – to rozpoznanie Bożej obecności w każdej rzeczy i w każdym człowieku.

Nacisk położony na uniwersalizm może sprawić, że stracimy z oczu to, co konkretne i niepowtarzalne. Rohr jest tego świadom, wskazuje nawet, że taka tendencja ujawniła się w najważniejszych wyznaniach wiary Kościoła – Składzie Apostolskim i Credo nicejsko-konstantynopolitańskim. W obu konkretne życie Jezusa pomiędzy narodzinami a śmiercią zostało pominięte, „skwitowane jednym przecinkiem” pomiędzy zdaniem, że narodził się/przyjął ciało z Marii, a drugim, mówiącym o umęczeniu/ukrzyżowaniu pod Poncjuszem Piłatem. Zarówno Skład Apostolski, jak i Credo nicejsko-konstantynopolitańskie nie zawierają żadnej wzmianki o sposobie życia i działania Jezusa, nie mówią niemal nic „o czymkolwiek, co można by zamienić na działanie” (trzeba w tym miejscu zauważyć, że książka Rohra posiada tę samą słabość – na temat życia Jezusa z Nazaretu znajdziemy w niej bardzo niewiele).

„Musi istnieć – dla Rohra to bardzo ważne – jakiś sposób, by być zarówno w tym, co jest tutaj, jak i w głębi tego, co jest tutaj”, czyli sposób zachowania równowagi pomiędzy uważnością na niepowtarzalny konkret życia a świadomością uniwersalnej jedności wszystkich takich konkretów – zarówno między sobą, jak i z boską podstawą całego świata. „Gdy Bóg jest jedynie osobisty, staje się plemienny i sentymentalny, a gdy jest uniwersalny, to nigdy nie wychodzi poza abstrakcyjne teorie i filozoficzne zasady” – trzeba więc nauczyć się łączyć Jezusa ↦

↦ i Chrystusa, wymiar osobisty, konkretny i uniwersalny.

Z tego właśnie powodu franciszkanin nie odrzuca sakramentalnego charakteru chrześcijaństwa. Przeciwnie, podkreśla jego znaczenie, interpretując go jednak w sposób inkluzywny, a nie wyłączający. Formułuje sakramentalną zasadę duchowości: „zacznij od konkretnego przeżycia z udziałem elementów świata fizycznego, a dusza przeniesie to na poziom uniwersalny, w ten sposób to, co prawdziwe w tym pojedynczym doświadczeniu, staje się prawdziwe wszędzie indziej".

To, co specyficznie chrześcijańskie (wcielenie w Jezusa, Jego życie, śmierć, zmartwychwstanie), wyłania się z istoty rzeczywistości, pozwala ją nam wyraźnie zobaczyć, a nie jest czymś „nie z tego świata", co przychodzi jakby „z zewnątrz". Wcielenie to nie pojedyncze wydarzenie – ono trwa w całej historii. Zamiast mówić o „powtórnym przyjściu Chrystusa", lepiej mówić o „wiecznym przychodzeniu Chrystusa". Zmartwychwstanie Jezusa polegało na tym, że „zasadniczo jedno ograniczone ciało Jezusa przekształciło się we wszechobecne światło".

Zmartwychwstały jest światłem świata (bardzo ważny motyw Ewangelii Jana!). Światła nie można zobaczyć – dlatego Chrystusowa wszechobecność może umknąć naszej uwadze – ale dzięki światłu widzimy wszystko inne. Dlatego Rohr wierzy, że gdy Jezus mówił „to jest moje Ciało", miał na myśli nie pojedynczy kawałek chleba, ale cały wszechświat: „Eucharystia, podobnie jak zmartwychwstanie, nie jest wydarzeniem wyjątkowym ani dziwną anomalią".

Wolność, miłość, cierpienie

Egzystencjalną konsekwencją takiej wizji jest uważność na to, co konkretne i niepowtarzalne, bez tendencji do zamykania się w jakimkolwiek partykularyzmie. Rolą autentycznej religii – Rohr odwołuje się tu do etymologii tego słowa – jest połączenie nas ze wszystkim: „celem życia chrześcijańskiego nie jest odróżnianie się od bezbożnych, ale trwanie w radykalnej solidarności ze wszystkimi i wszystkim innym". A „jedyne, co Jezus wykluczył, to samo wykluczenie".

Radykalna solidarność ze wszystkim, co istnieje, wiąże się także z zauważeniem cierpienia. Dlatego dopełnieniem wcielenia Boga w Jezusie jest krzyż, który „jest wielkim aktem solidarności Boga w miejsce sądu". Rohr zdecydowanie odrzuca interpretację śmierci Jezusa w kategoriach sprawiedliwości retrybutywnej – jakiejś konieczności odpłaty za zło.

Gdy Bóg jest jedynie osobisty – staje się plemienny. Gdy jest uniwersalny – nie wychodzi poza abstrakcyjne teorie.

Jedyną godną Boga ideą sprawiedliwości jest dla niego sprawiedliwość naprawcza. W tej perspektywie Krzyż jest symbolem zjednoczenia tego, co boskie i stworzone, oraz stworzenia między sobą. Zbawienie nie jest po prostu indywidualnym ratunkiem przed piekłem, lecz raczej naprawą całego świata. W gruncie rzeczy istnieje, pisze Rohr, „jedno życie – jedna śmierć – jedno cierpienie". Dlatego najważniejszym biblijnym obrazem zbawienia jest obraz uczty weselnej.

Zmartwychwstanie ma wymiar przede wszystkim powszechny: „nic naprawdę dobrego nie może umrzeć". Rohr porównuje wschodnie ikony i zachodnie obrazy zmartwychwstania – na Zachodzie Jezus sam wychodzi z grobu, na Wschodzie – „opróżnia" piekło, wydobywa zeń Adama i wszystkich, którzy tkwili tam w więzach.

Droga zbawienia – naprawy świata – nie może posługiwać się mechanizmem „kozła ofiarnego", czyli zrzucania winy za doświadczane zło czy cierpienie na konkretne grupy czy osoby. Właściwy sposób radzenia sobie z cierpieniem jest zupełnie inny.

Opiera się on, po pierwsze, na zauważeniu, że stworzenie jest w swojej pierwotnej istocie dobre. Pierworodna jest dobroć, a nie grzech. Jeśli jest jakaś wartość w idei grzechu pierworodnego, to taka, że nie musimy „martwić się kruchością i zranieniem, które wszyscy nosimy", nie musimy się za nasze ułomności wzajemnie oskarżać. Fakt zaś, że pierworodna jest dobroć, znaczy, że „nigdy nie byłem oddzielony od Boga i nigdy nie będę – chyba że w moim umyśle".

Cierpienie, sugeruje Rohr, jest – obok miłości – jedną z dwóch dostępnych ludzkości ścieżek transformacji polegającej na wyzwoleniu się z iluzji, iż możemy egzystować na poziomie naszego małego „ego" oddzielonego od reszty rzeczywistości. W języku chrześcijańskim franciszkanin wyraża to stwierdzeniem, że podstawową strukturą rzeczywistości jest śmierć i zmartwychwstanie. Życie obejmuje nieuchronnie cierpienie i umieranie, tracenie tego, co cenne, ale – jednocześnie – odzyskiwanie tego na innym poziomie, na którym rozpoznajemy naszą jedność z całą rzeczywistością, przepełnioną Bożą obecnością.

Przyjmując życie takie, jakie jest, także z cierpieniem, które niesie, nie próbując zwalić winy na kogoś innego, stajemy się zdolni zobaczyć obraz Boga w kamieniach i kwiatach, uszanować go w sobie – a to jest warunkiem zobaczenia go w bliźnich. Wówczas możemy dostrzec, że cały „wszechświat jest Ciałem Boga, zarówno w swojej istocie, jak i w swoim cierpieniu", a „»zmartwychwstanie« to inne słowo oznaczające zmianę, ale jest to szczególna pozytywna zmiana, którą można zaobserwować tylko na dłuższą metę; na krótką metę często wygląda to jak śmierć". Wówczas „każdy obiekt, który budzi w nas szacunek lub uszanowanie, jest w tym momencie »Chrystusem« lub pomazańcem dla nas" – i może to być także zmarły pies.

■■■

Teologiczna wizja nakreślona przez Rohra jest oczywiście tylko szkicem. Nie odpowiada na wszystkie pytania, ba – rodzi wiele nowych. Ta jej ułomność jest jednocześnie jej siłą – ujawnia bowiem, że mierzy się z rzeczywistością, której nie da się wyczerpująco przedstawić, że jedyne, co mogą osiągnąć słowa, to inspiracja i otwarcie horyzontu duchowych poszukiwań, a nie stworzenie precyzyjnej i racjonalnie uzasadnionej teorii Boga i świata.

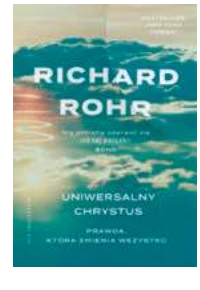

Richard Rohr
UNIWERSALNY CHRYSTUS. PRAWDA, KTÓRA ZMIENIA WSZYSTKO
przeł. Wojciech Drążek,
Wydawnictwo WAM,
Kraków 2023

TOMASZ WOJTASIK / PAP

Dom Pomocy Społecznej dla chłopców prowadzony przez dominikanki. Broniszewice, 18 września 2021 r.

Kto daje i odbiera

KAROL KLECZKA

Władze zmniejszyły dotację na dom chłopców prowadzony przez dominikanki w Broniszewicach, po czym się z tej decyzji wycofały. Czy doszłoby do tego bez medialnego nacisku?

Co można dostać za 600 tys. złotych? Wyszukiwarka podpowiada dwupokojowe mieszkanie w Nowej Hucie albo – dla koneserów wątków strażackich w motoryzacji – 41-letniego stara 266 po remoncie.

Zadaję to pytanie również dominikance Tymoteuszy Agnieszce Gil. – 600 tysięcy to są cztery miesiące życia naszego domu, czyli mówiąc krótko, środki do życia niezbędne na podstawowe utrzymanie niemal do końca tego roku – odpowiada. Siostra Tymoteusza pracuje w Domu Chłopaków w Broniszewicach, słynnym DPS-ie prowadzonym od lat 60. XX w. przez obecne tam znacznie dłużej dominikanki. Dziś dom w Broniszewicach zamieszkuje 67 chłopców z niepełnosprawnościami, którzy cierpią również na choroby przewlekłe czy genetyczne.

Decyzja wojewody

Na początku czerwca siostry dowiedziały się z pisma wojewody wielkopolskiego, że „zmieniony został plan dotacji celowych na rok 2023", czego skutkiem było zmniejszenie przyznanej na funkcjonowanie DPS-u kwoty o ponad 600 tys. złotych.

– Na początku każdego roku wyliczamy tzw. koszt utrzymania mieszkańca, który podajemy gminom, urzędom i wszystkim jednostkom administracyjnym odpowiedzialnym za pokrycie finansów koniecznych do utrzymania placówek takich jak Broniszewice. W styczniu otrzymałyśmy decyzję, która głosiła, że po przeliczeniu kosztów nasza dotacja na ten rok wynosi 1,9 mln złotych. Następnie po półroczu następuje wyrównanie dotacji, która może się zwiększyć lub zmniejszyć. Zazwyczaj się zwiększała, ale to nie są jakieś duże kwoty. W tym roku jednak po raz pierwszy przy wyrównaniu otrzymaliśmy tak znaczące zmniejszenie – opisuje zakonnica.

Takie nagłe odcięcie środków w połowie roku niszczy cały plan budżetowy. Ma to swoje bezpośrednie przełożenie.

– Nie ukrywajmy: pomoc społeczna jest zawsze na jakimś minusie. Nasz budżet jest domknięty tak szczelnie, że jak kończymy miesiąc, to kończą się fundusze. Tu nie ma miejsca na robienie oszczędności – tłumaczy s. Tymoteusza. – Zaczęłyśmy się zastanawiać np. nad tym, czy utrzymamy auto, które mamy w leasingu. Mieszkamy na wsi, do najbliższego szpitala jest 10 km i nie dojeżdża tam od nas autobus. Choroby chłopców zaś wiążą się z częstymi wyjazdami, bo dzieci leczą się w klinice w Poznaniu czy Łodzi. Trudno sobie wyobrazić, że w domu prywatnym ma się 67 synów i żadnego środka komunikacji. A co, jeśli jednego dnia zachoruje trzech z nich i z każdym trzeba jechać w inną stronę Polski?

W dokumencie datowanym na 30 maja 2023 r. Urząd Wojewódzki pisze, że zmniejszenie wiąże się z „korektą planu pod kątem wykorzystania miejsc finansowanych wg starych zasad za okres od stycznia do kwietnia 2023 r. (...) i wprowadzenia od stycznia 2023 r. nowych kosztów utrzymania". Trudno zrozumieć, o co chodzi. Tych tłumaczeń nie rozumie też s. Tymoteusza.

Polityczne tło

Broniszewice nie są jedyne, ponieważ skan pisma umieszczony np. na facebookowym profilu Domu Chłopaków informujący o takim przesunięciu finansowym obejmuje dwa DPS-y w powiecie pleszewskim. Z mediów dowiadujemy się zaś, że sytuacja dotyczy aż 27 podobnych placówek w Wielkopolsce. Zmniejszenia środków doświadczył też m.in. drugi DPS, prowadzony przez dominikanki w Mielżynie, przeznaczony dla dziewczyn i kobiet.

W sobotę 10 czerwca siostry uruchomiły zbiórkę na serwisie zrzutka.pl, którą chciały zasypać nagły ubytek w budżecie. Błyskawiczna reakcja internautów zapewnia im na dzień, w którym piszę te słowa, aż 350 tys. z założonych 600 tys. zł. Obok wpłat pojawiają się też wymowne komentarze internautów doszukujących się w decyzji wojewody wielkopolskiego podłoża politycznego. ↦

I trudno go nie szukać, jeśli władze wojewódzkie podają swoje wyjaśnienia w sposób tak zawiły, że niejasny również dla samych urzędników. Jednym z adresatów pisma wojewody jest starosta pleszewski Maciej Wasielewski, który przyznaje w rozmowie z „Gazetą Wyborczą", że wraz z pismem nie otrzymał wyliczeń, które wyjaśniałyby potrącenie kwoty, ani dokumentów, które są przywoływane w piśmie jako uzasadnienie zmniejszenia. O jakie dokumenty chodzi?

Władze w opublikowanym 12 czerwca stanowisku określają to jako „urealnienie kosztów utrzymania placówek dotowanych przez wojewodę". W praktyce oznacza ono korektę rozplanowanych środków – wojewoda przyznaje pieniądze wyłącznie na część podopiecznych, a dokładniej na tych, którzy zostali przyjęci do danego domu przed 1 stycznia 2004 r. Kwoty uległy ponownemu przeliczeniu z uwagi na realną liczbę mieszkańców placówek, ale widać tu spore zamieszanie komunikacyjne. Z relacji dyrektorów poszczególnych DPS-ów wynika, że choć znają praktykę wyrównywania dotacji w połowie roku, to spłynięcie wiadomości o ich pomniejszaniu spowodowało panikę. – Najpierw ten budżet to była tylko propozycja, później dostajemy informację, że zostaje obcięty, a następnie słyszę, że to tylko projekt... Jeśli to tylko propozycja, to nie wiem, gdzie jest to miejsce, w którym mogę się na nią nie zgodzić – uważa s. Tymoteusza.

Presja ma sens

„Siostry mają to szczęście, że wspiera ich bardzo dużo ludzi z całej Polski. Dlatego, kiedy napisały o decyzji wojewody w mediach społecznościowych, zrobił się ogromny szum, ludzie zaczęli publicznie wyrażać oburzenie, wysyłać zapytania do władz i wszystko wskazuje na to, że to przyniosło efekt, bo jeszcze w sobotę wieczorem wojewoda zapowiedział, że dotacja zostanie przywrócona. Mamy nadzieję, że dotrzyma słowa" – mówi w rozmowie z Onetem Piotr Żyłka, współautor z Łukaszem Wojtusikiem wywiadu rzeki „Siostry z Broniszewic". Faktycznie, wojewoda wielkopolski szybko wystosował nowe pismo, w którym skierował dotację do Broniszewic. Jednak komunikat, który otrzymali postronni obserwatorzy, jest jasny – to nagłośnienie sprawy pomogło słynnym zakonnicom.

Obcięcie dotacji dotyczy wielu podobnych placówek. A nie wszystkie DPS-y mają szczęście do tak rozpoznawalnych orędowniczek jak dominikanki.

Przyznaje to zresztą cytowany przez „Wyborczą" rzecznik wojewody wielkopolskiego Jarosław Władczyk mówiąc, że „to było zaplanowane. Ale nie da się ukryć, że przyspieszyło w wyniku presji medialnej". Zatem nawet jeśli działania władz były przewidziane, to niesmak pozostał, a pytanie o to, na ile na decyzję wojewody wpłynęła rozpoznawalność sióstr, pozostaje w mocy. Nie wszystkie DPS-y mają szczęście do takich orędowniczek.

– Nie chciałyśmy robić burzy medialnej, robić z tego sprawy politycznej czy występować przeciwko konkretnym władzom. Mamy kilkunastoletnie doświadczenie pracy w pomocy społecznej i wiemy, że to nie dzieje się tak, że zmienia sią rząd, a do DPS-u trafiają miliony. Nie oszukujmy się – trzeźwo zauważa s. Tymoteusza Gil. – Postąpiłyśmy tak jak zawsze: poprosiłyśmy naszych darczyńców o wsparcie. Dostałyśmy informację, że budżet zostaje pomniejszony, to ją przyjęłyśmy i zwróciłyśmy się do tych, na których zawsze możemy liczyć. Nie przyszło nam do głowy prosić kogokolwiek z urzędu o wsparcie, chciałyśmy same te pieniądze odzyskać. Tym niemniej jesteśmy wdzięczne za to, że pieniądze zostały przywrócone – opisuje dominikanka.

Zakonnice zostały zaproszone na spotkanie w Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej, które odbyło się w poniedziałek. Siostra Gil podkreśla, że było to spotkanie owocne i poprowadzone na wysokim poziomie, a dominikanki otrzymały zapewnienie o wyrównaniu „utraconych" środków. Środki otrzymane w ramach zbiórki siostry z Broniszewic zamierzają przeznaczyć na dalsze potrzeby domu, o czym już poinformowały darczyńców. – Bardzo się cieszymy, ponieważ w grudniu, gdy widzimy, że budżet się nie spina, a tak jest co roku, zawsze zakładamy zbiórki, z których udaje się uzyskać około 300-400 tys. W tym roku nie będziemy musiały się tym martwić. Nasze zmartwienia zaczną się od stycznia.

Wspomożyciel

A co z innymi DPS-ami? Co z Pleszewem czy Mielżynem? Zbiórka założona na tę drugą placówkę na zrzutka.pl jest daleka od sukcesu Domu Chłopaków, bo z potrzebnych 200 tys. na razie naskładała 26 tys. zł. Co ciekawe, ten drugi dom również prowadzą dominikanki, w tym moja rozmówczyni, która obecnie jest tam dyrektorką. Jednak szczęśliwie również tutaj karta się odwróciła. – Już dostałam decyzję co do Mielżyna i mamy otrzymać 182 tys. – przyznaje s. Tymoteusza. Niemniej problemów jest w bród. W Domu Dziewczyn, bo tak nazywa się placówka, prowadzony jest olbrzymi remont mający na celu zwiększyć dostępność np. łazienek. Zakonnice od roku kwestują po całej Polsce, szukają funduszy w projektach grantowych. Przede wszystkim zaś brakuje rąk do pomocy.

– Obecnie w domu mieszka 80 dziewczyn: dzieci, młodzieży i dorosłych. Najmłodsza mieszkanka ma 9 miesięcy, najstarsza 75 lat. Są tutaj dzieci i kobiety z bardzo poważnymi chorobami przewlekłymi. Zmagamy się przede wszystkim z niepełnosprawnością, ale też nowotworami. Jest tutaj co robić.

Na sam remont łazienek potrzebne jest jeszcze aż 1,5 mln zł, a kolejne dni przynoszą nowe odkrycia. Po ekspertyzie okazało się, że w większości pokojów trzeba wymienić nieszczelne okna. Problemem jest też zniszczona hydraulika.

– Zależy nam, żeby głośno mówić i o tym domu. Założyliśmy stronę internetową domdziewczyn.pl i wzajemnie się wspieramy z Broniszewicami. Chłopcy mają tu swoje dziewczyny, dziewczyny mają swoich chłopaków – mówi s. Tymoteusza, prosząc o środki na pomoc w budowie domu. – Kiedy wracałyśmy w poniedziałek z Warszawy, zmęczone po rozmowach w ministerstwie, odmawiałyśmy nieszpory. W tym dniu w liturgii godzin były niesamowite prośby. „Bądź, Panie, schronieniem dla ubogich i wspomożycielem w ich ucisku", czytałyśmy. W domach rodzinnych to rodzice stoją murem za dziećmi, a w takich domach jak nasz? To my musimy za nimi stać.

© KAROL KLECZKA

WOJCIECH

Bonowicz:
Sala ćwiczeń

Poproszony o to, żeby opisał swój ból w skali od jeden do dziesięciu, człowiek właściwie nie wie, co powiedzieć. Najbezpieczniej byłoby powiedzieć „pięć", ale przecież kiedy usiłował rano wstać, wydawało mu się, że jest co najmniej siedem albo osiem. A kiedy podnosił drzwi garażu, aż krzyknął, więc może ma prawo powiedzieć „dziesięć". Chociaż teraz, gdy już trochę ten ból rozchodził, wcale nie jest pewien, czy nie powinien zostać przy pięciu. Więc kiedy terapeutka, stukając w klawiaturę, pyta go, co z tym bólem, odpowiada ostrożnie: „Tak między cztery a sześć".

Bólu wokół jest pod dostatkiem. Każdy, kto wchodzi na salę ćwiczeń, wchodzi tam z jakimś. Ludzie po udarach i wypadkach, ofiary nieroztropnej jazdy na nartach i wielogodzinnego siedzenia za biurkiem. Kierowca, który przez większą część życia prowadził miejskie autobusy, i pani, która wykonuje ćwiczenia szybciej niż inni, bo musi za godzinę otworzyć sklep i przyjąć oraz rozładować towar. Sam ból nieraz może nie jest tak silny jak strach przed bólem – że nagle postrzyknie, ukłuje, przebiegnie dreszczem przez całe ciało. „Odczuwanie bólu jest u każdego inne", mówi lekarz. „Bywa, że ludzie z niewielką skoliozą wchodzą na czworaka do gabinetu. A inni, wchodzący dziarsko, mają kręgosłup w kawałkach". To jest tajemnica ciała. Da się ją objaśnić, ale objaśnienie niczego nie zmienia: jednego boli tak, drugiego inaczej.

Terapeutkami są na ogół młode kobiety. Czasem mężczyźni, ale kobiet jest zdecydowanie więcej. Krucha dziewczyna pomaga wsiąść na wózek niepełnosprawnej pani. Inna pochyla się nad starszym panem z brzuszkiem, żeby pomóc mu w nieskomplikowanym ćwiczeniu. Jedni pacjenci po prostu podnoszą i opuszczają ramiona i nogi, a inni wykonują ruchy wymagające stałego towarzyszenia. Tak jest dzień w dzień; każdego trzeba dostrzec, dobrać mu ćwiczenia, a potem przypilnować, żeby wykonał je prawidłowo. Mężczyźni wchodzący na salę na widok młodych kobiet prostują się, wciągają brzuchy i spinają odwłoki. Ale to tylko na chwilę; nie da się w ten sposób przetrwać całej sesji. Panie, nawet te starsze, krępują się mniej. W ogóle na sali ćwiczeń można odnieść wrażenie, że ludzie generalnie akceptują własne ciała, chcą tylko, żeby działały, żeby nie przeszkadzały. „Śpię na boku, raz na lewym, raz na prawym. W nocy o trzeciej, czwartej budzi mnie okropny ból. Ale kiedy budzę się rano, ból jest niewielki. Nie wiem, jak to wytłumaczyć – chyba ciało samo się układa tak, żeby mu było dobrze?".

A jeszcze wcześniej są wirówki, prądy, mrożenie, masaż... Fizykoterapię też obsługują głównie młode panie. Ludzie napływają falami – czasem jest flauta, a czasem tsunami. Tsunami jest zwykle z rana, większość pacjentów przychodzi wcześniej, niż powinna. „Jest wolne, to idę do masarza", żartuje pan po pięćdziesiątce. Niewidomy mężczyzna masuje na stole obok starszą kobietę. „Co pan czyta?", pyta niespodziewanie masowana. Mężczyzna wymienia kilka nazwisk. „Niech pan koniecznie przeczyta »Głuszę« Anny Goc. Ona dostała Nagrodę Kapuścińskiego, chyba jako piąta Polka. To są duże pieniądze...". Ale chyba nie w pieniądzach tkwi według niej wartość książki, bo dalej w kilku zdaniach trafnie streszcza zawartość i przesłanie. „»Głusza«, niech pan zapamięta. »Głusza«, Anna Goc", powtarza kobieta z naciskiem. „No, dziękuję pani za polecenie", odpowiada uprzejmie masażysta.

Ciekawe, ile bólu leczy się tu słowem, uważnością, uśmiechem. Terapeutki chodzą przeważnie w maseczkach, ale przecież widać, kiedy się uśmiechają, a kiedy nie. To, że ćwiczymy razem, też ma swoje znaczenie. Nie wypada się gapić, ale ja trochę się gapię, bo człowiek mnie ciekawi, a człowiek w ruchu ciekawi mnie bardzo. Ludzie są na ogół dla siebie nawzajem mili, uprzejmie podają sobie piłki, taśmy, ustalają miejsce w kolejce do bieżni. Przez osiem dni nie spotkałem tu nikogo konfliktowego. Zostało mi jeszcze siedem.

„Jak by pan ocenił teraz swój ból w skali jeden do dziesięciu?", pyta terapeutka. Pan koło osiemdziesiątki zamyśla się: „Teraz? Teraz to trzy". ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 205/23 toczy się postępowanie z wniosku Włodzimierza Skośkiewicza o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Antoniów, gmina Gielniów, powiat przysuski, woj. mazowieckie, złożonej z działek o nr. ewidencyjnych: 58, 128, 285, 370, 387, 464, 558 i 713 o łącznej pow. 4,1800 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego na Nr. kancelaryjnym GK.I.6621.481.2023, niemającej ustalonego właściciela.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 30/23 toczy się sprawa z wniosku Anny Wioletty Ciesielskiej o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego przedmiotu świadczenia w postaci pieniędzy w kwocie 301156,48 zł (trzysta jeden tysięcy sto pięćdziesiąt sześć złotych czterdzieści osiem groszy) z tytułu obowiązku naprawienia szkody poprzez zapłatę na rzecz pokrzywdzonych spadkobierców Tadeusza Żelazko kwoty 301156,48 zł (trzysta jeden tysięcy sto pięćdziesiąt sześć złotych czterdzieści osiem groszy), których tożsamość nie jest znana, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez spadkobierców Tadeusza Żelazko po przedstawieniu prawomocnego odpisu postanowienia o stwierdzeniu nabycia spadku po zmarłym Tadeuszu Żelazko lub odpisu aktu poświadczenia dziedziczenia.

PLECAK PEŁEN KAMIENI

ALISA KOWALENKO, UKRAIŃSKA REŻYSERKA:

Żyję, i to już wiele. Przebywanie na froncie otwiera różne zakamarki duszy, a jednocześnie traumatyzuje. Czasem ciężko znaleźć nadzieję i radość.

KATARZYNA MALAROWSKA: Pada pomysł, żeby ukraińscy nastolatkowie wzięli udział w wyprawie w Himalaje. Od razu w to wchodzisz?

ALISA KOWALENKO: Walentyn Szczerbaczow, słynny ukraiński podróżnik, powiedział, że chciałby zabrać na taką wyprawę dzieci i nastolatków ze stref działań wojennych wschodniej Ukrainy. Żeby zobaczyli jedną z najwyższych gór świata – Annapurnę. Walentyn na co dzień pracuje z dziećmi, stawia im wyzwania sportowe, prowadzi kanał na YouTubie. Wytypował pięć osób. Wydało mi się to tak pięknym marzeniem, że chciałam być jego częścią.

Efektem trzech lat pracy jest film „Nie znikniemy". Dlaczego dzieci z Donbasu?

To pokolenie jest ważne, bo niebawem będzie budować nasz kraj. Wielu starszych mieszkańców wschodniej Ukrainy wciąż ma głęboko zakorzenione postsowieckie myślenie i czuje nostalgię za przeszłością. A Donbas może być ukraiński i nowoczesny tylko dzięki młodym ludziom.

Zanim zaczęła się wojna na pełną skalę, nastolatkowie mieli świadomość, że żyją w miejscu, gdzie ciężko coś osiągnąć. Ich znajomi wyjechali na studia albo do pracy. Andrij, jeden z moich bohaterów, twierdził, że zrobi karierę w wielkim mieście, a potem wróci, żeby zmieniać wieś, z której pochodzi. Spędziłam w Donbasie sporo czasu, czułam tam dobrze mi znaną atmosferę braku nadziei, schyłku, marazmu.

Znasz to z dzieciństwa?

Tak. Urodziłam się pod koniec lat 80. w Zaporożu, przemysłowym mieście pełnym starych zakładów metalurgicznych. Po upadku Związku Sowieckiego wiele z nich zamknięto, a pracownicy z dnia na dzień stracili pracę. Moi rodzice mieli bardzo niskie pensje, czasem w ogóle im nie płacono, były przestoje. Atmosfera końca świata. Brakowało mi wtedy kogoś, kto by powiedział, że na tym miejscu świat się nie kończy i że warto marzyć. Chciałam się stamtąd wydostać.

Jako dzieci wymyślaliśmy zabawy, szukaliśmy skarbów, byliśmy marzycielami i w ten sposób chroniliśmy się przed depresją i otępieniem. Ale generalnie takie miejsca kształtują w nas poczucie gorszości. Odbierają pewność siebie i siły do walki o życie, jakie chcielibyśmy wieść. Ja również nie wierzyłam, że życie nastolatki z biednej rodziny robotniczej może być czymś więcej. Wyjazd na studia do Kijowa był dla mnie prawie jak wyjazd do Nowego Jorku.

Film zaczyna się w 2019 r. Wiemy, co nastąpi za trzy lata. Beztroskie marzenia nastolatków w obliczu nadciągającej historii wzbudzają napięcie.

Byłam zdumiona, jak życie w strefie działań wojennych na zapadniętych wsiach toczyło się z pozoru normalnie. Młodzi ludzie wciąż mieli nadzieję, zapał i chęci, zanim ciemność pochłonęła ich marzenia.

Dla mnie ten film ma wiele znaczeń. Wyprawa to historia o wchodzeniu na swoją wewnętrzną górę, każdy ma taką. Opowiadam także o niewinności dzieciństwa, którego nawet wojna, tocząca się obok od 2014 r., nie była w stanie popsuć. Tonino Guerra, światowej sławy włoski scenarzysta, który współpracował z Fellinim, powiedział: „W dzieciństwie jesteśmy wieczni". Te słowa towarzyszyły mi podczas nagrań. To jest o tej wewnętrznej iskrze, która może rozświetlić każdy zakamarek duszy. Dzieci mają ją wrodzoną, niezależnie od tego, gdzie mieszkają.

Jest taka scena, gdy dziewczynki zamalowują dziury po kulach w bramie. Jedna z nich radośnie mówi, że to będzie świat jednorożców, a w tle słychać odgłosy wystrzałów. Da się tak żyć?

Moi bohaterowie przez tyle lat na linii frontu oswoili się z wojną. Huk bomb i ostrzał towarzyszyły im w pracy, szkole, na spacerach. Zagrożenie było cały czas obecne, tak podskórnie, jak uwierający kamień w bucie. Ale życie toczyło się dalej.

Nie chciałam pokazywać biednych i przygnębionych ludzi bez przyszłości. Mam wrażenie, że to pociągające dla wielu twórców. Ale jeśli spojrzy się na tamtą rzeczywistość z perspektywy dzieci i nastolatków, to okazuje się, że można w niej dostrzec jednorożca. Ale tylko dzieci mogą go zobaczyć. Ta zdolność z wiekiem się wytraca, słabnie.

ARCHIWUM PRYWATNE

Na zdjęciu jako żołnierz batalionu ochotniczego. Marzec 2022 r.

ALISA KOWALENKO (ur. 1987) jest reżyserką filmów „Sister Zo", „Alisa w krainie wojny" i pokazywanego obecnie w polskich kinach „Nie znikniemy".

Niestety przystosowanie do ekstremalnie trudnej rzeczywistości ma też inną stronę. Gdy 24 lutego zaczęła się inwazja, nie przeraziła ich tak jak ludzi w Kijowie.

Nie uciekali?

Nie wierzyli, że będzie aż tak źle. Byli pewni, że i tym razem ukraińska armia ich obroni. Rodziny moich bohaterów odmówiły, gdy proponowałam tymczasowy wyjazd do Kijowa. Tydzień po inwazji tata Andrija poszedł do pracy w kopalni, która znalazła się pod ostrzałem. Przysypało ich, byli przez jakiś czas uwięzieni. Mimo to zostali, pracowali dalej.

W Charkowie, gdzie studiowała Liza, na ulicach prawie nie było ludzi, komunikacja miejska nie działała, a na drogach stało wiele spalonych samochodów. Liza prawie cały czas przebywała w schronie swojego akademika. Podrzuciliśmy ją do granicy z Polską, a przyjaciel pomógł zawieźć ją dalej do Belgii, gdzie obecnie studiuje. Andrij opuścił swoje miasto z matką i ojcem. Teraz mieszkają w Pawłohradzie, we wschodniej Ukrainie, gdzie ojciec Andrija nadal pracuje w kopalni. Jego babcię ewakuowano nieco później. Rodziny Lery ↦

↦ i Lizy są pod okupacją. Kontakt z Iliją i Rusłanem się urwał.

Ty również byłaś wtedy w Donbasie.

Mieliśmy dokończyć nagrywanie dźwięków do filmu. 24 lutego o piątej rano zadzwoniła do mnie mama. Potem wydzwaniali rodzice bohaterów filmu, prosili, żebym jak najszybciej wyjechała. Płakali, nie wiedzieli, co robić. Na ulicach były ogromne korki, karetki jeździły na sygnale między uciekającymi ludźmi. Słychać było eksplozje. Już tydzień wcześniej bomba trafiła w przedszkole w Stanicy Ługańskiej, gdzie mieszkali Liza, Lera i Ilija. Po tym ataku zrozumiałam, że nadciąga coś poważnego. Tata Andrija przyjechał po mnie na dworzec i ruszyliśmy do Zołotego, prosto na linię frontu. Wszyscy jechali w przeciwnym kierunku. Radio co pół godziny trąbiło o ewakuacji. Pojawiały się plotki o nadciągającej rosyjskiej dywizji czołgów. Rósł strach, że granica padnie.

Po kilku dniach poczułam, że dłużej nie mogę filmować. Czułam się bezsilna.

Dlatego wstąpiłaś do wojska?

Kiedy byłam na froncie w 2014 r. i filmowałam ukraińskich żołnierzy ochotników, obiecałam sobie, że jeśli wojna ogarnie cały kraj, odłożę kamerę i pójdę walczyć. Uczucie, że chcę robić coś więcej niż filmy, towarzyszyło mi już od Majdanu.

Wtedy nie miałaś jeszcze syna.

Chcę, żeby mój syn dorastał w Ukrainie. Czułam, że poniekąd robię to dla niego, ale też, że nie miałam wyjścia. To bardzo osobista decyzja.

Poza tym już w 2014 r. byłam na froncie. Filmowałam formację militarną Prawy Sektor, która wzbudzała wówczas wiele skrajnych emocji. Chciałam się dowiedzieć, kim są ci ochotnicy, co myślą, co ich motywuje. To nie byli fanatycy związani z jakąś partią, tylko zwykli faceci, którzy chcieli służyć w wojsku, ale nie ufali wtedy ukraińskiej armii. Spędziłam z nimi dużo czasu na froncie. Wcześniej aktywnie uczestniczyłam w protestach na Majdanie. Sporo już umiałam. Wiedziałam, gdzie jadę i na co się piszę. Dołączyłam do batalionu, którego dowódcę znałam od 2014 r. Był doświadczony, ufałam mu.

Jak zareagował Twój mąż?

Stéphane jest francuskim dziennikarzem i producentem filmów dokumentalnych. Opisywał i filmował rosyjską okupację Ukrainy przez wiele lat, więc orientował się w sytuacji, wiedział, jak wygląda front.

Był wściekły, gdy byłam z kamerą w Donbasie na początku inwazji. Nalegał, żebym wyjechała. Jestem na czarnej liście Rosjan i był pewny, że gdy mnie złapią, to zabiją. Może miał rację. Ale po 24 lutego panowała dezinformacja, nie wiadomo było, co jest prawdziwe, co się wydarzy. Najpierw ewakuował naszego syna i mamę na zachodnią Ukrainę, a trzy tygodnie później ściągnął ich do Francji. Ale potem przez jakiś czas pracował na Ukrainie jako reporter.

Wiedział o mojej obietnicy. Nie popierał jej, ale rozumiał. Wiedział, że nie może mnie zatrzymać.

Służyłaś w wojsku cztery miesiące. O czym się wtedy myśli?

O życiu, jego sensie, celu. Nieustannie. Patrzy się na horyzont i rozmyśla. Pamiętam te długie noce, kiedy nie było wiadomo, czy się dożyje do rana. Rosjanie bombardowali nas wszystkim, co mieli, nawet fosforem.

Służyłam w jednostce wolontariuszy w batalionie piechoty, więc zawsze byliśmy na pierwszej linii, w okopach, na ziemi, w deszczu i śniegu. Robiliśmy brudną robotę. Naszym zadaniem była obrona i utrzymanie pozycji. Nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby rosyjskie wojska przedarły się w głąb Ukrainy. Poruszaliśmy się bardzo blisko granicy z Rosją. Wyzwalaliśmy wieś za wsią.

Pewnego dnia, gdy leżeliśmy w okopach, zaczęło się bombardowanie. Coś huknęło obok mnie i dowódcy. Przysypało nas ziemią. Wielu trafiło do szpitala. Później podczas jednej misji planowaliśmy wysadzić drogę, którą miały jechać rosyjskie wojska. Ale atakowali nas wściekle i ciężko było iść do przodu. Utknęliśmy. Stacjonowaliśmy w lesie, dokąd zakradły się specjalne rosyjskie grupy, żeby zabijać naszych żołnierzy. Było wielu rannych.

Najbardziej ekstremalne doświadczenie miało miejsce podczas operacji szturmowej. Traciliśmy ludzi bardzo szybko, a dwie nasze flanki zostały zniszczone. Operacja była nieudana. Mój dowódca zdecydował, że musimy wracać z całym ekwipunkiem na sobie, z kałasznikowem na plecach. To były kilometry w ciemnościach przez otwarte pola. Stanowiliśmy cele podane myśliwcom jak na tacy.

Moją ostatnią misją miało być szkolenie obsługi dronów, pojechał na nie mój kolega, ja miałam dojechać dzień później. Tamtej nocy ostrzelano budynek szkoleniowy. Kolega zginął we śnie przygnieciony przez beton. Moje łóżko w tamtej lokalizacji znajdowało się obok jego łóżka.

Potem wpisano mnie na listę kandydatów do regularnej armii. Dowódca zasugerował, żebym to przemyślała. Powiedział, że mogę się inaczej przydać w tej wojnie. Wróciłam do Kijowa, żeby dokończyć pracę nad filmem.

Filmowałaś na froncie?

Czasem włączałam kamerę i rejestrowałam zwykłe rzeczy: insekty w okopach, ciszę, trawę, linię horyzontu. Nie ma tam akcji, to jak album ze wspomnieniami. Większość ludzi robi zdjęcia telefonem, ja utrwalam chwile kamerą. Nagrałam też rozmowy z moim synkiem i napisałam do niego kilka listów. Stéphane miał mu je przeczytać, gdy dorośnie, w razie gdybym zginęła. Teraz ma sześć lat.

Dołączyłaś do SEMA Ukraine, Ukraińskiej Sieci Kobiet Dotkniętych Przemocą Seksualną, kierowanej przez Irynę Dowgan. Niedawno wróciłyście z cyklu spotkań w Europie i USA, podczas których opowiadałyście o przemocy seksualnej, jakiej Rosjanie dopuszczają się wobec Ukrainek. Dlaczego to robisz?

Zbyt długo milczałam.

Co się zmieniło?

Wzięłam udział w projekcie Teatru Przesiedleńców w Kijowie i pierwszy raz zaczęłam rozmawiać o swoim doświadczeniu. Za namową Georga Genoux, pomysłodawcy teatru, wystąpiłam w spektaklu „Niewola" i podzieliłam się swoją historią.

W 2014 r. schwytali Cię rosyjscy separatyści.

Po Majdanie pojechałam na wschód Ukrainy, żeby lepiej zrozumieć wojnę. Byłam 26-letnią studentką szkoły filmowej i czułam, że dokumentowanie historii, która działa się na naszych oczach, jest moim obowiązkiem. Filmowałam proro-

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Nie znikniemy", reż. Alisa Kowalenko, 2023 r.

syjskie demonstracje. Podczas demonstracji w Doniecku, żeby uniknąć zamieszek, skłamałam, że jestem dziennikarką Russia Today. Nie mogłam już dłużej tego robić, bałam się, że mnie w końcu aresztują.

Wracałam stamtąd taksówką, autobusy nie kursowały. Przejeżdżałam przez kilka checkpointów kontrolowanych przez prorosyjskich żołnierzy. Wszyscy mieli broń. Na jednym mój taksówkarz powiedział, że należę do ukraińskiej armii. Kazali mi wysiąść i zabrali na przesłuchanie. Bili. Nie płakałam, więc uznali, że mnie wyszkolono, i oskarżyli o bycie snajperem. Oficer, który przedstawiał się jako szef kontrwywiadu, próbował wyciągnąć ze mnie informacje, których oczywiście nie miałam. Grozili, że coś zrobią mojej rodzinie, że utną mi uszy.

Potem oficer zabrał mnie do jakiegoś mieszkania. Mówił, że powinnam umrzeć, a on ratuje mi życie. Oczekiwał wdzięczności. Kazał mi się rozebrać, położył się na mnie i próbował zgwałcić. Nigdy nie czułam takiego strachu, zwierzęcego, przeszywającego do szpiku.

Stéphane pracował w tamtym regionie jako dziennikarz. Już wtedy byliśmy razem. Kiedy nie wróciłam na noc, zorientował się, że coś jest nie tak. Wszyscy zagraniczni dziennikarze dowiedzieli się, że zostałam zatrzymana. Po kilku dniach Rosjanie mnie wypuścili. Po tym wydarzeniu nie czułam już strachu.

W filmie „Alisa w krainie wojny" z 2015 r. opowiadasz o tym wydarzeniu bardzo pobieżnie.

Zepchnęłam je gdzieś głęboko. Myślałam wtedy, że jestem słaba. Że mnie złamano. Upokorzono. To nie jest temat, o którym rozmawia się z rodziną. Ukryłam tę traumę, zamknęłam w środku, jakby się nie wydarzyła.

Dopiero teatr i rozmowy z innymi kobietami, które doznały przemocy seksualnej i różnych okropności ze strony Rosjan, na nowo odkryły ten ból. Wróciły wspomnienia. Byłam gotowa, żeby mówić o tym publicznie. A jakiś czas później napisała do mnie Iryna Dowgan i zaprosiła na spotkanie.

Iryna została zatrzymana w 2014 r. przez rosyjskich separatystów. Po trzech dniach znęcania się nad nią Rosjanie owinęli ją ukraińską flagą i przywiązali do słupa na skrzyżowaniu w centrum Doniecka, na szyi zawiesili tabliczkę: „Ona zabija nasze dzieci i jest agentką". Przechodnie ją bili. Uratowało ją zdjęcie, które zrobił jej dziennikarz Mauricio Lima i wysłał do „New York Timesa". Wypuścili ją.

Okazało się, że byłyśmy przetrzymywane w podobnym czasie. Iryna przeżyła straszne rzeczy, a mimo to ma niesamowitą energię. Jestem w wieku jej córki, a to ona mnie motywuje do działania. W 2019 r. założyła organizację SEMA Ukraine i szukała kobiet, którym może pomóc. Tak do niej trafiłam.

Raport Niezależnej Międzynarodowej Komisji Śledczej ds. Ukrainy potwierdził powszechne stosowanie gwałtu, którego ofiarami są osoby w wieku od 4 do ponad 80 lat. Trudno jednak oszacować dokładne liczby.

Pojechałyśmy z Iryną do Bośni i rozmawiałyśmy z ofiarami przestępstw seksualnych podczas tamtejszej wojny w latach 90. Niektóre otwierały się dopiero po 10 latach. Ukrainki też nie są gotowe, by mówić. Dlatego potrzebujemy systemu, procedury dostosowanej do zbierania zeznań, dokumentowania tych zbrodni i karania winnych. Chcemy pośredniczyć w rozmowach z kobietami, bo niewiele z nich chce zeznawać na policji. Są nieufne wobec władz, a zwłaszcza mężczyzn. Bardziej prawdopodobne jest, że otworzą się przed kimś, kto przeszedł to samo. Chcemy stworzyć możliwość opowiedzenia o tych przeżyciach w komfortowych warunkach. Czasem sama obecność w grupie kobiet o podobnych doświadczeniach jest kojąca. Ważne, żeby nie używać słowa „ofiara", tylko „survivors", ocalone.

Powiedziałaś, że nie jesteś już tą sama Alisą, co kiedyś. Jaka Alisa siedzi teraz przede mną?

W trakcie Majdanu byłam niesiona nastoletnią, romantyczną ideą. Może zbyt idealistyczną. Potem przyszła rzeczywistość. Byliśmy w centrum wydarzeń, nie mieliśmy możliwości spojrzenia z dystansu, bo wszystko działo się tu i teraz. Z czasem zdobywasz doświadczenie, przychodzi mądrość, gotowość do refleksji.

Jednak dzięki tym wszystkim przeżyciom byłam w pewien sposób przygotowana na to, co się dzieje od 24 lutego. Skala okrucieństw jest oczywiście o wiele większa, ale nie mam w sobie już zdziwienia albo niedowierzania. Wiem, że to się dzieje. Że jest prawdziwe.

Patrzę na swoje życie jak na niesamowitą wartość. Żyję, i to jest już wiele. Przebywanie na froncie otwiera różne zakamarki duszy, a jednocześnie traumatyzuje. Czasem trudno znaleźć nadzieję i radość. Nieznośny ciężar jest cały czas ze mną. Jakby ciążył mi plecak wypełniony kamieniami. Ale też czuję się winna.

Dlaczego?

Bo nie wróciłam na front. Zostawiłam jednostkę.

A filmy?

Na poziomie racjonalnym wiem, że to była dobra decyzja. Rozumiem tę wartość. Ale w środku jest ogromna dziura. Nie potrafię jej z siebie wyjąć, pozbyć się, zakopać. Gdy otwieram Facebooka, co chwilę wyświetlają się wiadomości: „Spoczywaj w pokoju". Widzę ich twarze. I znów mam ochotę jechać na front.

© Rozmawiała KATARZYNA MALAROWSKA

STEFANO GUIDI / GETTY IMAGES

Pożegnanie z Silvio. Arcore, Włochy, 12 czerwca 2023 r.

Duch Berlusconiego krąży po Europie

PAWEŁ BRAVO

Życie pełną gębą i drobne świństewka: oto, w jaki sposób magnat włoskiej polityki i mediów zbudował nieodgadnioną dla naukowych narzędzi więź z co najmniej połową narodu.

Kiedy ktoś jest człowiekiem interesu, stara się robić interesy. Ma klientów i konkurentów. Patrzy na liczby, a nie na kryteria. Nie może ufać innym i wie, że inni nie bardzo mu ufają. Kiedy ktoś jest człowiekiem polityki, stara się wygrywać. Jedni go wynoszą pod niebiosa, inni potępiają. Człowiek polityki zawsze jest stronniczy. Ale w tej chwili pożegnania możemy powiedzieć o Silvio Berlusconim, że był po prostu człowiekiem: pragnął życia, miłości, radości" – głosił arcybiskup Mediolanu Mario Delpini w kazaniu na pogrzebie w swojej katedrze, 14 czerwca, dwa dni po śmierci byłego premiera.

Interesy i orgie

Ci, którzy Berlusconiego mieli w pogardzie, z gorzką satysfakcją słuchali, jak wielki dostojnik Kościoła omija rafy, chcąc po chrześcijańsku podsumować życie notorycznego łotra i grzesznika, postaci, która w wymiarze publicznym spektakularnie i z uporem zaprzeczała w każdy możliwy sposób wzorcom odpowiedzialnego władcy i ojca rodziny. Berlusconi, jak powiadał kiedyś komik Roberto Benigni, nie miał jako premier, a zarazem magnat medialny i posiadacz banków, żadnych konfliktów interesów: miał wyłącznie interesy. Mało tego, że zaczął swoją karierę polityczną, by zapewnić dobre warunki rozwoju dla swoich biznesów, ale też na sam koniec, w 2011 r., gdy Włochom z powodu tzw. kryzysu zadłużeniowego strefy euro groziła niewypłacalność, ustąpił definitywnie nie pod naciskiem Angeli Merkel czy Komisji Europejskiej, jak głosiła później legenda, tylko gdy własne dzieci uświadomiły mu, że na ewentualnym krachu finansowym kraju najbardziej straci rodzinny holding.

Równie liczni zwolennicy, którzy czterokrotnie, od 1994 do 2008 r. zapewniali mu premierostwo (najdłuższe w sumie w całej powojennej historii Włoch), mogli, słuchając arcybiskupa, po raz kolejny utwierdzić się w tym, że każdy człowiek „raduje się i lubi świętować, cieszy się z dobrych chwil, z oklasków, jest zadowolony z siebie i dziwi się, kiedy inni nie są zadowoleni". I mniejsza z tym, że te dobre chwile to orgie z kobietami. Albo wynajętymi przez ludzi, chcących się wkupić w jego łaski, albo gotowymi za obietnice kariery w telewizji czy w parlamencie iść do łóżka – choćby tego podarowanego mu przez „wielkiego przyjaciela" Władimira Putina (Berlusconi wtedy odwdzięczył się wysłaną do Moskwy narzutą z nadrukowanym ich wspólnym zdjęciem). Czasem zresztą z podlotkami na granicy pełnoletności.

ALEXEY PANOV / AFP / EAST NEWS

Władimir Putin i Silvio Berlusconi podczas wspólnej kolacji. Zavidowo, Moskwa, 3 lutego 2003 r.

A któż by nie chciał na stare lata mieć takiego powodzenia u kobiet, choćby cichaczem – zakładał Berlusconi, który nie wypierał się swoich „bunga bunga", a jedynie tego, że jego „zdobycze" zostały opłacone gotówką. Życie pełną gębą i drobne świństewka: to wystarczy, żeby mieć za sobą co najmniej połowę elektoratu, niekoniecznie tylko męskiego. Bo to na zadowoleniu z siebie, na konsumpcyjnej fecie, na prostym, bezrefleksyjnym epikureizmie baby boomera przejadającego późne owoce cudu gospodarczego powojennych dekad, przełożonym na język telewizji, Berlusconi zbudował nieodgadnioną dla naukowych narzędzi opisu polityki XX wieku więź z co najmniej połową narodu. Więź trudną do zrozumienia, bo bardziej instynktowną niż wykalkulowaną na podstawie badań i koncepcji spin doktorów. Zresztą już wcześniej, tworząc w latach 80. i 90. swoje imperium telewizyjne (w pewnym momencie kontrolował praktycznie wszystkie liczące się stacje o zasięgu ponadregionalnym) i budując nowy model właściciela klubu sportowego (AC Milan), Berlusconi korzystał z własnego genialnego wyczucia, jakiego rodzaju opium ma ochotę zapalić lud. W tym sensie jego sukces jako przedsiębiorcy medialnego można uznać za samorodny, umiał wykorzystać stwarzane mu okazje i otwierane przez życzliwych ministrów drogi na skróty, ale te okazje i skróty powstawały dzięki ścisłym związkom z establishmentem politycznym Włoch lat 80., z tą strukturą władzy, która na początku następnej dekady zawaliła się w tzw. rewolucji czystych rąk.

Oblicza polaryzacji

Berlusconi – wówczas tylko ambitny biznesmen i zausznik polityków – miał faktycznie czyste ręce, w tym sensie, że łapówki jeśli już, to raczej wręczał, niż brał. Próżnię powstałą po dawnych protektorach wypełnił w 1994 r. zupełnie nowym pomysłem politycznym. Jego ruch – Forza Italia – nawet w nazwie przypominał raczej wielki ogólnonarodowy klub kibica niż tradycyjną partię środka. Owszem, posługiwał się przekazem umiarkowanie liberalnym, ale czysto instrumentalnie, nic właściwie w sensie „liberalizacji" przez swoje urzędowanie aż do 2011 r. nie zdziałał. Najtrwalsza zmiana, jaką jego rządy skutecznie i wbrew stereotypom anarchicznego Włocha wprowadziły, to bynajmniej nie liberalny zakaz palenia w barach i restauracjach.

Ale za to był inny trwały skutek tej nowej formuły kibicowskiej, dziś oczywisty w wielu krajach, ale wtedy we Włoszech wdrożony po raz pierwszy (podobnie jak wcześniej pionierski mariaż polityki z telewizyjnym spektaklem): polaryzacja, podporządkowanie wszelkich spraw publicznych jednemu podziałowi, gdzie za czy przeciw Berlusconiemu można było być niezależnie od pozycji na tradycyjnej skali lewica–prawica. Jedno z wcieleń, które Forza Italia po rozszerzeniu o kolejne partie przybrała na początku XXI w., miało nawet wprost polaryzacyjną nazwę: Biegun Wolności (w domyśle, po drugiej stronie jest kraina zniewolenia, czyli – Berlusconi miał na to jedno słowo – komuniści, nawet jeśli np. jeden z jego arcyrywali Romano Prodi był pobożnym katolikiem).

I ta polaryzacja pozostała, choć szyldy i twarze się zmieniały. Starość, choroby, upływ czasu zrobiły swoje i przez ostatnie 10 lat Berlusconi oraz firmowany przezeń (i właściwie posiadany, bo rodzina systematycznie płaci partyjne długi) ruch był coraz bardziej gasnącą gwiazdą po stronie „wolnościowej". Niosła go raczej siła bezwładu i dostawał coraz mniej głosów. Nawet gdy w 2019 r. przed wyborami do europarlamentu w unijnych kancelariach zdecydowano się za wszelką cenę wspomóc tego wcześniej wyśmiewanego pariasa, byle tylko znalazła się jakaś ↦

↦ przeciwwaga dla skrajnych populistów nowego chowu, to Forza Italia zdobyła już tylko jednocyfrowy wynik.

Bracia i siostra

Na pogrzeb w Mediolanie nie przyszły wcale tłumy. Więcej było wdzięcznych kibiców Milanu (gromko śpiewali „Ole, ole, ole, kto nie skacze, ten komunista") niż działaczy jego partii i klientów wiszących niegdyś u klamki. Tak jak poczciwą telewizję śniadaniową wypierają media społecznościowe, tak miejsce Forza Italia na czele włoskiej polityki od dekady już zajmują nowe podmioty, umiejące się posługiwać Facebookiem i TikTokiem – co zupełnie XX-wieczny Berlusconi też próbował „ogarniać", ale z żałosnymi skutkami. Najpierw Liga Mattea Salviniego, potem Bracia Włosi obecnej premier Giorgii Meloni (jej partia dziedziczy spuściznę postfaszystów, których sam Berlusconi w 1994 r. przyjął do swojego pierwszego rządu, łamiąc dotychczasowe tabu, ale jest zarazem pokoleniowo najmłodsza i niewątpliwie jutro należy do niej).

Paradoksalnie dla męskiego szowinisty sypiącego seksistowskimi żartami i dla kogoś, kto praktykował uprzedmiotowienie kobiet w swoich telewizjach i klubach poselskich, ostatni polityczny sztych Berlusconiego, ostatnia zagrywka wysoko powyżej trzymanych kart (jego partia w ostatnich wyborach dostała ledwie 8 proc.) to było zeszłoroczne przesilenie i przyspieszone wybory, gdy było jasne, że wygra je właśnie Meloni i zostanie pierwszą kobietą na stanowisku premiera. Zapewne Berlusconi liczył, że z tylnego fotela będzie w stanie rozgrywać tę „dziewczynkę", jednak przez ten niecały rok osadziła go twardo w nieznanej mu dotąd roli junior partnera w spółce. Mógł co najwyżej utrudniać, komplikować, stawiać ją w niezręcznej sytuacji, spowalniać. Jak wtedy, gdy – świadom, że ona z trudem buduje swoją atlantycką wiarygodność – wypowiadał się o wojnie w Ukrainie językiem kremlowskiej propagandy i chwalił się, że Putin przysłał mu na urodziny skrzynkę wódki.

Giorgia Meloni ma wreszcie rozwiązane ręce, co nie znaczy, że wraz ze śmiercią jej poprzednika zniknęła spora część prorosyjsko nastawionego elektoratu.

Teraz Meloni ma już całkiem rozwiązane ręce, co nie znaczy, że spora część prorosyjsko nastawionego elektoratu zniknęła wraz ze śmiercią tego przyjaciela Putina – przy czym przyjaźń tę mierzyć należało nie tylko łóżkami, wódką i fajerwerkami na wspólnych imprezach, ale np. udziałami rosyjskich spółek we włoskim rynku węglowodorów. Jedną z decyzji, jaką będzie musiała wkrótce podjąć, to czy wraz z rychłym połknięciem resztówek po Forza Italia (w unijnej polityce należy do Europejskiej Partii Ludowej) da się namówić, by w jakiejś zmienionej formule przeprowadzić swoich Braci Włochów do tej właśnie rodziny, czyli dołączyć do największych graczy w Brukseli i Strasburgu. Taka zmiana barw klubowych musiałaby jednak oznaczać, że Meloni nie tylko pogrzebie fantastyczne projekty budowy „nowej prawicy" z Orbánem, Salvinim czy Kaczyńskim. Ale też że opuści PiS, z którym obecnie zasiada w grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Komentatorzy włoskiej polityki mówią, że z tą kwestią zaczeka na wynik jesiennych wyborów w Polsce. Dwubiegunowych, teatralnych, rozgrywanych między studiem telewizji a lajfem na Facebooku. W Mediolanie pogrzebano tylko ciało Berlusconiego, jego duch krąży po Europie w najlepsze.

©℗ PAWEŁ BRAVO

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Cieszynie wzywa uprawnionego Dariusza Chrostowskiego do odbioru depozytu w kwocie 12 617,25 zł (dwanaście tysięcy sześćset siedemnaście złotych 25/100) z odsetkami, w terminie 3 lat, pod rygorem stwierdzenia likwidacji tego depozytu (tj. przepadku na rzecz Skarbu Państwa). Depozyt został złożony w Sądzie w związku z wydaniem postanowienia z dnia 30.06.2022 r., sygn. akt I Ns 289/21, o dziale spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się postępowanie I Ns 466/21 z wniosku Wojciecha Patockiego o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości składającej się z działki nr ewid. 337/2 o pow. 0,10 ha położonej w Olszewicach, gmina Kałuszyn, powiat miński.

Sąd wzywa wszystkich, którzy roszczą sobie prawa do ww. nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w tutejszym sądzie i wykazali swój interes do uczestniczenia w tym postępowaniu, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w niniejszym postępowaniu.

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 152/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Kamieniarzu, ur. 20 października 1928 r. w Piekarach (gm. Liszki), zm. 30 października 2022 r. we Wrząsowicach, posiadającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu we Wrząsowicach. Sądowi nie jest znany skład spadku.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 434/22, z wniosku Alior Banku Spółki Akcyjnej z siedzibą w Warszawie, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu Kowalczyku zm. 21 czerwca 2020 r. w Chełmie, ostatnio zamieszkałym w Chełmie.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Kazimierza Kowalczyka, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

JUANCHO TORRES / GETTY IMAGES

Wejście do Hacienda Nápoles, posiadłości Pablo Escobara zamienionej dziś w park rozrywki. Kolumbia, 24 września 2018 r.

Pamiątki po Escobarze

DOMA MATEJKO, KRZYSZTOF STORY

Jedne z największych i najbardziej agresywnych zwierząt świata trafiły do Kolumbii jako fantazja narkotykowego bossa. Dziś są pozostałością po imperium króla kokainy – i wielkim utrapieniem.

Najsłynniejszy boss narkotykowy w historii świata, miał wszystko – a przede wszystkim władzę i pieniądze. Pieniądze, którymi dysponował, ciężko sobie wyobrazić i jeszcze trudniej przeliczyć. Nadmiar gotówki zakopywał w ziemi, polityków i oponentów przekupywał lub zabijał.

Nie bawił się w półśrodki. Był ekscentrykiem, co akurat w przypadku twórcy najsłynniejszego w historii Kolumbii kartelu narkotykowego, Cartel de Medellín, nie powinno specjalnie dziwić.

Prywatne zoo

W 1981 r. Escobar postanowił stworzyć godną podziwu i budzącą przerażenie kolekcję egzotycznych zwierząt – w swojej posiadłość znanej jako Hacienda Nápoles. „Chcę mieć własną arkę Noego" – oświadczył i jak powiedział, tak zrobił.

Żeby sprowadzić do Kolumbii zwierzęta, dla których naturalnym habitatem były głównie sawanny, zastosował podobną logistykę, co w przypadku przewozu kokainy do USA, z tym że w tym przypadku kierunek transportu był odwrotny. Skontaktował się z właścicielami farmy w Dallas w Teksasie, którzy łapali i transportowali zwierzęta z kontynentu afrykańskiego do Stanów Zjednoczonych. Osobiście przekazał im dwa miliony dolarów w gotówce.

Pierwsze okazy dotarły do Kolumbii wynajętą łodzią, która zacumowała w Necoclí w Antioquii na Morzu Karaibskim – słabo strzeżonym porcie, oddalonym o czterysta kilometrów od Medellín. Dla zwierząt rejs okazał się zbyt długi. Wiele z nich zachorowało, kilka zmarło, w tym jedna zebra, którą Escobar kazał wypchać i powiesić niczym trofeum łowieckie w salonie, w którym zwykle przyjmował gości.

Kolejne transporty zwierząt odbyły się już drogą powietrzną. Samoloty lądowały na lotnisku Olaya Herrera w Medellín, które słynęło z niskiej wydajności służb celnych. Podczas gdy samolot Escobara lądował i zostawał na włączonych silnikach, z hangaru wyjeżdżały ciężarówki zaopatrzone w dźwignie, którymi w ekspresowym tempie przerzucano skrzynie ze zwierzętami na auta. Kiedy na miejsce dojeżdżały w końcu służby celne i graniczne – zaniepokojone dźwiękami dochodzącymi z hangarów – nie znajdowały nic oprócz kilku piór i kupy sierści.

Do swojego zoo, które w dniu otwarcia liczyło ponad 1200 gatunków, Escobar sprowadził m.in. strusie, nosorożce i żyrafy. A także cztery hipopotamy – okazało się, że przetrwały znacznie dłużej niż jego narkotykowe imperium. ↦

Raj dla hipopotamów

↦ W Kolumbii żyje dziś jedyna populacja hipopotamów poza Afryką. Ponad setka zwierząt to potomkowie tamtej czwórki – trzech samic i jednego samca, dowodów ułańskiej fantazji Escobara.

W spadku po zastrzelonym w 1993 r. bossie zostało tyle spraw trudniejszych i bardziej palących, że akurat dużymi ssakami nie przejmował się nikt. Zwierzęta doskonale wykorzystały moment nieuwagi – pozbawione naturalnych wrogów zaczęły się rozmnażać, by wkrótce ruszyć w świat, a konkretniej w dolinę Rio Magdaleny, największej kolumbijskiej rzeki.

W 2013 r. hipopotamy żyły już w Ciénaga Barbacoas, ponad sto kilometrów od zoo w Hacienda Nápoles. Dla młodych hipopotamów taka wędrówka to często jedyna droga do samodzielności i potomstwa. Na co dzień żyją w sporych grupach, ale w każdej z nich tylko jeden samiec może uprawiać seks – reszta musi albo walczyć o przywództwo, albo szukać nowego terytorium. W Kolumbii znajdują je bez problemu.

Nawet w Afryce tak ogromne zwierzę nie ma wielu naturalnych wrogów, ale tam populację kontrolują regularne susze. Tymczasem dolinę Magdaleny biolog Mike Knight z RPA nazwał „rajem dla hipopotamów".

Najbardziej agresywne

Niestety w tym raju są intruzami – i to pazernymi.

Ich liczba ciągle rośnie, a według najnowszej analizy w ciągu 15 lat w Kolumbii będzie żyło nawet 1500 zwierząt (inne prace naukowe mówią o ośmiuset albo tysiącu). Nataly Castelblanco-Martínez, współautorka tego wyliczenia, przyznaje: „Jeśli w ciągu dziesięciu lat niczego nie zrobimy, sytuacja wymknie się spod kontroli".

Problemy są już teraz, bo hipopotamy to jedne z najbardziej terytorialnych i agresywnych zwierząt lądowych na świecie – w Afryce zabijają nawet 500 ludzi rocznie. W Kolumbii nikt jeszcze nie zginął, ale wypadki, których skutkiem były ciężkie poranienia, już się zdarzały.

Dużo większy jest ich wpływ na ekosystem. Dawne pupile Escobara mogą wyprzeć z lokalnej przyrody manaty czy wydry. Nie bez powodu hipopotamy są nazywane „inżynierami rzeki". Taki czterotonowy kolos je nawet 40 kg roślin dziennie. Żywi się na lądzie, ale wydala głównie wodzie – w efekcie zmienia jej skład, wzbogacając ją składnikami odżywczymi. Sam ruch hipopotamiego cielska zmienia strukturę mokradeł, przepływ wody, kształtuje glebę.

Naukowcy pod kierunkiem Jonathana Shurina z Uniwersytetu w San Diego zbadali ten wpływ. „Jeziora z hipopotamami mają inny skład chemiczny niż te bez zwierząt" – tłumaczy biolog. To z kolei może prowadzić do rozwoju bakterii czy zakwitu toksycznych glonów w wodzie, od której zależy życie zwierząt i ludzi. Duża populacja takich „inżynierów" może zupełnie zmienić największą kolumbijską rzekę.

Rzeka życia...

Nie ma Kolumbii bez Magdaleny. Nie sposób zrozumieć życia Kolumbijczyków bez poznania tej rzeki – największej, przepływającej niemal przez cały kraj. Jej dorzecze zajmuje 24 proc. powierzchni kraju, a jej wody przyczyniają się do wytworzenia 80 proc. PKB, 70 proc. energii hydraulicznej i 95 proc. energii termoelektrycznej. Ponad 77 proc. mieszkańców Kolumbii korzysta z jej zasobów.

Każde zachwianie jej równowagi mikrobiologicznej wpływa na zdrowie mieszkańców, których życie płynie w rytm jej nurtu. Magdalena nie po raz pierwszy stała się jedną z głównych ofiar konsekwencji przemysłu narkotykowego i konfliktu wewnętrznego, który w Kolumbii trwa od ponad 60 lat.

Pablo Escobar w latach 80. był głównym problemem władz, ale nie jedynym. W tym samym czasie na terytorium całego kraju obecne były partyzantki, w tym najsłynniejsza guerilla FARC czy wciąż aktywna ELN. Początkowo grupy partyzanckie toczyły walkę z niesprawiedliwością, oligarchią oraz miały w planach walczyć o ziemię dla najuboższych. Partyzanci szybko jednak zdali sobie sprawę, że w propagowaniu idei równości społecznej pomocny im będzie zysk z handlu narkotykami.

...i rzeka krwi

W odpowiedzi na wszechobecny chaos w kraju rząd Kolumbii stworzył oddziały paramilitarne, które miały walczyć i z Escobarem, i z guerrillą. Paramilitarni z grupy Las Autodefensas Unidas de Colombia w błyskawicznym tempie stali się kolejną patologią kraju. W działaniach i sposobach zdobywania finansowania nie wykazali się oryginalnością, a ich ofiarami padali zarówno partyzanci, jak i cywile.

Rzeka Magdalena była świadkiem walk guerrillerii z wojskiem i paramilitarnymi. Zamieniła się w cmentarz. Z jej wód wyławiano ciała ofiar kolumbijskiego konfliktu, które wypływały przy jej ujściu do Morza Karaibskiego.

Rząd liczył, że pewnego dnia i Escobar spłynie jej nurtem. Po tym, jak wraz z grupą najbliższych współpracowników uciekł w 1992 r. z aresztu domowego w swojej posiadłości La Catedral, która bardziej niż więzienie przypominała pałac i wesołe miasteczko w jednym, szukali go wszyscy – DEA (amerykańska agencja rządowa zajmująca się zwalczaniem handlu narkotykami), FBI, wojsko kolumbijskie, a także jego byli współpracownicy.

Pablo Escobar został zastrzelony na dachu jednej z dzielnic Medellín 2 grudnia 1993 r., dzień po swoich 44. urodzinach. Zwierzęta z zoo stworzonego przez narkotykowego bosa pozostawiono na pastwę losu.

Na liście gatunków inwazyjnych

Rzadko zdarzają się sytuacje, kiedy biolodzy i przyrodnicy nawołują do pozbycia się całej populacji gatunku, a władze odmawiają. Tymczasem tak właśnie jest w Kolumbii.

Tutejszymi hipopotamami zajęto się dopiero w XXI wieku, a pierwsze prace naukowe sygnalizujące problem pochodzą z 2007 r. Dwa lata później władze wydały pozwolenie na odstrzał jednego, wyjątkowo agresywnego samca. Pepe został zabity w czerwcu 2009 r. Gdy kraj obiegły zdjęcia martwego hipopotama, ludzie byli tak oburzeni, że ministerstwo środowiska i władze lokalne ugięły się. Hipopotamy zostawiono w spokoju. Stały się atrakcją turystyczną.

Nawet biolodzy, którzy uważają to za błąd, nie chcą do zwierząt strzelać. Problem w tym, iż inne opcje na razie zawodzą. Sztuczne ograniczenie terytorium to syzyfowa praca – mało co jest w stanie zatrzymać rozpędzonego hipopotama. Najbardziej humanitarnym wyjściem byłaby masowa kastracja, ale to zadanie godne Herkulesa. Pierwszą

JUANCHO TORRES / ANADOLU / GETTY IMAGES

Hipopotam z dawnej hodowli Pabla Escobara. Kolumbia, 18 sierpnia 2019 r.

udaną kastrację hipopotama weterynarz Carlos Valderrama wspomina jak scenę z wściekłym tyranozaurem z „Parku Jurajskiego": „Uśpienie takiego kolosa jest prawie niemożliwe. Zwierzę prawie przewróciło dźwig, którego używaliśmy do pomocy. Cała operacja kosztowała 50 tys. dolarów".

Między rokiem 2011 a 2019 udało się wykastrować zaledwie cztery hipopotamy. Jednego w 2018 r. złapano i przekazano do zoo – ta akcja kosztowała 4,5 tys. dolarów. W zeszłym roku władze Kolumbii poddały się i wpisały hipopotama na listę gatunków inwazyjnych.

To na nowo otwiera debatę o odstrzale kłopotliwych pamiątek po narkotykowym bossie. Jak zwykle w takich przypadkach: zawinił człowiek, cierpieć będzie przyroda.

Dekady porażek

Prawie 30 lat po śmierci Escobar nadal wpływa na życie Kolumbijczyków, bardziej niż oni sami by sobie tego życzyli.

– Nasza relacja z Escobarem jest bipolarna – przyznaje politolożka Ana Villalba Castro w rozmowie z „Tygodnikiem". – Są dzielnice w Medellin, które ufundował Escobar, gdzie do dzisiaj uważany jest za bohatera. Escobar zainicjował niestety kulturę przemytu narkotykami. Dla ludzi, którzy nie mają innych opcji, handel narkotykami stał się najłatwiejszym wyjściem. Przez to utrwalił się stereotyp Kolumbijczyka-przemytnika i na tym cierpimy wszyscy.

Praktycznie każda rodzina kolumbijska, zwłaszcza z dużych miast takich jak Cali czy stolica kraju Bogota, ma jakąś historię związaną z Escobarem.

– Mój ojciec miał lecieć do lekarza z Bogoty do Cali, lotem 203 linii lotniczej Avianca, ale zaspał. Kiedy się obudził, dowiedział się, że samolot eksplodował – opowiada 30-letni Carlos Hoyos. W tym słynnym zamachu Escobara na samolot pasażerski w 1989 r. zginęło 110 osób.

Escobar zostawił po sobie traumy i tysiące ofiar. Problem z hipopotamami to jedna z wypadkowych jego działalności, która doskonale pokazuje słabe punkty Kolumbii.

– Wystarczy popatrzeć, ile lat temu umarł Escobar, a my nadal nie jesteśmy w stanie poradzić sobie z hipopotamami, które po sobie zostawił – komentuje Ana Castro.

Kraj od ponad 60 lat pogrążony w wojnie domowej walczy zarówno z handlem narkotykami, jak i z hipopotamami – i prawie zawsze na każdym z tych pól ponosi porażkę.

Popyt dyktuje podaż

Choć nie ma już bossów na miarę Escobara, produkcja kokainy w Kolumbii jeszcze nigdy nie miała się tak dobrze. Według raportu ONZ Kolumbia w 2022 r. zwiększyła uprawy koki, która jest głównym składnikiem kokainy, o 43 procent. To najwyższy wynik od roku 2001, kiedy Biuro ONZ ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC) zaczęło zbierać takie dane.

– Pablo Escobar pokazał, że poprzez handel kokainą nie tylko wyjdziesz z biedy, ale możesz stać się bogaty – przyznaje Ana Castro. W Medellín są tacy, którzy już w samym wizerunku narkotykowego bossa wywęszyli intratny biznes. Koszulki i naklejki z jego podobizną wiszą na straganach obok pamiątek z wizerunkiem Che Guevary i Jezusa.

Mimo że dla większości Kolumbijczyków robienie biznesu, choćby małego, na sprzedaży koszulek z Escobarem budzi moralny niepokój, trudno zaprzeczyć starej zasadzie, że to popyt dyktuje podaż. Do stolicy Antioquii przyjeżdżają tysiące turystów, którzy kupują suweniry z Escobarem na znak, że faktycznie byli w Kolumbii.

W ofercie turystycznej można znaleźć też wycieczki śladem Escobara. Dom, na którego dachu zginął, a także jego Hacienda Nápoles to przykłady miejsc cieszących się zainteresowaniem zwiedzających. Wszystkie one są cieniem dawnego imperium i częścią historii, o której sami Kolumbijczycy woleliby zapomnieć.

Dla budowania wizerunku

Hipopotamy to jedni z niewielu świadków czasów Escobara, do których turyści mają łatwy dostęp. Niedaleko jego dawnej posiadłości, na ulicy África Hotel, znajduje się punkt obserwacyjny, z którego można zobaczyć te zwierzęta. Turyści w większości zapewne nie mają pojęcia, że hipopotamy bardziej są tu utrapieniem.

W marcu kolumbijskie władze pochwaliły się, że pracują nad nowym rozwiązaniem parzystokopytnego kłopotu: uznały, że hipopotamy najlepiej wysłać na eksport. Zgodnie z planem dziesięć zwierząt pojedzie do azylu Ostok w Meksyku, a kolejne 60 zostanie odłowionych i samolotami przetransportowanych do Indii (cały projekt ma kosztować 3,5 mln dolarów).

Przyjąć ma je tam ośrodek rehabilitacji dzikich zwierząt w Jamnagarze w stanie Gudżarat. Politycznie ten region to twierdza premiera Indii Narendry Modiego, który przez lata był gubernatorem Gudżaratu. Modi uwielbia pozować na obrońcę przyrody, odwiedzać rezerwaty tygrysów, a ostatnio nawet ściągnął z Namibii i RPA kilkanaście gepardów i wypuścił je w parku narodowym Kuno. Majestatyczne zwierzęta dobrze budują wizerunek silnego przywódcy.

Może się więc okazać, że „kokainowe hipopotamy" nie tylko przeżyją imperium Escobara, ale jeszcze zrobią międzynarodową karierę dyplomatyczną.

©℗ DOMA MATEJKO, KRZYSZTOF STORY

HISTORIA

JAK PIAST POGROMIŁ SASÓW

Ponad tysiąc lat temu pierwszy historyczny władca Polski pokonał jedną z najsilniejszych armii ówczesnej Europy. Jak mu się udało?

MARIUSZ SAMP

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Dla margrabiego Hodona, władcy jednej ze wschodnich prowincji (marchii) należących do Świętego Cesarstwa Rzymskiego, musiał to być najgorszy dzień w życiu: 1051 lat temu, 24 czerwca 972 r., nie tylko stracił prawie całą swoją armię, ale musiał ratować się haniebną ucieczką, zostawiając na śmierć resztki swojej konnicy. Wojowniczy margrabia łużycki aż do końca życia (a zmarł dopiero 21 lat później) nigdy już nie odważył się zaatakować państwa Polan.

Wśród konnych, którym udało się ujść z rzezi, był także rycerz Zygfryd. Ocalał na szczęście dla wiedzy historycznej potomnych – urodzony trzy lata później jego syn Thietmar, późniejszy biskup Merseburga i autor kroniki tamtych czasów, w oparciu o przekaz ojca wspomniał o tej bitwie rozegranej pod miejscowością, której nazwę zapisał jako Cidini, a którą historycy identyfikują z Cedynią nad Odrą. Zapiski Thietmara na ten temat były lapidarne, tylko kilka zdań – nie było się czym chwalić.

Wytępić pogański żywioł

Cofnijmy się o kilka dekad. Na początku X stulecia tereny między Bałtykiem a Karpatami oraz Odrą a Bugiem zamieszkiwały plemiona zachodniosłowiańskie. W obecnej Wielkopolsce swoje siedziby mieli Polanie, którym przypadł w udziale proces zjednoczenia plemion zamieszkujących obszar dzisiejszej Polski. Przewodził im wojowniczy ród Piastów, który już na początku tego stulecia rozpoczął ekspansję. Gdy około roku 960 rządy przejął Mieszko, jego władza rozciągała się już także poza Wielkopolskę.

W tym czasie rządzący terenami dzisiejszych wschodnich Niemiec Liudolfingowie (niemieccy Sasi) finalizowali podbój Słowian Połabskich. Z ramienia cesarza Ottona I prowadził go osławiony margrabia Marchii Wschodniej Geron. Nie przebierał w środkach w celu „wytępienia żywiołu pogańskiego": w 939 r. zaprosił trzydziestu naczelników słowiańskich na ucztę, podczas której miano prowadzić negocjacje. Gdy goście byli już podpici, a niektórzy zaczęli zasypiać, Geron rozkazał ich wszystkich wyrżnąć.

Zamiast zmusić Słowian Połabskich do posłuchu, czyn Gerona stał się dla nich jeszcze silniejszą motywacją, by stawiać opór Sasom.

Zła passa się odwraca

Początki rządów Mieszka zaczęły się nie najlepiej. W 963 r. doznał klęski z rąk Wieletów – plemion, których siedziby znajdowały się między Odrą a Łabą. Podczas jednej z bitew zabili oni nieznanego z imienia brata księcia. W historiografii sugeruje się, iż na klęsce Mieszka skorzystali Niemcy – wspomniany Geron miał narzucić mu układ zobowiązujący go do płacenia trybutu „aż po rzekę Wartę".

Mając do czynienia z nieprzychylnymi sąsiadami, Wieletami i Sasami, Mieszko postanowił szukać sojusznika, który mógłby stanowić przeciwwagę przynajmniej dla jednego z nich. Wybór padł na Czechy, rządzone przez księcia Bolesława Srogiego z dynastii Przemyślidów. Zbliżenie Gniezna i Pragi sfinalizował pakt wymierzony przeciw Wieletom, dotychczasowym partnerom Przemyślidów w dorzeczu Łaby. Owocem sojuszu było też w 965 r. małżeństwo Mieszka z Dobrawą (Dąbrówką), córką Bolesława. W 966 r. za pośrednictwem czeskim Mieszko ze swym dworem przyjął chrzest.

Przyjmując chrześcijaństwo, Mieszko uwalniał się od groźby, że zostanie do tego namówiony (zmuszony) przez sil-

Mozaika przedstawiająca scenę bitewną, fragment kompleksu pomnika na Górze Czcibora

niejszego niemieckiego sąsiada. Dzięki temu mógł koncentrować się na konsolidacji podległych mu ziem w spójny organizm państwowy i zacząć ekspansję zewnętrzną – w imię tych samych haseł, jakimi posługiwali się władcy niemieccy.

W 967 r. Mieszko, wsparty przez kontyngent kilkuset czeskich wojów, zmierzył się z Wolinianami. Podczas bitwy (w nieznanym dziś miejscu) poganie zostali rozbici, a przyczynił się do tego osobiście książę, wprowadzając w decydującym momencie do walki konnicę, która oskrzydliła wrogów. Zwycięstwo pozwoliło Mieszkowi na rozpoczęcie ekspansji na Pomorze Zachodnie. Jak ona przebiegała, tego z braku źródeł nie wiemy.

Pojawia się groźny Hodon

Po śmierci Gerona (965 r.) część jego marchii przypadła margrabiemu Hodonowi, którego władza obejmowała tereny zamieszkałe przez plemiona Niżyców, Żytyców, Serbiszczów, Czerwiszczan i Łużyczan.

Dlaczego w 972 r. Hodon postanowił wyprawić się przeciw Piastom? Kroniki nie dają na to odpowiedzi. Najbardziej prawdopodobna hipoteza brzmiała, że margrabia łużycki zaatakował Mieszka, gdyż chciał jego kosztem poszerzyć granice cesarstwa o nowe ziemie. Dziś większość historyków sądzi natomiast, iż Liudolfingom nie była w smak północna polityka Mieszka, któremu udało się opanować Pomorze Zachodnie. Zagrażało to interesom Sasów, którzy dostrzegli w Piastach konkurentów w ekspansji na ziemie zaodrzańskich Słowian.

Niewykluczone również, iż o interwencję zbrojną poprosili Hodona Wolinianie, najpotężniejsze z ówczesnych plemion pomorskich, pragnący uniezależnić się od Polan. W źródłach nie zachował się jednak żaden ślad o jakiejś pomorsko-niemieckiej umowie.

Obrona manewrowa

Opis przebiegu wyprawy Hodona i finalnej bitwy można znaleźć we wspomnianej kronice Thietmara (975-1018). Jego ojciec Zygfryd z Walbecku stał na czele – jak przypuszczają historycy – jednego z hufców saskich.

Bitwa pod Cedynią zakończyła się klęską Sasów. Historycy od dawna zastanawiali się, jak Mieszko tego dokonał, skoro ustępował im w wielu obszarach. Jego wojsko było gorzej uzbrojone – nawet jeśli mogło być liczne. Według żydowskiego kupca Ibrahima ibn Jakuba, który bawił w krajach słowiańskich w latach 60. X stulecia, książę polański dysponował drużyną liczącą 3 tys. zbrojnych. Jednak Sasi podczas wojen toczonych ze Słowianami byli w stanie wystawić nawet kilka razy liczniejszą armię, składającą się z ciężkozbrojnego rycerstwa, zdolnego zniszczyć siłę żywą przeciwnika zdecydowanym frontalnym uderzeniem. W każdym razie – kroniki milczą, ile wojsk udało się zgromadzić Hodonowi i Mieszkowi.

Jak udało się Mieszkowi zwyciężyć? Przypuszczalnie dzięki taktyce, którą nazywa się dziś obroną manewrową. Można też mówić o fortelu – św. Brunon z Kwerfurtu w jednym ze swych tekstów wspomina, iż Mieszko zwyciężył Hodona „sztuką".

Piastowski książę oczekiwał zatem na Sasów w rejonie przyszłego starcia i miał przygotowany plan (mógł on nawiązywać do koncepcji wypracowanej przed laty w trakcie walk z banitą saskim Wichmanem, zakładającej wciągnięcie wroga w zasadzkę). Wcześniej informacje o najeździe Hodona mogli dostarczyć Mieszkowi jego szpiedzy – inaczej książę nie zdążyłby raczej dotrzeć pod Cedynię z Poznania czy Gniezna, uważanych za stolice ↦

↦ jego państwa (w średniowiecznym rozumieniu tego słowa), już z chwilą pojawienia się tam Sasów.

Pogrom Hodona

Oczekując wroga, Piast podzielił swoje wojsko na kilka zgrupowań. Jedno z nich pod dowództwem księcia miało oczekiwać na Hodona przy przeprawie przez Odrę w okolicach obecnego Osinowa Dolnego. Z kolei oddział, nad którym dowództwo Mieszko miał powierzyć swojemu bratu Czciborowi, stanął za wzgórzami od strony południowo-wschodniej na trakcie wiodącym w kierunku grodu Cedynia. Pierwszy oddział miał stopniowo wycofywać się w stronę grodu, oddalonego o kilka kilometrów od Odry, by wciągnąć Niemców w zasadzkę – aby zgrupowanie Czcibora uderzyło na nich w dogodnym momencie z boku i tyłu. I tak też się stało.

Armia Hodona znalazła się w pobliżu Cedyni 24 czerwca 972 r. Najwidoczniej bez większych przeszkód sforsowała Odrę, skoro nazwy tej rzeki w swoim opisie nie uwzględnił w ogóle Thietmar.

Gdy wojskom saskim drogę zagrodził Mieszko, zaczęła się batalia, która miała składać się z dwóch etapów. Kontakt z rycerstwem niemieckim nawiązał najpierw oddział Mieszka, który po krótkiej walce zaczął ustępować. Niemcy ruszyli w pogoń, gdy nagle z okolicznych wzniesień runął na nich grad strzał, po czym do ataku przystąpiła ciężkozbrojna jazda Czcibora. Dodatkowo zwrot zaczepny wykonał Mieszko, dotąd oddający pola. Historycy przypuszczają, iż do walki włączyła się także załoga cedyńskiego grodu.

Gdy armia piastowska otoczyła wojsko Hodona, losy bitwy diametralnie się odwróciły i na koniec łużycki margrabia utracił niemal całą swoją armię. Jakimś cudem udało mu się wraz z Zygfrydem i garstką towarzyszy uratować z pogromu.

W pierwszym odnotowanym przez źródła pisane starciu oręża piastowskiego (polskiego) z saskim (niemieckim) górą byli Słowianie. Mieszko dowiódł, że zasługuje na miano przywódcy budowanego przez siebie państwa.

Mit założycielski

Bitwa pod Cedynią miała istotne znaczenie dla dalszych stosunków Mieszka z cesarstwem niemieckim.

Na wiadomość o klęsce Hodona cesarz Otton I wezwał szybko obie strony do zaprzestania działań wojennych. W 973 r. na zjeździe w Kwedlinburgu Otton orzekł, iż winnym wybuchu wojny był Mieszko – choć to Hodon zaatakował piastowskiego księcia. Zażądał też od piastowskiego władcy, aby swojego syna (najprawdopodobniej młodego Bolesława, później nazwanego Chrobrym) oddał na dwór cesarski w roli zakładnika – miał on być gwarancją pokoju między cesarstwem a Mieszkiem.

Ponieważ w razie odmowy Piastowi groziła kolejna wyprawa niemiecka – tym razem bez wątpienia liczniejsza i z udziałem samego cesarza – Mieszko ustąpił (z czasem zakładnik wrócił zresztą do Gniezna). Od tego ustępstwa istotniejsze było, że granica państwa na długi czas ustabilizowała się na Odrze. Bolesław, następca Mieszka, miał ją zresztą wielokrotnie przekraczać, czasowo podbijając nawet Łużyce.

Z czasem Cedynia miała stać się także swego rodzaju mitem założycielskim – obok chrztu Mieszka – dla młodego państwa piastowskiego, już polskiego.

© MARIUSZ SAMP

Autor jest historykiem i pisarzem. Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, autor kilkunastu książek popularyzujących historię, w tym „Bitwa pod Cedynią. Wielkie zwycięstwo Mieszka I" (Warszawa 2022).

Średniowieczny publicysta

NIEWIELE wiedzielibyśmy o Polsce Mieszka I i Bolesława Chrobrego, gdyby nie kronika autorstwa biskupa Merseburga Thietmara. Urodził się w 975 r. w rodzinie rycerskiej. Jak wspominał, był małego wzrostu, miał skrzywioną szczękę i złamany w dzieciństwie nos, w dodatku na jego lewym policzku stale odnawiał się ropiejący wrzód. Kiedy skończył 12 lat, ojciec odprowadził go do bram klasztoru św. Jana na Górze w Magdeburgu. Thietmar studiował Pismo Święte – które potrafił potem cytować z pamięci – pisma Ojców Kościoła i starożytnych klasyków. W tym czasie znalazł się też w śmiertelnym niebezpieczeństwie: jego wuj został pojmany przez korsarzy i rodzina zdecydowała się oddać Thietmara jako zakładnika do czasu wypłacenia okupu. Na szczęście wuj zdołał uciec prześladowcom, zanim młodzieniec dotarł na miejsce.

W 1004 r. Thietmar przyjął święcenia kapłańskie, a pięć lat później został biskupem Merseburga. Jako biskup ważnej stolicy miał częsty kontakt z dworem króla niemieckiego i uczestniczył w jego wy-

CC-BY-SA-4.0

Kronika Thietmara

prawach. Kronikę zaczął pisać w 1012 r., pragnąc „odtworzyć historię Merseburga, niegdyś szeroko znaną, dziś zaś w pyle zapomnienia pogrążoną". Liczba zgromadzonych źródeł szybko rozsadziła pierwotne zamierzenia i Thietmar opisał „żywot i czyny przezacnych królów saskiego rodu" od 908 r. Pisał aż do śmierci w 1018 r. Był zwolennikiem jedności Niemiec, których władcy zmagali się z dzielnicowymi ambicjami wielkich feudałów. Sprzeciwiał się planom Ottona III budowy uniwersalnego cesarstwa – wizytę cesarza w Gnieźnie i wywyższenie Chrobrego w 1000 r. opisuje tonem przygany. Władcę Polski postrzegał jako zagrożenie dla ekspansji Niemiec na ziemie słowiańskie, nazywał jadowitym wężem i ryczącym lwem, choć w tych tyradach nie udało mu się ukryć pewnego podziwu. Jego kronika – której oryginał przetrwał, poważnie uszkodzony, alianckie bombardowanie Drezna w 1945 r. – jest jednym z najważniejszych źródeł do dziejów Niemiec i Polski przełomu X i XI wieku. Po 1018 r. polscy badacze – jak to ujął prof. Jerzy Strzelczyk – poruszają się we mgle.

©℗ MACIEJ MÜLLER

REKLAMA

MATTEO BOCELLI

A Night With Matteo
WORLD TOUR

11.10.2023
ICE KRAKÓW

14.10.2023
COS TORWAR, WARSZAWA

16.10.2023
HALA STULECIA, WROCŁAW

BILETY: BILETSERWIS.PL

WWW.MATTEOBOCELLI.IT

Prestige MJM · BILET SERWIS · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · PANI · TwojSTYL · onet · proart · VIXON

REKLAMA

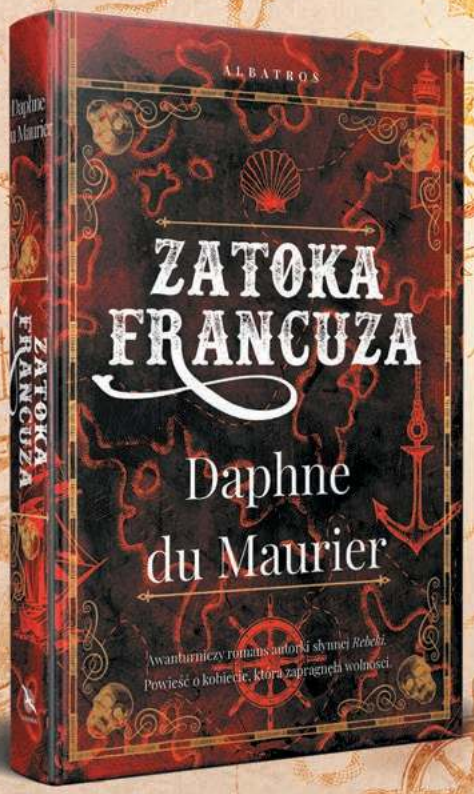

Pełna suspensu i intryg
powieść historyczna o kobiecie,
która na przekór
swoim czasom zapragnęła
wolności
i prawdziwego uczucia.

SERIA butikowa

empik salony / online / aplikacja

WYDAWNICTWO ALBATROS

Z ODDECHEM

JAK ODBUDOWAĆ TAMĘ

DANIEL PETRYCZKIEWICZ:

Lata pracy w korporacjach nauczyły mnie, jak z nimi wojować w obronie przyrody.

ADAM ROBIŃSKI: Co mówi Twoja nastoletnia córka, kiedy tata idzie na marsz dla Odry?

DANIEL PETRYCZKIEWICZ: Dziwnie na mnie patrzy. O rany, stary idzie na protest. Ale jak już wrócę, to zwykle wspomina, że jest dumna. Wtedy odparowuję, że powinna być tam ze mną. Ale to wcale nie jest takie oczywiste.

Dlaczego?

Bo mam poczucie, że dzieciaki mają dziś wystarczająco dużo spraw, z którymi się mierzą. Nasza córka okaleczała się, korzystała z pomocy psychoterapeuty. I nie jest pod tym względem wyjątkiem. To są powszechne problemy, szczególnie wśród dziewczyn. W jakimś stopniu to pewnie kwestia mody, tzw. „wyzwań" TikToka i innych głupot, ale u podstaw takich zachowań leżą autentyczne problemy. Pomyśl o presji, z jaką młodzież musi się mierzyć. Ich świat jest naprawdę porąbany. Ciągłe porównywanie się z innymi, zabieganie o względy, zawiść, nienawiść – wszystko potęgowane na social mediach czy grupach dyskusyjnych, wszystko live, na żywo, na oczach tłumu rówieśników. Do tego brak perspektyw: czy kiedykolwiek wyprowadzę się od rodziców, co z pracą? A my im dorzucamy jeszcze katastrofę klimatyczną. Hej, czemu nie walczycie o przyszłość planety?

My zepsuliśmy, wy naprawiajcie.

Dlatego wcale się nie zdziwiłem, kiedy w ostatnim raporcie „Ziemianie atakują" przeczytałem, że dzieciaki do 18. roku życia wypadają najgorzej w kwestii świadomości katastrofy klimatycznej. Eksperci byli w szoku. No co wy? Przecież młodzież ma naprawdę wystarczająco dużo na głowie. Nie potrafi się odnaleźć w tym świecie, a wy oczekujecie nie wiadomo jak wzniosłych deklaracji i zachowań. Byłem jako fotograf na wszystkich Młodzieżowych Strajkach Klimatycznych. Ze strajku na strajk było coraz smutniej. Przychodziło coraz mniej osób. Z tego samego raportu wynika, że to nasze pokolenie, moje i twoje, dzisiejsi czterdziestolatkowie, mamy najwięcej obaw w związku z klimatem. I te swoje obawy ładujemy do plecaków naszych dzieci.

Jakim byłeś nastolatkiem? Buntowałeś się?

No pewnie. Miałem włosy do połowy pleców, grałem na gitarze w heavymetalowym zespole Catharsis. On wciąż istnieje, choć już beze mnie. Występowaliśmy w Jarocinie, nagraliśmy dwie taśmy. Mieszkałem w Tychach, po kasety trzeba było się wyprawiać do Katowic, bo tam był dobry sklep, chyba na Stawowej. Jeździliśmy z duszą na ramieniu, bo skinheadzi polowali na takich łachmaniarzy jak my. Można było dostać w ryj. Pamiętam koncert, który graliśmy w Skawinie. Uciekaliśmy z niego przez piwnicę, bo do klubu wpadli skini.

Dostałeś łomot?

Na szczęście nigdy jakoś porządnie. Rodzice długo nie pozwalali mi jeździć na koncerty, ale jak już zacząłem, to nie mogłem przestać. Na wspomnienie Metalliki na Stadionie Śląskim do dziś mam ciary. Fala dźwięku i ten tłum. Stanie na scenie to też były niezapomniane emocje. Zawsze miałem parcie na szkło. Ono mi zostało.

Daniel Petryczkiewicz, kiedyś muzyk heavymetalowy, dziś aktywista przyrodniczy. A pomiędzy?

Robiłem karierę w korporacjach. U startu kariery miałem refleksję, że nie chcę pracować w biznesie, który zajmuje się rzeczami szkodliwymi albo głupotami, słodyczami, czipsami czy tytoniem. Nie byłem żadnym aktywistą, ale nie dawałem sobie na to zgody. Wszedłem w branżę związaną ze zdrowiem. To był klasyczny wyścig szczurów, wspinanie się po drabinie stanowisk, podwyżki i awanse. Byłem aktywny, miałem mnóstwo sukcesów, parcie na szkło robiło swoje.

Nie wychodziłeś z pracy?

Stanowisko dyrektorskie, jedna firma, druga, trzecia. Pracoholizm na całego. Tak wsiąkłem w robotę, że nawet nie zauważyłem, jak mi się rodzina zaczęła sypać. A potem z dnia na dzień straciłem pracę i zostałem bez samochodu, komputera, telefonu, bo wszystko miałem oczywiście służbowe. Obiecałem sobie: nigdy więcej. Wciąż jestem w tej branży, ale już na swoich zasadach. Prowadzę własną działalność, pracuję dla ważnego gracza na rynku. To ciągle jest poważny biznes, ale zupełnie inna kultura pracy. Pani prezes jest zapaloną żeglarką, ludzie mają swoje pasje, realizują się również poza pracą. Zresztą kiedy nawiązywaliśmy współpracę, oświadczyłem, że nie chcę awansować. Nie planuję nikogo wygryzać, chcę po prostu robić swoje i być nagradzany adekwatnie do swojego wkładu.

Twoją sytuację trzeba nazwać uprzywilejowaną. Mieszkanie w Konstancinie, stabilna sytuacja finansowa, dzieci powoli wychodzą z domu. Ktoś mógłby powiedzieć, że teraz powinieneś sobie kupić sportowe auto. Albo znaleźć hobby na drugą połowę życia.

Mam ten problem, że strasznie szybko się angażuję. Moja żona się śmieje, że jestem dobrym materiałem na fanatyka religijnego. Kiedy się ustatkowałem finansowo, mocno wszedłem w sport. Wspinaczka, wakeboarding, woda, deska, góry. Na maksa. I do tego fotografia. Robiłem zdjęcia podczas zawodów, sesje komercyjne, influencerzy. Ale potem przyszła refleksja, że ile można? Po co robić wciąż takie same zdjęcia? Poszedłem na warsztaty do Tomka Drzewińskiego, którego bardzo cenię. Powtarzał, że na zdjęciach widać przede wszystkim ich autora. „To jakiego Daniela chciałbyś widzieć na swoich zdjęciach, Daniel?". Zaswędziało, bo te moje fotografie były właściwie o niczym.

Czyli że Ty jesteś o niczym.

I teraz się będziesz śmiał, bo kolejnym impulsem były zakupy. Wracam któregoś dnia do domu obładowany siatkami, rozpakowuję je i nagle się orientuję, że mam dwie kupki: na jednej jest jedzenie, na drugiej jednorazowe opakowania. Plastik. Stąd się wziął projekt „No Beauty in Plastic". Można go nazwać pierwszym przejawem aktywizmu. Fotografowałem ludzi zawiniętych w folię: akrobatów, tancerki, pływaków, baletnice. Po którymś pokazie przyszły do mnie licealistki z liceum Cervantesa w Warszawie. Pytały, co mogą zrobić, żeby z tym plastikiem walczyć. Zrobiłem wielkie oczy, bo skąd mam wiedzieć. Ale potem wymyśliłem, że zaproszę je do sesji. Zrobimy zakupy, a potem ubierzemy je w opakowania po warzywach i zorganizujemy happening przed supermarketami. To było w Dzień ↦

DANIEL PETRYCZKIEWICZ (ur. 1976) jest aktywistą przyrodniczym i fotografem. Ambasador rzeki Małej w powiecie piaseczyńskim, bobrowniczy Stowarzyszenia Nasz Bóbr.

JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ Kobiet 2020. Przyszło trochę ludzi, dobrze się to klikało w internecie, udzieliłem paru wywiadów. Byłem naładowany energią do działania.

Czekam, kiedy zaczniesz opowiadać o Małej. Ale chyba jeszcze nad nią nie doszliśmy.

Zaraz dojdziemy. W tamtym czasie Filip Springer i Julia Fiedorczuk organizowali Szkołę Ekopoetyki. Chcieli szukać razem ze słuchaczkami i słuchaczami nowych sposobów mówienia o kryzysie klimatycznym. Przyjęli mnie. Na pierwsze zjazdy jeździłem przekonany o słuszności tego, co robię, bo przecież miałem na koncie wystawę o plastiku. Tymczasem oni gadali o poezji, o języku, kazali czytać mądre książki. Potem przyszedł moment utemperowania. Zrozumiałem, że mam dużo do nadrobienia. Że ten mój plastik to pikuś, niewielki element ogromnego problemu. Że walka z samym tylko plastikiem na niewiele się zda. Dzięki szkole poznałem też masę wspaniałych ludzi. Ekspertów, którzy z różnych stron przyglądają się tematyce antropocenu i klimatu.

No, to teraz już możemy o Małej.

Nazwa adekwatna do wielkości. Dopływ Jeziorki, kilkanaście kilometrów długości. Dużo bobrów, mokradła.

Od początku pandemii zaczęliśmy się z Agnieszką, moją żoną, szwendać po okolicznych lasach. W końcu trafiliśmy nad Małą. To chyba Szkoła Ekopoetyki sprawiła, że nabrałem już pewnej wrażliwości. Zacząłem z uwagą przyglądać się rzece. I nazywać to, co widzę. Mała jako mikroświat zamieszkany przez różne istoty. Elementy krajobrazu pisane wielką literą. Rozlewisko. Stara Wierzba. Dąb Czatowania. Wciąż niewiele jednak rozumiałem, co się tam dzieje. Ale bardzo przywiązałem się do tego miejsca. Kiedy w listopadzie nad rzekę przyjechała koparka Wód Polskich i ją przeorała, po prostu płakałem.

Pisaliśmy o tym w „Tygodniku". Zniszczono tamy bobrowe, wycięto drzewa. Na pewnym odcinku Mała zamieniła się w kanał, a jej brzegi – w plac budowy pełen kolein. Wszystko w ramach tzw. prac utrzymaniowych.

Znowu sobie wtedy powiedziałem: to się nie może powtórzyć. Znałem już ludzi, wiedziałem, gdzie zadzwonić. Wiktor Kotowski z Centrum Ochrony Mokradeł, jeden z ważniejszych głosów w świecie nauk przyrodniczych, nie dość, że mnie przyjął, to jeszcze powiedział: „Masz rację, że się buntujesz. To głupota. Zbierz paru kumpli, idźcie nad rzekę i wszystko to, co wywaliła koparka, wrzućcie z powrotem do rzeki. Żeby choć odrobinę spowolnić spływ wody". A ja już wcześniej myślałem, żeby te tamy bobrowe po prostu odbudować.

Tylko jak? Tego nie uczyli w szkole.

Zbudowałem pierwszą tamę i od razu spłynęła. Jak te bobry to robią? Nie dawało mi to spokoju. Kombinowałem, że użyję worków z piaskiem. Albo dywanu, który z koryta wyciągnęła koparka Wód Polskich, a potem zostawiła go na brzegu. Serio, chciałem tamować rzekę dywanem. Ale nie, bobry nie budują tam z dywanów, muszę myśleć tak jak one. Któregoś razu podczas jogi wymyśliłem, że wbiję w dno dwa rzędy palików, pomiędzy nie wrzucę większe gałęzie, i wszystko przysypię piachem i obłożę trawą. Zadziałało. Ta tama do dziś trzyma rozlewisko, choć z czasem przejęły ją oczywiście bobry, które nad Małą wróciły, poprawiły i jeszcze dorobiły kaskadę. Pamiętam ten moment, gdy suche rozlewisko zaczęło się wypełniać wodą. Ona wręcz bulgotała. Jak u Tolkiena, kiedy wody Iseny wlewają się do ruin Orthanku.

Relacjonowałeś to wszystko w mediach społecznościowych. Chodziło o danie przykładu: zobaczcie, nawet jedna osoba może coś zdziałać?

Mówiłem już o moim parciu na szkło i że przez pracoholizm prawie rozpadła mi się rodzina. Po drodze zadaliśmy sobie tyle ran, że potrzebowaliśmy pomocy, by się zagoiły. Poszedłem na terapię, jestem w niej już osiem lat. Ale z perspektywy czasu wiem, że nawet w terapii długo realizowałem opowieść o sobie samym. Moment, w którym zaczęła się uczciwa praca z terapeutką, zbiegł się w czasie z tym, o czym mówimy: ze Szkołą Ekopoetyki, z Małą, z aktywizmem.

Wracając do twojego pytania: na początku chyba po prostu chciałem się pochwalić. Ja i moja sprawczość. Potem zrozumiałem, że to jest właśnie to, czego się uczę: mój sposób na snucie narracji o kryzysie klimatycznym. Przez sport zawsze czułem się związany z wodą, więc jako aktywista będę opowiadał o wodzie. Woda to życie, my ją bierzemy za pewnik, tymczasem w ostatnim raporcie GUS na temat ochrony środowiska jest napisane, że tylko 1 proc. polskich jezior jest w dobrym stanie przyrodniczym. I tylko pół procenta rzek. Ot, informacja wrzucona w tabelkę, z którą państwo nic nie zrobi.

Trzy lata później jesteś wymieniany jednym tchem z dużymi organizacjami z branży: Dziedzictwo Przyrodnicze, Greenpeace, Koalicja Ratujmy Rzeki, Daniel Petryczkiewicz.

Nie po to uciekłem z korporacji, żeby teraz się pod kogoś podpinać. Robię rzeczy, pod którymi mogę się podpisać swoim nazwiskiem. Jeśli coś ma po mnie zostać, to właśnie te działania. Moi nauczyciele fotografii mówili, że nie ma co chować się za pseudonimami. Jednocześnie coraz częściej rozumiem, że działania jednostkowe lepiej robić we wspólnocie. I ja czuję, że nie jestem sam. Działam w społeczności.

Jako jeden z liderów.

Po burzy mózgów zwykle pada pytanie: wiemy, co trzeba zrobić, tylko kto to zrobi? Jestem tym frajerem, który zwykle się zgłasza. Znowu przywołam Tolkiena. Elfy, krasnoludy i ludzie debatują, kto zaniesie pierścień do Mordoru i wtedy zgłasza się Frodo. Marsz dla Odry wymyśliliśmy wspólnie, dużą grupą, ale trzeba było znaleźć osobę, która go zgłosi miastu i policji. Nigdy tego nie robiłem. Bałem się, bo to ogromna odpowiedzialność. A co, jeśli komuś się coś stanie? Zaatakują nas narodowcy? Wyszło świetnie: miałem wsparcie ludzi, policja też była pomocna. Jestem nieźle zorganizowany, korpo nauczyło mnie myślenia projektowego. To się przydaje.

Rozpoznawalność chyba też.

Tylko że jak ktoś alarmuje „Daniel, jest sprawa, pomóż", to niemal zawsze odpisuję, że najważniejsze jest lokalne działanie. Żaden Petryczkiewicz nie pomoże, jeśli na miejscu nie znajdzie się ktoś, kto zajmie się tym problemem. Ja mogę być skuteczny tu, w powiecie piaseczyńskim, w Konstancinie, ale nie po drugiej stronie Warszawy.

Przykład na skuteczność: w lesie na Wydmach Czarnowskich, to Twój rewir, nagle pojawia się concertina, zasieki. Strach myśleć, co będzie,

DANIEL PETRYCZKIEWICZ / ARCHIWUM PRYWATNE

Fotografia z cyklu „No Beauty in Plastic". Czerwiec 2019 r.

jak wjedzie w nie jakiś rowerzysta, nie mówiąc o zwierzętach.

Dostałem cynk, że coś się dzieje, od dziewczyny, która tam mieszka. Poprosiłem, żeby zrobiła więcej zdjęć, żeby poszukała jakiegoś ochroniarza, zgłosiła to na policję. Trochę nią sterowałem, przekazywałem własne doświadczenie. Okazało się, że to scenografia do filmu Agnieszki Holland o wydarzeniach na polsko-białoruskiej granicy. Rozwinęli tę concertinę i zostawili na noc, z jednym tylko ochroniarzem. Kiedy już było wiadomo, co jest grane, szybko udało się dotrzeć do kogoś zaangażowanego w produkcję. Spalili się ze wstydu, w parę godzin pojawiła się dodatkowa ochrona i oświetlenie, żeby na tych zasiekach nie ginęły zwierzęta.

Opowiedz o mechanizmie nagrody. Co Ty z tego masz emocjonalnie? Kilka tygodni temu dostałeś „Stołek", nagrodę „Gazety Wyborczej", ale to chyba nie dla takich nagród robi się aktywizm.

Co jest nagrodą? Radość, że nad Małą sfotografowałem bekasa. Tyle razy słyszałem go nad Biebrzą, a zdjęcie udało się zrobić dopiero tu, po sąsiedzku. Albo kiedy zobaczę zakwit jaskrów wodnych. Albo jak na fotopułapkę nagrają się łosie. Żona mówi, że jestem strasznie nabuzowany, „pomarańczowo" głośny. Najbardziej lubię momenty, gdy mnie przyroda tak wycisza, że w ogóle nie świecę.

Jednocześnie spotykasz się z wrogością, której obywatel niezaangażowany nie zna. To problem każdego aktywisty.

Nauczyłem się nie włączać w internetowe dyskusje. Początkowo hejt mnie spalał. Nie umiałem nie odpisać, nakręcałem się. Teraz wiem, że internet nie jest polem rozwiązywania konfliktów czy prowadzenia merytorycznej dyskusji. Wymieniając komentarze, nikogo nie przekonam. Szkoda tracić czas. Lepiej spędzić go na merytorycznej robocie. Zrobić dokumentację rezerwatu albo po prostu posiedzieć nad rzeką.

A przemoc w świecie rzeczywistym?

Nagrał mi się na fotopułapkę człowiek, który niszczył tamę bobrową. Udało mi się go zidentyfikować. Poszedłem do niego zapytać, czy ma zgodę Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, bo jeśli nie, to jest to nielegalne. Zwyzywał mnie od ekoterrorystów. Najpierw chciałem eskalować konflikt, ale potem schowałem ego do kieszeni, kupiłem flaszkę i poszedłem do niego jeszcze raz, pokojowo pogadać. Znowu mnie pogonił. Spotkaliśmy się kilka miesięcy później w terenie. Zaczął mi mówić, że chodzę z psem po jego lesie, że jestem kłusownikiem, że ma kolegów myśliwych i oni mi zastrzelą psa, a jak trzeba będzie, to i ze mną zrobią porządek. Pomieszanie z poplątaniem, ale tego było za wiele. Poszedłem na policję, złożyłem zeznania. Co prawda prokuratura w Piasecznie nie wszczęła postępowania, ale zdarzenie jest w papierach. Miałem też parę pogróżek, po których trochę uważniej oglądałem się za siebie. I było mi cholernie smutno, że miejsce, które do tej pory było moją oazą, nagle staje się zarzewiem niepokoju. Że coś mi się tam może stać.

Chciałem zapytać, jak sobie z tym radzisz, ale skoro wspomniałeś o terapii, to zakładam, że to powracający temat.

Oczywiście nie rozmawiam z terapeutką o ekologii, ale o mechanizmach, które we mnie zachodzą. I dużo mówię o byciu nad rzeką, bo mam poczucie, że ona jest elementem procesu terapeutycznego. Czuję, że jakoś mi to pomaga. Ale zmagałem się też z sytuacjami, gdy szedłem do lasu po ulgę, a jej nie dostawałem. Chciałem z wściekłości walić kijem po drzewach.

Tylko że ten las nie jest po to, żeby mi dawać ulgę. Co to w ogóle za postawa: iść do lasu, żeby coś od niego dostać. Sam sobie muszę dać tę ulgę. Inaczej się nie da.

Pomoc psychologiczna dla osób zaangażowanych w aktywizm to coraz poważniejszy problem. Obrońcy Puszczy Białowieskiej wyszli z tej walki pokiereszowani fizycznie i psychicznie.

Do tego dochodzi problem depresji klimatycznej. Na szczęście temat zaczyna być zauważany. Są miejsca, gdzie można się zwrócić po pomoc. Oczywiście organizowane oddolnie, bo gdyby pójść do ministra z hasłem, że potrzebne jest wsparcie psychologiczne dla aktywistek i aktywistów, zostałoby się wyśmianym.

Masz poczucie funkcjonowania w systemie ochronnym organizowanym przez państwo?

W kwestii ochrony przyrody państwo abdykowało. Co najmniej 10 lat temu. A może i wcześniej. Zastanawiam się, czy gdy na początku wieku powoływaliśmy obszary Natura 2000, to była to urzędnicza dojrzałość, czy tylko zaspokajanie systemu europejskiego. Organizacje pozarządowe zamiast współpracować z instytucjami, muszą z nimi walczyć. Wody Polskie zajmują się wydawaniem zezwoleń na zrzucanie ścieków do rzek. Regionalne dyrekcje ochrony środowiska co rusz pozwalają na odstępstwa od zakazów zabijania gatunków chronionych. Ministerstwo Środowiska i Klimatu nie ma ochrony nawet w nazwie. A to, że ja, obywatel, muszę się zajmować sprzątaniem śmieci, które inni obywatele wyrzucają do lasu, uwłacza godności nas wszystkich. Społeczne akcje sprzątania świata to patologia, której nie znoszę. ↦

Ale bierzesz w nich udział.

Rzadko. Jak mnie poproszą harcerze, to się zgadzam, bo odmowa mogłaby negatywnie wpłynąć na ich morale. Ale gdy zgłasza się organizacja i chce, żebym został twarzą akcji sprzątania śmieci, to się buntuję. Dlaczego znowu mamy wyręczać w czymś państwo? Czasami sobie fantazjuję: co by było, gdyby prawo własności ziemi przyznawać na podstawie tego, jak ktoś o nią dba? Jak by wtedy wyglądała struktura własności tu, za ulicą, na łąkach między Konstancinem a warszawskimi Kabatami? Mam tam zlokalizowane 20 gór śmieci. Głównie budowlanych. Każdą z nich kilka razy zgłosiłem do Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska. WIOŚ od takich zgłoszeń umywa ręce, przekazuje je gminie. Gmina dzwoni do mnie i mówi, że ja to mam na mapie, ale strażnicy nie mogą tych śmieci znaleźć. Dzwoni nawet komendant. „Panie Danielu, dziękuję za obywatelską postawę, no ale nie ma". „Dobrze, panie komendancie, niech mi pan da dwoje ludzi, zaprowadzę". Poświęciłem na to parę godzin, pokazałem palcem w terenie. Z tych 20 gór śmieci zostało jeszcze 17. Pierwsze mandaty się posypały.

Nie da się tak w nieskończoność.

Oczywiście, że nie. Ale nie można też przechodzić obok tego całkiem obojętnie. Trzeba znaleźć jakiś sposób działania. Zauważyłem, że jak publikuję na swoim profilu same negatywne informacje, to momentalnie spada zainteresowanie. Prosty eksperyment: napisz coś o zmianie klimatu, a zamiast do 20 tysięcy odbiorców, ten wpis trafi do stu. Algorytmy mediów społecznościowych tną zasięgi. Klimat jest dla nich nudny. Tymczasem jeśli chcę być skuteczny, móc liczyć na pomoc, gdy będzie potrzebna, muszę te zasięgi mieć. Próbuję więc ten algorytm przechytrzyć. To taki mój koń trojański – wrzucam do internetu ładny obrazek, sielankowe zdjęcie, i dorabiam do niego tekst, który trywialny nie jest. Chcę sprawić, że opakowany w atrakcyjną formę ważny wpis stanie się dla algorytmów zjadliwy. Chcesz przykład? Przyrodnik Adam Zbyryt opowiedział mi ostatnio, że gawrony to ginący gatunek. Ja na to: co ty gadasz, przecież w mieście jest ich pełno.

W mieście. Ale ich naturalne siedliska znikają.

Woda to życie. Bierzemy ją za pewnik, tymczasem tylko procent polskich jezior jest w dobrym stanie przyrodniczym. I tylko pół procenta rzek. Ot, informacja wrzucona w tabelkę, z którą państwo nic nie zrobi.

I to jest informacja, która z punktu widzenia algorytmów będzie interesująca. Niby błaha ciekawostka, a jednak ważna z punktu widzenia opowieści o antropocenie. Da się to ładnie ubrać i puścić w świat. Oszukać system.

Coraz rzadziej piszesz znad Małej, za to częściej zajmujesz się sprawami ogólnopolskimi. Czy to jest opowieść o czterdziestoparolatku, który przez aktywizm wszedł do polityki? Żeby nie musieć systemu oszukiwać, tylko go zmieniać?

Nie wiem. Dużo o tym myślę. Kiedy idziesz na radę gminy Konstancin, która ma się zajmować tym, czy na mokrych Łąkach Oborskich w otulinie rezerwatu inwestor będzie mógł wybudować pole golfowe, co osuszy i łąki, i rezerwat, i zaczynasz opowiadać o kryzysie wodnym, to 90 proc. ludzi patrzy na ciebie jak na kosmitę. Nie wiedzą, o co ci chodzi. Katastrofa klimatyczna znajduje się poza obszarem ich zainteresowań, jakby ich nie dotyczyła. Myślę sobie wtedy, że nic się nie zmieni, dopóki my, ludzie zaangażowani w ochronę przyrody, w tej radzie nie zasiądziemy. I wtedy odzywa się mój wewnętrzny Frodo: „Ja pójdę".

Czyli pora wyjść z opozycji?

Bycie wiecznym partyzantem jest oczywiście romantycznie atrakcyjne. Ale czy skuteczne? Tylko że jest jeszcze druga strona medalu, i o niej też często rozmawiam z terapeutką. Chodzi o koszty. Jaką cenę jestem gotów zapłacić. Nie wiem.

Przyszedłem pytać o aktywizm uprzywilejowanego 40-latka, ale dochodzę do wniosku, że nie chodzi o kapitał ekonomiczny, tylko o doświadczenie.

Można powiedzieć, że jestem wdzięczny latom spędzonym w korporacjach, bo nauczyły mnie, jak z nimi wojować. Znaj wroga swego. Podczas posiedzenia komisji w sprawie Łąk Oborskich upierałem się na zrobienie prezentacji w Powerpoincie. Wiedziałem, że inwestor będzie taką miał, więc jeśli chcemy go powstrzymać, musimy mieć swoją. Atrakcyjną, profesjonalną, z wykresami, tabelkami, faktami. Inaczej przegramy. Gdy dawno temu szkolono mnie na sprzedawcę, pierwszą rzeczą, jaką usłyszałem, było to, że gdyby liczyły się fakty, to byłbym niepotrzebny. Klient dostawałby kartkę: ten odkurzacz ma taką moc, a tamten inną. I to by wystarczyło do podjęcia decyzji. Ale jeśli usłyszy, że ten konkretny model pozwoli mu spełnić marzenia i jeszcze migiem wysprzątać dom, to jest kupiony.

No to co sprzedajesz?

Ideę, że coś jest warte ochrony. Ale nie wiem, czy sprzedawanie to dobre słowo, bo się kojarzy z wciskaniem kitu. Tymczasem większość rzeczy, które mówię i publikuję, to wiedza uzyskana od innych ludzi. Pytam się, dowiaduję, a potem puszczam w świat. Zygmunt Bauman mówił, że potrzebujemy przede wszystkim translatorów rzeczywistości. Może powinienem przy tym pozostać? Nas, ludzi, często gubi pęd postępu. Jakby rozwój był priorytetem. Jeśli się nie rozwijasz, to stoisz w miejscu. A co jest złego w staniu w miejscu? Ostatnio mam wrażenie, że o wiele więcej czasu powinienem spędzać stojąc w miejscu. Widać i słychać wtedy znacznie więcej.

Jak się skończyła awantura o pole golfowe?

Część radnych chciała doprowadzić do głosowania nad dalszym procedowaniem oferty inwestora. Debata była tak burzliwa, że w pewnym momencie sam inwestor, być może wiedząc, że przegra głosowanie, wycofał propozycję. Co nie znaczy, że Łąki Oborskie są bezpieczne. Dopóki nie zmieni się miejscowy plan zagospodarowania, zawsze może się znaleźć ktoś inny, kto spróbuje osuszyć rezerwat.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

JACEK

Podsiadło:

Niezwykłe przygody Polaków za granicą

Źle się żyło Polakom na Zachodzie w drugiej połowie XX w. Bardzo źle im było w Paryżu. „Jak to być może, / że pod Eifflem się tęskni do Hożej" – głowiła się w piosence Frąckowiak. Jak to być może, że w Wielkiej Brytanii się tęskni za polskim morzem, opowiadali w audycji z 1969 r. rybacy i marynarze, którzy zbiegli ze swoich łajb, a potem żałowali. Reprezentującemu „świnoujską Odrę" rybakowi Kazimierzowi D. nie podobało się, że w Anglii nie wolno bić żon. „Miałem mieszkanie, Angielka mie wykwitowała, a mam dziecko z nią, a ja ją uderzyłem, tak że nie mam nawet prawa do własnego domu wejść. Ooo, to w żadnym wypadku, żebym ja tam został". Janowi T., który zwiał z pokładu trawlera w Aberdeen, nie podobało się skąpstwo Szkotów. „Już musiałem się ograniczyć co do palenia, nieraz w ogóle nie paliłem, do pracy 20 minut musiałem iść pieszo, żeby już nie tracić na autobus". W Nowym Jorku śmierć czyhała na Polaków na każdym kroku, o czym pisał do „Perspektyw" Olgierd Budrewicz w 1973 r.: „Na ulicach strzela się do ludzi jak do kaczek. (...) W centrum miasta widać facetów cwałujących po jezdniach i chodnikach z pistoletami i pałkami w ręku. (...) Muszę ten list wysłać do Polski i chyba w tym celu udam się na pocztę. Jeżeli odczytacie te słowa, będzie to znaczyć, że na pocztę dotarłem...". Korespondencji towarzyszyły zdjęcia typu „Ta kobieta została zamordowana młotkiem przez kochanka, który potem jeszcze zmasakrował jej ciało".

Żeby móc na własne oczy zobaczyć niedotykalską Angielkę lub zmasakrowaną Amerykankę, konieczny był paszport. Zdobycie go graniczyło z cudem (pamiętna scena wręczania paszportów na poduszkach w „Misiu"), a i tak niczego nie gwarantowało. Hanna Kozłowska skarżyła się w liście do „Słowa Ludu" w 1975 r.: „Potrzebne mi były znaczki skarbowe do paszportu. Odwiedziłam więc Orbis, bank, PKO i wszędzie otrzymałam tę samą odpowiedź: nie ma. Kiedy po trzech dniach ponownie zjawiłam się w Orbisie oświadczono mi, że panienka sprzedająca znaczki jest nieobecna, a bez niej ani rusz, bo zabrała klucze".

W 1964 r. Filipinki opłakiwały w opolskim amfiteatrze niedolę amerykańskiego Murzyna („Ktoś czarny tak jak bywa noc, / jak bywa los, gdy ktoś jest czarny"). Rok później podczas amerykańskiego *tournée* usłyszały od polonusa Zygmunta, że za ich ówczesne honorarium „Murzyn nawet by się nie zwlókł z łóżka" (wg wspomnień z 2007 r. na stronie „Szczecin Nasze Miasto", bo w książce Kazimierza Szczygielskiego „Filipinki – to my!" „Murzyn" zamienił się w „bezrobotnego").

Kiedy Gierek z Honeckerem otworzyli w 1972 r. granicę na Odrze i Nysie, Polacy ruszyli na Berlin. Aleksy22 wspominał na forum internetowym: „Najbardziej wykupywane były buty, czajniki z gwizdkiem (ludzie nie znający niemieckiego gwizdali w sklepach pokazując, o jaki towar im chodzi) oraz – pierwsze w demoludach – telewizory kolorowe". Stasi raportowała, że w największych domach towarowych niemieckiej stolicy ponad połowę sprzedawanych towarów wykupują Polacy! Żeby się ratować, Niemcy wydzielili część sklepów, w których Polaków nie obsługiwano i odstraszano tabliczkami z napisem „Nur für Deutsche". Z kolei Niemcy zjedli wszystko, co było do zjedzenia w restauracjach Śląska. Wrocławski Komitet Wojewódzki partii alarmował centralę, że turyści niemieccy „rozrzucali cukierki dzieciom polskim, fotografując sceny podnoszenia ich przez dzieci. Nieraz w stanie nietrzeźwym turyści z NRD oświadczają, że Niemcy jeszcze do Wrocławia powrócą, a w czasie awantur ubliżają Polakom przez używanie określeń w rodzaju »polskie świnie«".

Regina Turkiewicz opisała w „Dzienniku Polskim" z 1972 r. wyjazd do Niemiec ze studenckim zespołem pieśni i tańca Słowianki. Żeby było taniej, słowiańskie pieśniarki zakwaterowano w mieszkaniach tradycyjnie gościnnych Niemców. „Pierwsza noc w niemieckim domu. Wchodzę do swojego pokoju – i następuje chwila refleksji. Nad łóżkiem wiszą duże zdjęcia umundurowanej, męskiej części rodziny z okresu... II wojny. Szok na widok trupiej główki na czapce – bardzo duży. (...) Gospodarze znają parę słów po polsku: – »sto lat«, »na zdrowie«".

W tym samym pamiętnym roku powstał mój najulubieńszy opis wycieczki zagranicznej, sporządzony przez dziesięciu pracowników Spółdzielni Inwalidów im. Kowalowa w Łodzi. „Pełni żalu i rozczarowania z powodu źle zorganizowanej wycieczki przez »Gromadę« do NRD" kowalowiacy pisali do redakcji „Odgłosów": „Ponieważ większość z uczestników wycieczki byli inwalidzi o różnych schorzeniach (w tym 11 głuchoniemych) noclegi miały być blisko granicy – w Słubicach, natomiast z niewiadomych przyczyn zostały przeniesione do Ośla Lubuskiego oddalonego od granicy o 40 minut. (...) Zawieziono nas do Berlina, gdzie piloci zaprowadzili wycieczkę do obejrzenia Pomnika Zwycięstwa Armii Radzieckiej. Następnie autobusy zawiozły nas na plac Aleksandra, skąd każdy udał się w swoją stronę. (...) I tak, pozostawieni sami sobie, nie znając języka, nie znając miasta, grupkami wycieczka rozeszła się po najbliższych sklepach, bo i co było robić. Natomiast piloci z zabraną z Ośla osobą nie należącą do wycieczki ulotnili się w nieznanym kierunku. (...) Większa część inwalidów, w tym i 11 osób głuchoniemych kręciło się po placu Aleksandra. Na przykład – szukało się godzinami toalety, lub gdzie zjeść i napić się, bo nikt o to nie zatroszczył się (...). Po co jechać tyle kilometrów, pytamy, aby w rezultacie nic nie zobaczyć". ©

NAUKA

CUDAK Z TRĄBĄ

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Suhak dzielił swój los z mamutem, ale zdołał uciec z plejstoceńskich opresji. Potem prawie padł ofiarą antropocenu. Dziś zagraża mu wojna.

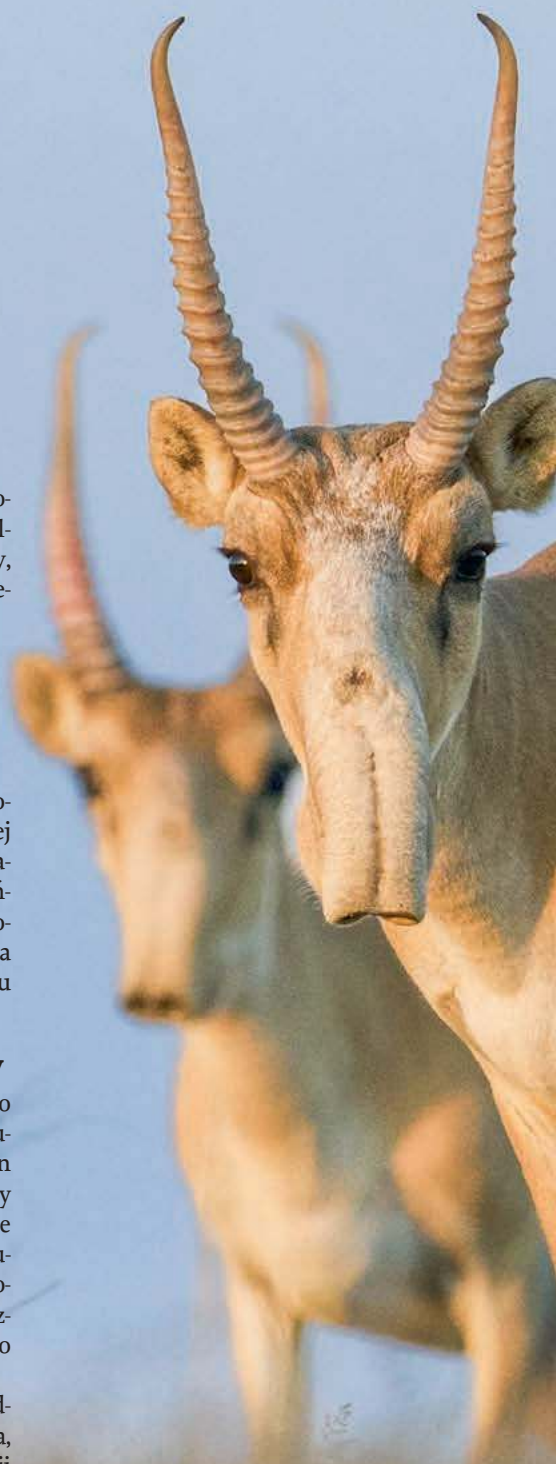

Suhak wyziera już z pierwszej strony „Ogniem i mieczem", a nieco dalej pojawia się z epitetem „kraśny", czyli piękny. W przypisie czytamy, że to „ssak krętorogi, spokrewniony z gazelami, dziś żyje tylko w Azji Środkowej, w XVII w. można go było spotkać na terenie całej dzisiejszej Ukrainy", czyli na Dzikich Polach, będących miejscem akcji powieści. Dopiski drobnym druczkiem mogą być świetnym uzupełnieniem tekstu głównego, ale z tego przypisu wiele się nie dowiadujemy. Bo do krętorogich, zwanych częściej wołowatymi, należą i krowa, i żubr, i wspomniana subtelniejsza gazela. Co więcej, pomija on to, co czytelnika mogłoby najbardziej zainteresować – suhak to antylopa z trąbą.

Zwierzę ma przerośnięty nos, określany niekiedy „garbatym pyskiem"; na stronie Światowego Funduszu na rzecz Przyrody (WWF) nazywa się je pieszczotliwie suhakiem-cudakiem. Owa trąbka ma dwa podstawowe zastosowania – zimą pomaga ogrzać powietrze, a latem filtruje stepowy pył.

Jako jeden z pierwszych Europejczyków zwierzę to opisał wiedeński dyplomata Siegmund von Herberstein, który w połowie XVI w., sto lat przed wydarzeniami z „Ogniem i mieczem", jechał do Księstwa Moskiewskiego. Podczas podróży zaintrygował go m.in. żubr oraz właśnie suhak, którego dyplomata spotkał na Dzikich Polach. To „leśna owca – zanotował w swoich „Zapiskach o Moskowii" – zwana przez Polaków solhak, a Moskali sajgak, wielkości kozy, ale z krótszymi nogami; rogi ma uniesione do góry, jakby oznaczone pierścieniami; Moskale robią z nich przezroczyste rękojeści do noży". Von Herberstein zapewne obserwował suhaka w zimowej szacie, stąd porównanie do włochatej owcy.

Ziemie, które wtedy przemierzał poseł, wchodziły w skład Rzeczypospolitej i zwierz ten, dziś kojarzący się nam raczej z egzotyczną, azjatycką lub afrykańską fauną, to część naszego środkowo- i wschodnioeuropejskiego dziedzictwa przyrodniczego. Czemu więc o suhaku tak mało się słyszy?

Długie noże chińskich aptekarzy

Głównym powodem tego milczenia stało się zapewne całkowite wytrzebienie suhaka w naszej części Europy. Proces ten postępował stopniowo i najpierw zginęły zwierzęta na zachód od Dniepru; jeszcze w początkach XIX w. spotykano tego „cudaka" na stepie Pantalicha pod Tarnopolem. Później wybito już osobniki mieszkające na wschód od Dniepru, ostatniego suhaka Dzikich Pól widziano w 1898 r.

Nasza część kontynentu nie była jednak pierwotną przestrzenią życia suhaka, który dzielił radości i smutki egzystencji z mamutem na tundrostepach Eurazji. Razem doświadczyli też katastrofy, która

zaszła tam między 50 a 10 tys. lat temu. Jednym z powodów wyginięcia plejstoceńskich zwierząt (zwanych megafauną) na obszarach polarnych i subpolarnych było ocieplenie klimatu. Miejsce pożywnych traw zajęły wtedy lasy i roślinność bagienno-tundrowa, a ssaki zaczęły wymierać z głodu. Być może w przetrzebieniu tych zwierząt pomogli także nasi przodkowie. W literaturze naukowej pojawiła się również koncepcja mikrokatastrof, spowodowanych marznącymi deszczami, przez które trawy na tygodnie miały znikać pod warstwą lodu. I dziś w rezerwatach, w których hoduje się suhaki, silne opady śniegu albo deszczu mogą doprowadzić do zgonów tych zwierząt, które nie są w stanie dokopać się do pożywienia.

Te same procesy, które przyczyniły się do wyginięcia mamutów, zagroziły też suhakom. Inaczej jednak niż wielgachne trąbowce, suhaki ruszyły na południe w poszukiwaniu nowych siedlisk i znalazły je na stepach ciągnących się od podnóża Karpat aż do Mongolii i zachodnich Chin. Długo cieszyły się tam spokojem, tym bardziej że m.in. dla Kałmuków, którzy w XVIII w. uciekli z Chin i zamieszkali w delcie Wołgi, były istotami świętymi. Poza tym suhak jest najszybszym zwierzęciem lądowym Europy, rozpędza się do 80 km/h, ma świetny wzrok, słuch i niełatwo go podejść.

Niestety chińska medycyna, z jej żarłocznym zapotrzebowaniem na odzwierzęce składniki, okazała się silniejsza nawet od plejstoceńskich zmian klimatu. Rogi suhaka dostarczano również z terenów Dzikich Pól i tak doprowadzono tam do całkowitego wytrzebienia. Popyt wzrastał i tworzyły się wyspecjalizowane grupy kłusownicze, zwłaszcza na obszarach nowo powstałego ZSRR. W Uzbekistanie znane są też przypadki rozkopywania historycznych cmentarzysk, powstałych w czasie kataklizmów przyrodniczych, w celu wydobycia rogów. Niebawem w delcie Wołgi ostało się ledwie kilkaset zwierząt, a w środkowej Azji, na płaskowyżach Betpakdała i Ustiurt – kilka tysięcy.

Proroctwo Łotysza Knakisa

Dwudziestowieczne losy suhaka są pokłosiem aktywności jednego państwa – Związku Radzieckiego; w Chinach zwierzę wybito wcześniej. Dziś w Rosji podkreśla się zasługi Sowietów w jego ratowaniu, ale gdyby tamte działania położyć na jednej szali, a na drugiej to, co przyczyniało się do degradacji gatunku i jego środowiska, należałoby raczej mówić o ekobójstwie, a nie ochronie. Po pierwsze, proces przekształcania stepów w pola uprawne oraz ich bezrozumna melioracja sprawiły, że suhak nie tylko zaczął tracić miejsce do życia, ale i nie miał sposobności do migracji. Po drugie, w ZSRR do końca lat 20. XX w. legalnie działały brygady odstrzeliwujące te zwierzęta. Liczebność spadła krytycznie i w końcu objęto je całkowitą ochroną. Populacja odrodziła się i w latach 50. liczyła już 2 mln osobników. Zauważono wtedy, że istnieją różnice fizjologiczne w populacji i niekiedy mówi się nawet o drugim, mongolskim podgatunku, nieco większym, długim na 1,7 m, wysokim do 80 cm i ważącym do 60 kg. Na stepach Rosji i Ukrainy maksymalne wymiary suhaka są mniejsze (waga sięga 45 kg), nie zaobserwowano za to różnic w długości życia – samiec przeżywa ok. sześciu lat, a bezroga samica – dziesięć.

Gdy liczba zwierząt znacząco się zwiększyła, radzieccy włodarze nie tylko znieśli zakaz polowań, ale i z nich samych uczynili proceder przemysłowy. Czarno na białym widać to na ówczesnych kronikach. Oto nocą na step wjeżdżają ciężarówki wyładowane myśliwymi, towarzyszą im naganiacze na motorach albo konno. Lektor wychwala ich zręczność oraz korzyści czerpane z zabitych zwierząt; rogi bynajmniej nie są na pierwszym miejscu, ↦

VALERIY MALEEV / BE&W

Suhaki na stepach astrachańskich w południowej Rosji

↦ bo mówi się o skórze, mięsie, sierści. Później widzimy strzelców ukrytych w trawach, z zamaskowanymi głowami, pędzone stado w całości pada od ich kul.

Minęła kolejna dekada i suhakom znów zagroziło wyginięcie. Przerwano wtedy oficjalny proceder odstrzału, ale wciąż działały legalne do niedawna kanały eksportu rogów do Chin i zwłaszcza na obszarze Kałmucji, na terenie nadwołżańskich stepów, rozegrała się krwawa wojna między strażnikami przyrody a kłusownikami. Do rangi lokalnego bohatera urosła postać obrońcy suhaków, Łotysza Uldisa Knakisa. Podczas jednej z nocnych zasadzek w 1970 r. został on śmiertelnie postrzelony. M.in. za sprawą Światowego Funduszu na rzecz Przyrody, który pielęgnuje o nim pamięć, zachowały się jego słowa: „Ten, który dziś strzela do suhaków, jutro będzie strzelał do człowieka".

Nad kałużą życia

Wbrew temu, co mówił przypis z „Ogniem i mieczem", suhaki żyją dziś we wschodniej Europie i to nie tylko w nadwołżańskich stepach, ale i w Ukrainie. Co prawda na Dzikich Polach zapewniono im siedliska półnaturalne, ale od dekad trwają przygotowania do reintrodukcji – wypuszczenia wolno na step. Działania te prowadzone są w rezerwacie Askania Nowa, leżącym już po wschodniej stronie Dniepru, między Kachowką a Przesmykiem Perekopskim. Historia tego ośrodka sięga połowy XIX w. i od początku wiąże się z unikalną fauną i florą tamtejszych ziem. Zwłaszcza wokół tzw. Wielkiego Czapelskiego Podu, a więc depresji powstałej w efekcie zapadania się terenu i przez większość roku zabagnionej, występują gatunki endemiczne. Ta wielka kałuża życia o rozmiarach 6 na 4 km i położona do 9 m poniżej otaczających terenów, jest sercem całego kompleksu i wchodzi w skład ścisłego rezerwatu o obszarze 11 tys. hektarów. Znajduje się tam ostatni naturalny fragment stepu Europy, który nigdy nie był orany. I tam właśnie, wśród jeleni, w tym japońskich sika, żubrów, amerykańskich bizonów, koników Przewalskiego czy zebr, zaczęły się pojawiać suhaki.

Do 1959 r. sprowadzono łącznie 174 osobniki, ale hodowla nie udawała się m.in. z powodu obrażeń, jakich doznawały podczas łapania i transportu, a także z braku czystej wody latem czy niedostatków naturalnego pokarmu zimą. Suhaki są pod tym względem dość wybredne – nawet głodne niechętnie jedzą siano. Po 1979 r. sprowadzono kolejne 73 suhaki z Kałmucji, spośród których niemal połowa zginęła, ale te, które przeżyły, dały początek stadu. Udało się utrzymać stosunkowo duży i stabilny przyrost naturalny i na początku tego roku zwierząt było ok. 600. Ojcem tego sukcesu był wieloletni dyrektor rezerwatu, Wiktor Hawrylenko. W jego artykule sprzed roku czytamy, że od początków XXI w. zwierzęta te są wysyłane do ośrodków hodowlanych w innych częściach kraju. Jeszcze przed rosyjską aneksją Krymu kilka sztuk trafiło na Półwysep, później w okolice Odessy, a nawet do podkijowskiego komercyjnego parku przyrody Beremyćke. Doświadczenia z tamtych miejsc potwierdzają, że suhak wciąż potrzebuje „wsparcia zootechnicznego i weterynaryjnego" i sam może sobie jeszcze nie poradzić. Bywało, że padał łupem wilków, łamał nogi w jamach wykopanych przez gryzonie, problematyczne okazały się też nieznane mu wcześniej rośliny, w tym łoboda czy szarłat.

Suhak jest najszybszym zwierzęciem lądowym Europy, rozpędza się do 80 km/h, ma świetny wzrok, słuch i niełatwo go podejść.

Kraśny znaczy też krwawy

Ale zmartwień Hawrylenko miał więcej. Do rezerwatu Rosjanie weszli już w piątej godzinie inwazji i później na jego obszarze zrobili bazę wojskową. Badaczowi udało się ewakuować po czterech miesiącach i obecnie jest w zachodniej Ukrainie. Stamtąd pisał do UNESCO, żeby objęła kontrolą zwierzęta; łącznie wszystkich kopytnych jest w rezerwacie półtora tysiąca. Kilka miesięcy temu skontaktowaliśmy się z rezerwatem w Askanii Nowej i otrzymaliśmy odpowiedź od sekretarz naukowej, Natalii Korinieć. Pisała, że w przeszłości suhak bywał bohaterem reportaży, filmów czy tekstów literackich, a w języku ukraińskim funkcjonuje nawet powiedzenie „biegać jak suhak", czyli szybko. Z odpowiedzi wynika również, że w latach 2013-2021 sprzedawano suhaki nie tylko do innych rezerwatów, ale i prywatnych hodowli, w tym należących do firm farmaceutycznych. Jedną z nich, nieopodal, w obwodzie chersońskim, założyli Chińczycy. Zapytaliśmy więc Korinieć, jak radzą sobie w warunkach rosyjskiej okupacji, co dzieje się z suhakami oraz jakie mogą być dalsze plany Chińczyków. Odpowiedzi już nie otrzymaliśmy, za to w mediach społecznościowych Askanii Nowej pojawiła się 24 marca informacja, że przybył tam oddelegowany przez Rosjan nowy dyrektor, samą zaś jednostkę uwzględniono w rosyjskim rejestrze podmiotów prawnych. Pod koniec tego wpisu znajdziemy też deklarację odsuniętych już władz rezerwatu, a więc także piszącej z nami Korinieć: „Wierzymy w zmianę i szykujemy się do powrotu Askanii Nowej pod kontrolę Ukrainy".

Nocą 6 czerwca Rosjanie wysadzili tamę w Nowej Kachowce, położoną 50 km na północny zachód od rezerwatu w Askanii Nowej. Woda na szczęście aż tam nie dotarła, można jednak niepokoić się o dalszy los suhaków i innych mieszkańców rezerwatu. Czy okupanci mogą je skrzywdzić? Wydawałoby się to niepodobieństwem, bo przecież do 1989 r. tę instytucję łączyły ścisłe więzi z Moskwą, bywali tu nawet carowie. Mikołaj II nazwał to miejsce „arką Noego", a i w czasach sowieckich najczęściej dyrektorzy przejeżdżali ze stolicy ZSRR. Historia podsuwa jednak straszną analogię. Od założenia do 1917 r. rezerwatem zarządzali Niemcy, a dobro zwierząt dla właściciela, Friedricha von Falz-Feina, było najważniejsze; co zresztą nakazał wypisać na swoim nagrobku. Minęło jednak 26 lat i również Niemcy do cna spalili to miejsce, a zwierzęta rozjechali czołgami. Nawet jeśli Rosjanie nie powtórzą tego scenariusza, to trudno uwierzyć, że ktoś w wojennej zawierusze nie spróbuje zdobyć jak najwięcej rogów na eksport. A dumne suhaki żywcem ich nie oddają.

© MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Przypadki Kathleen Folbigg

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Jej życie runęło wielokrotnie. Cztery razy, gdy jej dzieci umierały we śnie. I piąty, gdy w 2003 r. została skazana na 40 lat więzienia za ich zabójstwa. Dzięki zeznaniom naukowców właśnie wyszła na wolność.

Tabloidy nazwały ją „potworem" i „najgorszą matką Australii". 5 czerwca po raz pierwszy od 20 lat publicznie się uśmiechnęła. Następnego dnia po wyjściu z więzienia opublikowała nagranie, na którym układa bukiet z kwiatów, dziękuje przyjaciołom i wyraża miłość do swoich zmarłych dzieci.

Za jej uwolnieniem stał międzynarodowy zespół naukowców. Ich badania i zeznania przekonały gubernator Nowej Południowej Walii, że śmierć czwórki dzieci Folbigg mogła być wynikiem koszmarnego, genetycznego pecha.

Genetyczne śledztwo

„Moje dziecko nie oddycha" powiedziała Folbigg w lutym 1999 r. operatorowi pogotowia w Singleton. „Mieliśmy już trzy przypadki śmierci łóżeczkowej".

Ostatnie dziecko Folbigg, dwuletnia Laura Elizabeth, zmarło. Wcześniej, w 1989 r. zmarł 19-dniowy Caleb. W 1991 r. 8-miesięczny Patrick. W 1992 r. 10-miesięczna Sarah.

Po czwartym zgonie policja wszczęła śledztwo, wychodząc z założenia, że jedna śmierć dziecka to tragedia, dwie są podejrzane, ale trzy czy cztery niemal na pewno są morderstwem. Mąż Kathleen szybko zaczął składać obciążające ją zeznania. W 2003 r. kobietę skazano na 40 lat więzienia. Po apelacji wyrok obniżono o dekadę.

Jeszcze w 2019 r., gdy po raz ostatni starała się o uchylenie wyroku, rozprawy skończyły się dla niej upokorzeniami i rozczarowaniem. Prawnicy jej męża przytaczali fragmenty pamiętnika, które miały wskazywać na jej skłonności do przemocy. Przeciw niej wyciągano nawet fakt, że w niedziele pracowała na pół etatu, zostawiając dziecko w domu.

Nie pomogły zeznania lekarzy, którzy podkreślali, że choć śmierć czworga dzieci w jednej rodzinie może wydawać się podejrzana, cierpiały one na poważne schorzenia. Caleb miał laryngomalację – wrodzoną wiotkość krtani, mogącą utrudniać oddychanie. Patrick – padaczkę i wady kory wzrokowej mózgu.

AFP / EAST NEWS

Kathleen Folbigg, czerwiec 2023 r.

Pomimo wysokiego wyroku i medialnej nagonki na domniemaną dzieciobójczynię w jej niewinność nadal wierzyła spora grupa ludzi. Wśród nich biznesmen Peter Yates, który zebrał 200 tys. dolarów i zaczął budować naukową supergrupę. W jej skład weszła m.in. Carola Vinuesa, immunolożka i genetyczka. W 2018 r. przeprowadziła wstępne badania genetyczne wskazujące, że śmierć przynajmniej niektórych dzieci mogła mieć naturalne przyczyny. Gdy opinia ta nic nie dała, szukała dalej.

Zespół Vinuesy przeanalizował DNA skazanej i jej dzieci w poszukiwaniu potencjalnie niebezpiecznych mutacji. I znalazł coś podejrzanego – mutację genu CALM2, obecną u Folbigg i obu jej córek. Zaburzenia tego genu mogą wpływać na działanie kalmoduliny. To białko, które reguluje funkcjonowanie w naszych ciałach jonów wapnia, kluczowych m.in. dla prawidłowej pracy serca. Jeśli białko działa źle, może powodować m.in. zaburzenia w skurczach serca. To genetyczne schorzenie jest niezwykle rzadkie: dotyka jednej osoby na 35 mln.

Genomy Caleba i Patricka także zawierały mutacje, które mogły przyczynić się do ich śmierci. W ich przypadku zmieniony został gen, którego modyfikacje u myszy wywołują gwałtowne napady padaczkowe.

Vinuesa zwróciła się do Australijskiej Akademii Nauk, która zebrała podpisy pod petycją do gubernator Nowej Południowej Walii, wzywającą do ponownego rozpatrzenia sprawy i ułaskawienia kobiety. Podpisała się pod nią setka cenionych uczonych, w tym nobliści – biolożka molekularna Elizabeth Blackburn i immunolog Peter Doherty.

Ułaskawienie

W ubiegłym roku gubernator Nowej Południowej Walii wyznaczyła byłego prokuratora generalnego stanu, Thomasa Bathursta, aby ten pokierował pracami komisji, która miała wysłuchać wskazanych przez Akademię naukowców.

Zespół badaczy dostał czas na to, by wyłożyć naukowe podstawy swojego rozumowania i przedstawić je prawnikom obu stron. Gdy w trakcie postępowania pojawiały się nowe wyniki, mogące mieć wpływ na orzeczenie, pozwolono naukowcom na zbadanie dalszych tropów i eksperymentalne wyjaśnienie wątpliwości. „Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział podobną rozprawę" – mówi magazynowi „Nature" Peter Schwartz, kardiolog z Mediolanu i badacz mutacji kalmoduliny, który jako ekspert zeznawał w ponad 40 sprawach.

Przewodniczący komisji uznał, że istnieją poważne wątpliwości co do winy Kathleen Folbigg. Jego rekomendacja doprowadziła do szybkiego ułaskawienia.

„W tej kwestii wysłuchano nauki" – mówił „Nature" Michael Toft Overgaard, badacz białek z duńskiego Uniwersytetu w Aalborgu, który był jednym z powołanych ekspertów. „Cała sprawa była dla naukowców nieco surrealistycznym przeżyciem".

Australijska Akademia Nauk ma jednak nadzieję, że stanie się przełomem w podejściu do ustaleń naukowych przez wymiar sprawiedliwości. ©

„NASZ NAJWIĘKSZY SKLEP"

Książki, których szukasz, czekają na Ciebie w jednym miejscu.

allegro

REKLAMA

23 – 29.10.2023

TYGODNIK POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 01
„TP" 26/2023

CONRADFESTIVAL.PL

MIER ACJE

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL LITERACKI

Festiwal Conrada, 23 – 29 października 2023

GRZEGORZ JANKOWICZ

Raymond Queneau, francuski pisarz eksperymentalny i znakomity wydawca, uważał, że wszystkie powieści można podzielić na dwa typy: albo mamy do czynienia z iliadami, w których akcja rozgrywa się w jednym miejscu, albo z odysejami, w których bohaterki i bohaterowie nieustannie podróżują.

Podobnie jest z festiwalami literackimi. Jedne koncentrują się na rozmaicie rozumianej lokalności, prezentują dzieła, które powstały w konkretnym języku i proponują dyskusje na temat historii organicznie związanych z daną przestrzenią. Drugie zajmują się literaturą światową, którą Goethe zdefiniował jako zbiór opowieści przekraczających kulturowe granice, nieustannie cyrkulujących oraz inspirujących czytelniczki i czytelników w różnych częściach globu.

Festiwal Conrada łączy obydwie wspomniane perspektywy. Jego idea narodziła się w Krakowie i właśnie w tym mieście już od piętnastu lat jest rozwijana. Bez tego, co dzieje się w lokalnej kulturze, bez wyjątkowej historii i geografii literackiej nie byłoby tego wydarzenia. Ale to nie wszystko. Wybierając na patrona Festiwalu Josepha Conrada, chcieliśmy zwrócić uwagę na konieczność otwarcia granic i zabezpieczenia możliwości stałego ruchu w obie strony (a możliwość ta dotyczy nie tylko opowieści, nie tylko różnych wizji świata, życia, natury, pracy, relacji społecznych etc., ale także tych, którzy te opowieści tworzą i czytają).

Nigdy nie traktowaliśmy prezentowanych idei jako oczywistych, dlatego nasz Festiwal jest przede wszystkim przestrzenią dyskusji i jako taki nieustannie się przekształca. Dziś – po piętnastu latach intensywnej działalności – jest przedsięwzięciem całorocznym, którego konstelację tworzy kilka wzajemnie uzupełniających się elementów: w październiku odbywa się edycja główna oraz towarzyszące jej pasmo branżowe „Kongres Książki". W pozostałych miesiącach organizujemy „Lekcje Czytania" (warsztaty czytelnicze dla różnych grup – od młodzieży, przez dorosłych i osoby mające utrudniony dostęp do kultury, w tym osadzonych w aresztach i więzieniach), „Naturę Przyszłości" (cykl rozmów na temat zjawisk, które będą miały kluczowy wpływ na przyszłość świata) oraz „Conrada po godzinach" (spotkania i dyskusje o aktualnych zjawiskach literackich).

Na początku czekaliśmy na Was w Krakowie. Teraz nie tylko gościmy Was w naszym mieście, ale także staramy się być tam, gdzie i Wy jesteście, zakładając, że nie wszyscy mogą do nas przyjechać, ale wszyscy – bez wyjątku – zasługują na stały kontakt z literaturą.

©℗ Grzegorz Jankowicz
dyrektor programowy Festiwalu Conrada

W NUMERZE

69
Michał Paweł Markowski
Z domu i do domu. Notatki o migracji

74
Karolina Rakowiecka-Asgari
Potrójne narodziny

77
Małgorzata Szczurek
Języki francuskiej literatury

81
Tomasz Pindel
Nie ma przeszłości bez wyobraźni

84
Martín Kohan
Normalność w czasach terroru

87
Sylwia Chutnik
Nieopowiedziane historie kobiet

REDAKCJA
Grzegorz Jankowicz
Michał Sowiński
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
GRAFIKA NA OKŁADCE
Marcin Wolny

15 CONRADFESTIVAL

Organizatorzy:
Kraków
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA kbf
KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Partnerzy Strategiczni:
TYGODNIK POWSZECHNY
allegro

www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Z domu i do domu. Notatki o migracji

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Zadomowienie oznacza wykrojenie kawałka przyjaznej przestrzeni w nieprzyjaznym świecie. Ale oznacza także – już nie w przestrzeni, lecz w czasie – rezygnację z egzystencjalnego ryzyka, które wpisane jest w życie.

w ogóle lepiej nie siedzieć a wyjść, wyjść, wyjść, wyjście, jakiekolwiek, wydalenie się, oddalenie stało się naglące, palące!...
Witold Gombrowicz „Dziennik"

1 W polskim słowniku nowoczesnym, ukształtowanym w epoce politycznej zawisłości (od rozbiorów do PRL), słowo „migracja" oznaczało zasadniczo ruch tylko w jednym kierunku. Tam, gdzie dominowała emigracja, nie było miejsca na imigrację, stąd brak słowa w języku. Migracja wynikała albo z powodów politycznych (niemożność życia w okupowanym kraju), albo ekonomicznych (niemożność życia w biedzie) i potężnej fali uchodźczej nigdy nie rekompensowała równie potężna fala napływowa. Model wychodzenia z Polski tak bardzo zdominował polską wyobraźnię nowoczesną, że do dziś boryka się ona z problemem odwrotnym: nie wiadomo, co zrobić z tymi, którzy uchodzą skądinąd i wchodzą lub starają się wejść do polskiego domu. A raczej dobrze wiadomo: nie wpuścić, odesłać spod granicy, zatrzymać na progu.

2 Kraj Wielkiej Emigracji nie przerobił udzielanej mu przez lata lekcji gościnności, przyznając sobie uprzywilejowane miejsce w globalnym procesie migracji. Migrant migrantowi nierówny, oficer rozbitej armii albo pracownik Radia Wolna Europa stać będzie znacznie wyżej w hierarchii migracji niż Syryjczyk bez epoletów. Nas trzeba było przyjąć wszędzie, my przyjmować nie musimy nikogo, o ile nie przyniesie to nam żadnego pożytku. Naród wiecznych najemników chętnie obróci milion współczesnych uchodźców w tanią siłę roboczą, nigdy ich nie asymilując i traktując jako obywateli gorszego gatunku. Ma w tym zresztą wielką wprawę. Przez stulecia Żydzi albo musieli siedzieć w gettach, żeby nie jątrzyć swą odmiennością, albo pozwalano im robić coś, czego Polak sam robić nie potrafił, ewentualnie nie chciał. Gdy jednak to polskie kalectwo społeczne stawało się zanadto oczywiste i niesprawiedliwe, tolerancja szybko przemieniała się w przemoc, bolesny język, którym przemawia reakcyjny szowinizm. Rasizm polskich emigrantów w Ameryce jest wprawdzie typowym flekowaniem konkurentów do awansu społecznego w kraju ekonomicznych i rasowych nierówności, ale wynika także i stąd, że Polska nie doświadczyła nigdy żadnej solidnej dawki imigracji. Nie zdołała w związku z tym wykształcić spontanicznego odruchu gościnności i solidarności wobec przedstawicieli innych nacji, co potwierdza fakt, że Solidarność mogła jedynie być związkiem zawodowym, który nie zmienił ani o jotę narodowej świadomości. Albo Polski nie było, więc nikt się do niej nie wybierał, albo nie miała w sobie żadnych atrakcji, po które ktoś chciałby sięgać. Uciekano z Polski, ale nie *do* Polski (chyba że z krajów o jeszcze mniejszym współczynniku modernizacyjnym niż Polska). Wieloetniczność polska (podobnie jak polski patriotyzm) to mit polskiej inteligencji, ale nie polskiego ludu, który zawsze trzymał się swojego gumna i baczył, by nikt obcy na nim nogi nie postawił. Jak długo Polska będzie stawiać zasieki zamiast pytań o własną tożsamość, tak długo pozostaje Polską Rzeczpospolitą Ludową, z której uciekać będą amatorzy różnorodności. Wojna z Ukrainą nieco zmieniła ten obraz, ale długo jeszcze musimy czekać, by polski umysł odrzucił ostatecznie marzenie o własnej wyjątkowości.

3 Kim jest ten, kto migruje? Łacina podsuwa odpowiedzi: *migrare* to ruszać się z jednego miejsca do drugiego, przenosić się, przemieszczać. E(x)-*migrare* to ruch na zewnątrz, i(*m*)-*migrare* to ruch do wewnątrz. Migrantem wszakże nie jest każdy, kto rusza w drogę, nie jest też nim każdy, kto się przenosi z miejsca na miejsce. Jego fizycznym przenosinom musi odpowiadać przemieszczenie mentalne, kulturowe lub państwowe: przeniesienie mienia, dobytku, rodziny, doświadczenia, kompetencji zawodowej z jednego środowiska do drugiego, z jednego języka do drugiego, z jednego państwa do drugiego. Migracji towarzyszy przekraczanie granic i opuszczanie własnego środowiska: migrantem jest zarówno dziecko chłopskiej rodziny z Wołkowyi, które jedzie na studia do Warszawy, jak uchodźczyni z Kolumbii w drodze do Teksasu. Ktoś, kto szuka swojej życiowej szansy w atrakcyjniejszym zawodowo środowisku, ktoś, kto chce zerwać ze swoją tradycją, i ktoś, kto jest we własnym kraju prześladowany i musi wyjechać, żeby nie stracić życia albo żeby jego dzieci wychowywały się bez strachu.

↦

↦ **4** Zwierzęta migrują, bo potrzebują jedzenia, którego na miejscu nie ma pod dostatkiem, ale można też powiedzieć, że migrują, gdy widzą, że tam, dokąd poszły (przepłynęły czy poleciały), mają za dużą konkurencję w zdobywaniu pożywienia. Wiemy, że ptaki migrują do ciepłych krajów, ale gdy za dużo ich się w tych ciepłych krajach znajdzie, muszą znów migrować, tym razem tam, gdzie o pożywienie łatwiej, czyli tam, skąd przyleciały. Jedno jest pewne: nie ma zwierząt, które migrują bez przerwy. Migrację wymusza potrzeba, tylko że czasem jest to potrzeba fizyczna, czasem zaś metafizyczna; taka, którą łatwo wyjaśnić (nikt nie chce mieszkać w zrujnowanym domu albo w domu, do którego dobijają się o świcie służby specjalne czy zwyczajni bandyci), i taka, której proste wyjaśnienie się nie ima. Ludzie migrują także, bo gna ich nie potrzeba, ale wyobraźnia: wizja innego życia, nieoczekiwanego, niezaplanowanego. Ludzie migrują, bo już nie mogą żyć we własnym domu, albo ktoś ich z tego domu wygania, albo też – choć mogą w domu zostać – chcą innego życia, lepszego, bezpieczniejszego, atrakcyjniejszego. Migracja ma rozmaite oblicza: fizyczne i metafizyczne, wzniosłe i trywialne, polityczne i ekonomiczne i tylko jedno łączy te różne oblicza: nie ma ruchu, który nie zakładałby spoczynku, nie ma migracji, która nie zakładałaby domu. Energia zamkniętego systemu kinetycznego musi się wyczerpać. Ludzie w końcu muszą osiąść, bo się zmęczą. Tylko mały procent ludzkiej populacji jest w danym momencie w ruchu. Reszta siedzi w domu i nawet o migracji nie marzy, a wręcz przeciwnie.

5 „I rzekł Pan do Abrama: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej / i z domu twego ojca / do kraju, który ci ukażę. / Uczynię bowiem z ciebie wielki naród, / /będę ci błogosławił i twoje imię rozsławię: staniesz się błogosławieństwem" (cytat za Biblią Tysiąclecia). Tak w Księdze Rodzaju przemawia Bóg do Abrama i zapewnia, że gdy Abram Go posłucha, to ten obdarzy go opieką, wrogów ukarze i w nim „będą otrzymywały błogosławieństwo / ludy całej ziemi". I Abram wyszedł, jak mu Bóg kazał, i dotarł do ziemi, którą mu Bóg dał we władanie, i rozkładał swoje namioty coraz dalej od swego domu. Kiedy jednak jego rodzinie zajrzał głód w oczy, udał się do Egiptu. Stamtąd jednak wypędził go faraon i Abram znów ruszył w drogę, by w końcu stać się Abrahamem, patriarchą kilku religijnych tradycji. I tak zaczęła się nasza historia. Od wyjścia z domu. Od ruszenia w drogę. Od szukania lepszego życia.

6 Oczywiście podróż Abrama, z którym Bóg zawarł przymierze i którego wziął pod opiekę, jest odwrotnością podróży, którą inny bohater naszej wyobraźni odbył z powodu boskiego gniewu. Gdy Odyseusz wracał do domu spod murów Troi, naruszył święte prawa ofiary i „za karę bóg nie dał cieszyć się powrotem". Choć „zgoła wszystkim niebianom żal było tułacza", to jednak Odyseusz przez wiele lat musiał błąkać się z dala od „ojczystych śmieci" (przeł. Lucjan Siemieński), by w końcu, dzięki wstawiennictwu Ateny, mógł wrócić do Itaki, rozpędzić pretendentów

do ręki domniemanej wdowy a jego żony i ponownie objąć władzę nad swoją krainą. I tak zaczęła się nasza historia. Od powrotu do domu. Od zakończenia tułaczki. Od odzyskania lepszego życia.

7 Wyjście i przyjście, podróż i powrót, wygnanie i królestwo, *exodos* i *nostos*. W tym podwójnym cyklu rozgrywa się historia naszych migracji, objęta dwoma fundamentalnymi mitami: mitem opuszczenia domostwa i mitem powrotu do niego lub założenia nowego domu, z dala od starego, na nowej ziemi, w nowych warunkach życia, pod nową władzą. Pierwszy mit karmi się nadzieją albo obietnicą: trzeba wyjść z domu, żeby znaleźć sens, który zmieni życie na lepsze, bo prawdziwe życie jest gdzie indziej, nie tu, lecz tam, nie w domu, lecz poza jego granicami. Drugi mit – odwrotnie: przyrzeka nagrodę po długim wędrowaniu, dobrze zasłużony odpoczynek, wytchnienie wśród swoich. Oba mity doskonale się uzupełniają, czego dowodzi żydowsko-chrześcijańska narracja teologiczna. Abram wychodzi z ziemi ojczystej prowadzony przez obietnicę nadania mu nowych ziem w po-

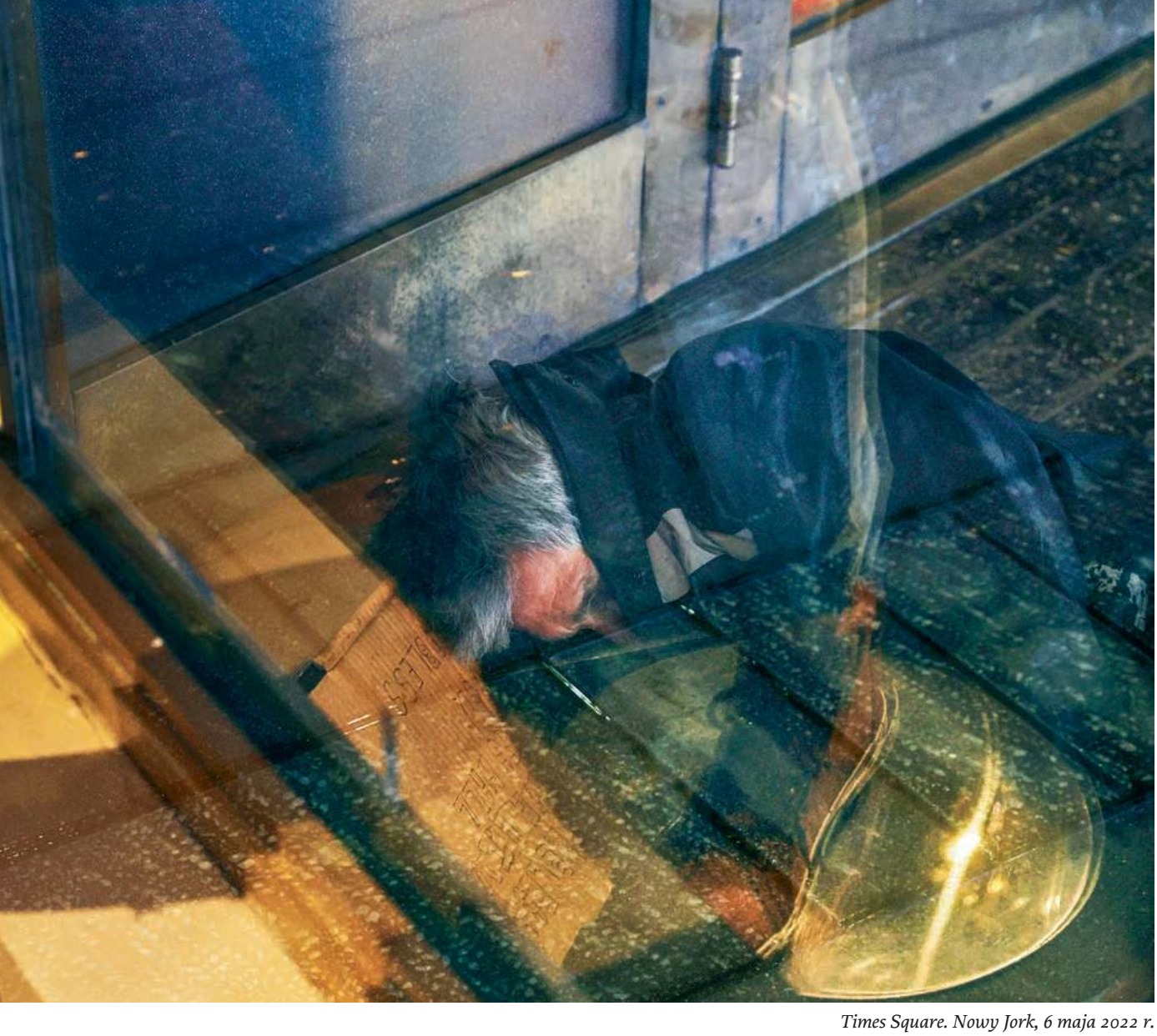

SHANNON STAPLETON / REUTERS / FORUM

Times Square. Nowy Jork, 6 maja 2022 r.

siadanie, obietnicę wiecznego domostwa. Wędrówka między krajami staje się alegorią ludzkiej egzystencji pod boską opieką. Ludzkość w ramach tej narracji wędruje nie po ziemi, od domu do domu, ale z ziemi do nieba, z miejsca ludzkiego do „boskiego królestwa", wolnego od ludzkiej przygodności. U jej kresu jest „boski przybytek", siedziba wszystkich wierzących w lepsze życie, które trwać będzie – wedle obietnicy – wiecznie, w nagrodę za posłuszeństwo bożym nakazom. Mesjańska obietnica – obietnica zbawienia od przykrości życia – to ciągłe wzbudzanie i podtrzymywanie nadziei znalezienia domu, w którym panuje wieczny spokój. Dlatego filozof żydowski Filon, którego wykładnia Pisma miała kolosalny wpływ na rozwój chrześcijańskiej hermeneutyki, historię wędrówki Abrahama w dziele „De migratione Abrahami" przedstawił jako alegorię stopniowego uwalniania się od ziemskich ograniczeń. Odtąd ktokolwiek będzie ruszał w drogę, będzie ukrycie pielgrzymował w poszukiwaniu wybawienia od egzystencjalnej niewygody. Jeśli jednak życie to wędrówka w poszukiwaniu domu, śmierć zaś jest kresem wędrówki, to znaczyć to musi, że prawdziwym domostwem człowieka jest śmierć. Nic dziwnego, że tę przerażającą wizję musiał ktoś skorygować. „Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga? I we Mnie wierzcie! W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. (...) A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem. (...) Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie" (J 14, 1-6). Dom na końcu drogi jest możliwy tylko pod warunkiem, że wierzy się w zmartwychwstanie, które eliminuje wieczną utratę i które – co tu dużo mówić – eliminuje człowieczeństwo, jakie znamy.

8 „Dokąd idziemy? – Wciąż do domu". Tak pisze romantyczny poeta niemiecki Novalis i w innym miejscu dodaje: „do wewnątrz prowadzi tajemnicza droga". To znajoma trasa nowoczesnego podmiotu: ze świata do siebie, od zewnątrz do wewnątrz. Ale gdzie jest to „wewnątrz"? Wewnątrz ludzkiego umysłu, który odwraca się od rzeczywistości i zatapia w myśleniu, czy gdzie indziej? Novalis odpowiada: „filozofia jest właściwie tęsknotą za domem, potrzebą, by wszędzie być w domu" (przeł. Jerzy

↦

↦ Prokopiuk). Ta tęsknota za domem to tęsknota za egzystencją pogodzoną ze światem, w którym da się mieszkać i z którego nie trzeba już w popłochu uciekać w poszukiwaniu sensu. Jeśli nowoczesność wykopała przepaść między duchem i światem, który ujawnił brzydkie materialne oblicze pozbawione boskiej sankcji, to jednocześnie szukała na gwałt sposobów na zasypanie tej przepaści, tworząc rozmaite scenariusze odzyskiwania straconego świata. Odczuta bardzo gwałtownie dzięki masakrze Wielkiej Wojny, a zapoczątkowana kapitalistyczną ekspansją ludzka bezdomność pobudzała do budowania egzystencjalnych schronisk gdziekolwiek, jakkolwiek, byleby zapewnić wygnanemu w życie człowiekowi choćby kawałek symbolicznego dachu nad głową. W nowoczesnym świecie pokawałkowanym, w którym znaczenia nie przyciągały się już wzajemnie, bo zabrakło im jakiejkolwiek scalającej podstawy, którą dawniej zapewniał Bóg, jedyną szansą odzyskania zgubionego świata było przeniesienie go do wnętrza ludzkiego umysłu. Człowiek musi mieć dom, jakiś dom, by istnieć, skoro więc historia zniszczyła domostwa materialne, trzeba je było odbudować mentalnie. Węgierski filozof György Lukács pisał w trakcie Wielkiej Wojny o tym „najgłębszym ludzkim dążeniu" do zadomowienia tak: „Jest to tęsknota tak silna, pożądanie ojczyzny tak gwałtowne, że wprowadza ono duszę na pierwszą ścieżkę, jaka zdaje się wieść ku ojczyźnie. Zapał jest tu tak płomienny, że nie słabnie do końca drogi. W konsekwencji, każda droga zdąża do istoty, do domu, gdyż dla takiej duszy domem jest jej wewnętrzna tożsamość" (przeł. Jan Goślicki).

Kraj Wielkiej Emigracji nie przerobił udzielanej mu przez lata lekcji gościnności, przyznając sobie uprzywilejowane miejsce w globalnym procesie migracji. Migrant migrantowi nierówny, oficer rozbitej armii albo pracownik Radia Wolna Europa stać będzie znacznie wyżej w hierarchii migracji niż Syryjczyk bez epoletów.

Migracja ma rozmaite oblicza: fizyczne i metafizyczne, wzniosłe i trywialne, polityczne i ekonomiczne i tylko jedno łączy te różne oblicza: nie ma ruchu, który nie zakładałby spoczynku, nie ma migracji, która nie zakładałaby domu.

9

Ale to tylko połowa prawdy o naszej historii, o naszej egzystencji. Druga, znacznie mniej optymistyczna, rozgrywa się poza obietnicą i poza nadzieją, poza jakąkolwiek tożsamością. A raczej w b r e w obietnicy i w b r e w nadziei, w b r e w tożsamości. To historia upadku i wygnania, historia trwałego wydziedziczenia. Owszem, mówi ta historia, Bóg złożył człowiekowi obietnicę wiecznego zadomowienia, ale przecież wcześniej wygnał go z domu i skazał na tymczasową egzystencję. Historia wygnania człowieka z Raju tłumaczyła wprawdzie znikomość ludzkiego życia („z prochu powstałeś i w proch się obrócisz"), ale podsuwała pytania, na które trudno było jednoznacznie odpowiedzieć. Jeśli świadomość tego, co złe i dobre, jest rezultatem grzechu („z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz"), to znaczy to, że tylko życie „poza dobrem i złem", życie bez świadomości zła dać może poczucie szczęścia, które nie domaga się pytań o tożsamość. I odwrotnie: życie ze świadomością zła i dobra, czyli życie moralne, nie jest nagrodą, jak by się zdawało człowiekowi oświeconemu, lecz karą. Raj jest domem zarażonym dwuznacznością: nie ma w nim śmierci, ale też nie ma człowieczeństwa, tak, jakby pytanie o to, kim się jest, wynikało jedynie z odkrycia własnej śmiertelności.

10

Wygnanie z Raju – mit założycielski człowieczeństwa – można interpretować na dwa sposoby. Z jednej strony była to katastrofa, bo człowiek utracił swoje nadludzkie przywileje, z drugiej jednak wypędzenie było niezbędnym warunkiem stania się człowiekiem. Jeśli wszystko, co dotknęło człowieka z powodu występku, było zasłużoną karą, to świadomość (nie tylko świadomość dobra i zła, ale też i samoświadomość) jest wątpliwym zyskiem. Jeśli jednak człowiek stał się człowiekiem, gdy sobie swoje człowieczeństwo (a więc skończoność) uświadomił, wygnanie z Raju było niezbędnym etapem na drodze stawania się człowiekiem. Człowiek okupił swoje wygnanie cierpieniem, ale zyskał świadomość, czym jest jego człowieczeństwo, zyskał tożsamość, której przedtem nie musiał mieć. Na wygnaniu uświadomił sobie, że wprawdzie musiał porzucić swój nieskazitelny dom, ale zyskał to, czego w stanie absolutnego szczęścia nie mógłby nigdy osiągnąć: swoje człowieczeństwo, a więc to, kim jest. W Raju nie było człowieka. Pojawił się on dopiero na wygnaniu. Człowiek swoje człowieczeństwo zawdzięcza migracji. Kto inny jednak powie: nieprawda, zawdzięcza je wężowi. I też będzie miał rację.

11

A oto inna historia, inny koniec podróży, inny powrót. „Wróciłem, przeszedłem sień i rozglądam się. To stara zagroda ojca. Pośrodku kałuża. Stare, nieużywane narzędzia, splątane ze sobą, zagradzają drogę do schodów wiodących na strych. Kot czai się na poręczy. Podarta chusta, kiedyś podczas zabawy owinięta wokół drąga, powiewa na wietrze. Przybyłem. Kto mnie przyjmie? Kto czeka za kuchennymi drzwiami? Z komina wydobywa się dym, kawa gotuje się na wieczerzę. Czy czujesz się, jak wśród swoich, jak w domu? Nie wiem, jestem bardzo nie-

pewny. To dom mojego ojca, ale sprzęt obok sprzętu stoi zimny, jak gdyby każdy z nich był zajęty swoimi sprawami, o których po trosze zapomniałem lub nie wiedziałem nigdy. Jakiż mogą mieć ze mnie pożytek, co dla nich znaczę, choć jestem synem starego wieśniaka. I nie odważam się zastukać do kuchennych drzwi, tylko z daleka nasłuchuję, stojąc, ale tak, aby nie można było mnie przyłapać na podsłuchiwaniu" (przeł. Roman Karst). Narrator tego mikro-opowiadania – napisanego przez żydowskiego pisarza niemieckiego z czechosłowackim paszportem (przed Wielką Wojną żyjącego na terytorium austriacko-węgierskiego imperium habsburskiego) – stoi na progu, wiemy, że go nie przekroczy, bo zdaje sobie sprawę, że po obu stronach progu znalazły się kompletnie obce sobie światy. Kluczowe pytanie – kto mnie przyjmie? – określa niepewność i niemożliwość powrotu. Każdego powrotu. Dom wprawdzie stoi, kawa się gotuje, ale przybysz nie ma pewności, czy zostanie przyjęty, choć to jego dom. Ale czy na pewno jego?

Nieobecność nie tylko zmieniła jego, ale też jego rodzinę, i każda ze stron pilnuje teraz swojej egzystencji, bo taka właśnie – dzieląca – jest natura domu. Zwykle powiada się, że dom jest miejscem integracji: cała rodzina wraca na święta do domu, żeby zamanifestować mocne więzi, o domu marzy każdy zmęczony podróżnik. Ale dom przede wszystkim jest ostoją niezmienności w nurcie życia. I kto się w tym nurcie zanurzy, utraci dom na zawsze, a kto zechce do domu wrócić, sprzeniewierzy się życiu samemu. Rzecz nie w tym, że dom znika, że popada w ruinę, że ktoś go zabiera albo niszczy, ale w tym, że jest wyłączony z życia, wyrwany z powszechnego ruchu, na którym życie polega, i osadzony na gruncie niezmienności, na fundamencie, który napędzając nostalgię – odstaje od egzystencjalnej dynamiki. Nie ma co się oszukiwać: kto dom zakłada albo do domu powraca, ten chce z nurtu życia się uwolnić. Nie tyle chce wrócić do początku (bo dom można sobie także zbudować w przyszłości), co uchylić się od swojej ludzkiej kondycji. I odwrotnie: kto tłumi w sobie tęsknotę za domem, który porzucił, albo za domem, który w swojej wyobraźni sklecił, ten bez reszty rzuca się w pęd życia, całkowicie się z życiem utożsamia. Jest wiecznym migrantem.

12

Tradycja podpowiada, że nie jest to los godny pozazdroszczenia. Wręcz przeciwnie. Wspólnoty skazują na bezdomność swoich największych wrogów, traktując wygnanie jako najwyższą karę. Wedle średniowiecznej legendy chrześcijańskiej Żyd, który popędzał Jezusa targającego krzyż na miejsce kaźni, usłyszał od niego: „Ja postoję chwilę i odpocznę, ale ty nie odpoczniesz aż do ostatnich dni". To jedno ze źródeł legendy o Żydzie Wiecznym Tułaczu, który nie zazna spokoju (= nie znajdzie domu) aż do końca świata za karę, że haniebnie potraktował Chrystusa. Jego nieskończona tułaczka odbijać miała – zwłaszcza w antysemickich umysłach – niezakorzenienie całego narodu, który m u s i tułać się po świecie w poszukiwaniu domu, w przeciwieństwie do wszystkich narodów chrześcijańskich, które swój dom znalazły. Inną wersję tego samego mitu daje legendarny Latający Holender: statek widmo, który nigdy nie zawija do żadnego portu, gdyż jego kapitan przysiągł, że opłynie Przylądek Dobrej Nadziei, choćby miał żeglować do Sądu Ostatecznego. Diabeł wysłuchał jego przysięgi i tak oto trwała zwłoka w nadejściu końca świata każe mu bez przerwy żeglować po oceanach. W obydwu wersjach bezdomność jest przekleństwem, choć przekleństwo to niebezpiecznie zbliża do siebie Chrystusa i Szatana.

13

Zadomowienie oznacza wykrojenie kawałka przyjaznej przestrzeni w nieprzyjaznym świecie i nie bez powodu Securitas w starożytnym Rzymie była boginią bezpieczeństwa i stabilności. Ale oznacza także – już nie w przestrzeni, lecz w czasie – rezygnację z egzystencjalnego ryzyka, które wpisane jest w życie. Zasiedzenie kłóci się z ruchem, tak jak dom kłóci się z drogą, ulicą, szlakiem. Tak jak wygnanie z Raju doprowadziło do narodzin kondycji ludzkiej, tak powrót do domu albo zbudowanie go od nowa zdaje się sprzeciwiać egzystencjalnej przygodności człowieka. Budujemy domy, jakbyśmy chcieli przechytrzyć nieubłagany bieg życia, jakbyśmy nie wiedzieli, że nasze życie z domem nie ma nic wspólnego, bo iluzją jest okrojenie go do czterech ścian w ściśle wytyczonej przestrzeni. W tym panicznym pędzie pod prąd życia, jakim jest wytyczanie ludzkich siedzib, w tej rozpaczliwej próbie zatrzymania pędzącego bez naszej woli nurtu zaprzeczamy nieustannie podstawowemu doświadczeniu egzystencjalnej tymczasowości. I chciałoby się powiedzieć tak: to nie dom jest miarą człowieczeństwa, ale wyjście z domu, ruszenie w drogę. To nie zadomowienie mówi o tym, kim jest człowiek, ale migracja. Trzeba, jak sugerował Gombrowicz, zanim ruszył w podróż przez Atlantyk, „wyjść, wyjść jak najprędzej", żeby przekonać się o tym, kim się jest, albo wręcz o tym, że się w ogóle jest.

14

Migracja i dom są tak ze sobą spowinowacone, że nie da się o nich myśleć osobno. Kto chciałby przedefiniowania pojęcia migracji, musiałby zacząć od rozmyślań nad naturą domu, najlepiej własnego, i odwrotnie: kto chciałby przemyśleć głębiej fenomen domu, domostwa i zadomowienia, musiałby zacząć od refleksji nad migracją. Zadomowienie nie jest bowiem negacją, lecz negatywem migracji, czego dowodzi nomadyzm: szalona próba pogodzenia domu i ruchu, która – jak przekonuje film „Nomadland" Chloé Zhao z 2020 r. – skazana jest na marginalizację w świecie ufundowanym na osiadłości. Tym, co wymyka się dialektyce domu i migracji, jest jedynie bezdomność: stan człowieczeństwa poza domem i poza ruchem, stan absolutnego braku nadziei i braku obietnicy, stan, który w każdym calu zaprzecza fundamentalnemu prawu człowieka do bezpiecznego życia. Bezdomność to unieważnienie migracji, którą można zasadnie nazwać niezgodą na bezdomność. Nie to jest skandalem naszych czasów, że ludzie muszą migrować, ale to, że nadal są ludzie (i jest ich coraz więcej), którzy migrować nie mogą, bo nie mają skąd, bo pozbawieni zostali domu – skromnej nadziei na tymczasową nieśmiertelność.

© MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Potrójne narodziny

KAROLINA RAKOWIECKA-ASGARI

U Madjidi klasyczne wątki irańskiej literatury emigracyjnej to jedynie elementy układanki, z której powstaje „francuskość". Pisarka nie czuje się już zawieszoną między kulturami migrantką. Jej książka opowiada o stawaniu się Francuzką i Iranką zarazem.

Literatura diaspory irańskiej we Francji dzieli się na persko- i francuskojęzyczną. Ta pierwsza skupia się zazwyczaj (istnieją bardzo interesujące wyjątki) na doświadczeniu imigracji i wspomnieniach, jak choćby proza Goli Taraghi, tłumaczona z perskiego na polski przez Dorotę Słapę („Sen zimowy", wyd. Książkowe Klimaty). Odnoga francuskojęzyczna próbuje natomiast w przystępny sposób opowiedzieć Iran zachodniemu czytelnikowi, jak robi to na przykład Marjane Satrapi („Persepolis" w tłumaczeniu Wojciecha Nowickiego, wyd. Egmont Polska; była gościnią Festiwalu Conrada w 2010).

Książka Maryam Madjidi „Lalka i Marks" (z francuskiego przełożyła Magdalena Pluta, PIW) nie mieści się w żadnym z tych nurtów.

Francuzka i Iranka

Co prawda znajdziemy w niej scenę przypominającą jedno z opowiadań Taraghi, w której matka z córką, świeżo upieczone imigrantki, przyglądają się zabawie dzieci w paryskim parku jak przez szybę, czując się przy tym obco. Znajdziemy też w jej prozie postać silnej babci (strażniczki tradycji rodzinnej) i wujka-opozycjonistę, mozolnie żłobiącego w więzieniu pamiątkę dla siostrzenicy, czyli jak u Satrapi. U Madjidi będą to jednak elementy bricolage'u, który składa się z wielu irańskich fragmentów, przybierających szczególną postać nowej francuskości. Bo Madjidi nie czuje się już zawieszoną między kulturami migrantką. Jej książka opowiada o stawaniu się Francuzką i Iranką zarazem.

Frapujący tytuł powieści nie jest przypadkowy. Madjidi wie, jak uwodzić czytelnika. Jej opowieść – migotliwa i autobiograficzna zarazem – jest osadzana w przejmująco zmysłowym doświadczeniu dziecka, chłonącego dookolny świat całym sobą. Trudną rzeczywistość porewolucyjnego Iranu Maryam dosłownie wyssała z mlekiem matki, a wręcz doświadczyła jej jeszcze w matczynym brzuchu podczas ucieczki z łapanki na uniwersytecie. Maryam rodzi się do świata rozpiętego między komunistyczną rewolucyjnością rodziców a tradycyjną wizją świata babci. W dziecięcej perspektywie ta skrajnie spolaryzowana rzeczywistość składa się z naładowanych uczuciami obrazów. „Piszę ciebie", „Piszę tobą" – zwraca się narratorka do matki, a tymi pierwszymi doświadczeniam rządzi matrylinearność. Mężczyźni stoją krok dalej.

Jak w irańskim kinie, uniwersalność doświadczenia dziecka uwypukla ekstremalność sytuacji, w której się znalazło. W pieluchach Maryam rodzice przemycają bibułę, ulubieni wujkowie znikają z dziecięcego świata, trafiając do więzienia i na rozstrzelanie. Fascynacja rodziców Marksem i innymi komunistami rodzi oczekiwanie, że pięcioletnia córka rozda okolicznym dzieciom swoje lalki. Do posiadania nie należy się przyzwyczajać, a rodzina i tak wybiera się na wygnanie do Francji.

Kawałki światów

Tam, gdzie doświadczenie przelewa się poza zwykły język opisu, nawet ten najbardziej sensualny, Madjidi wplata fragmenty bajek, opowieści, listy do bliskich. Taka pokawałkowana narracja, ułożona z fragmentów pozornie anegdotycznych, jest charakterystyczna dla irańskiej tradycji. Doceniano walory dydaktyczne takiej formy, ale także widziano w niej sposób przekazu treści mistycznych, niemożliwych do wyłożenia wprost. Pojedyncze historie traktowano jak anegdoty zdolne

JOEL SAGET / AFP / EAST NEWS

MARYAM MADJIDI (ur. 1980) – francusko-irańska pisarka, która przyszła na świat w Teheranie, lecz opuściła Iran w wieku sześciu lat i zamieszkała w Paryżu, a następnie w Drancy. Spędziła cztery lata w Pekinie i dwa lata w Stambule jako nauczycielka języka francuskiego, a obecnie uczy go małoletnich uchodźców oraz cudzoziemców. Jest autorką książki „Lalka i Marks" (przeł. Magdalena Pluta, PIW, 2018) wyróżnionej Nagrodą Goncourtów za debiut powieściowy w 2017 r. oraz nagrodą Ouest-France Étonnants Voyageurs 2017. W 2021 r. ukazała się jej kolejna książka „Pour que je m'aime encore". Ponadto opublikowała dwie powieści dla młodzieży. Od stycznia 2023 r. Maryam Madjidi jest felietonistką tygodnika „L'Humanité".

odkryć coś z prawdy absolutnej, okruchy nie z tego świata. Doskonałym przykładem jest „Masnawi" Dżalaloddina Rumiego, którego pierwsza księga ukazała się w polskim przekładzie Alberta Kwiatkowskiego (wyd. Imprint Media).

W dzisiejszej irańskiej literaturze rozczłonkowanie narracji pomaga unikać cenzury i służy badaniu wielowymiarowej tożsamości. Podobnie jak w przypadku innych cech prozy Madjidi, ta fragmentaryczność jest w pełni czytelna jako uniwersalna kategoria literacka, ale zarazem wnosi aurę perskości. Niczym fraza, od której tradycyjnie zaczynają się perskie bajki: „Ktoś był, kogoś nie było, poza Bogiem nie było nikogo" (*Jeki bud, jeki nabud, gheir az choda hiczkas nabud*), której ślad słychać w tytułach pierwszych rozdziałów Madjidi: „Był sobie kiedyś brzuch matki" czy „Był sobie kiedyś głos babci". A do tego przeżycia bohaterki nabierają kształtów dopiero w kalejdoskopie relacji. Podobna forma zostaje utrzymana w dalszym ciągu książki, chociaż narracja dostosowuje się do zmieniającej się świadomości dorastającej bohaterki.

Maryam, wyrosła w innej kulturze języka i opowieści, opiera się żywiołowi francuskości. Fatalnie znosi szkolną politykę asymilacji, odrzuca francuską kuchnię, odmawia mówienia w nowym języku. Sugeruje to już tytuł rozdziału „Walka języków", gdzie pisze tak: „Perski to smyczek, który wprawia w drżenie struny twego ciała", ale to także „język ↦

↦ wygnania, wykorzenienia i głębokiej traumy". A jednak francuski oferuje przynależność, perski to wyobcowanie. „Drugie narodziny" następują w chwili przyjęcia tego pierwszego i odrzucenia drugiego.

Świat persjanistyczny

Nie jest to zwykłe wchłonięcie dokonywane przez język centrum, ale porzucenie jednego świata językowego na rzecz drugiego. Irańczycy wybitnie przyczynili się do rozwoju piśmiennictwa w języku arabskim, aczkolwiek perski stosunkowo szybko stał się drugim najważniejszym językiem świata muzułmańskiego. Funkcjonował jako *lingua franca* w tak zwanym świecie persjanistycznym, obejmującym obszar od Anatolii, przez Kaukaz, aż po część Indii. Przez wiele wieków literatura perska chłonęła kultury lokalne, a przywiązanie do tradycji językowej, obok religii, stanowiło podstawowe źródło tożsamości wielkiej wspólnoty użytkowników języka perskiego.

Tworząc zręby nowoczesnego kraju, szach Reza Pahlawi dążył do konsolidacji kulturowo i etnicznie zróżnicowanego społeczeństwa. Podstawą tożsamości narodu stał się język perski, który jako jedyny otrzymał status urzędowego. Wieloetniczny dorobek znacjonalizowano. Dyskryminacja językowa utrzymała się po rewolucji 1978/79 r., chociaż ludność perskojęzyczna to zaledwie około połowy mieszkańców Iranu. Gdyby Madjidi była na przykład irańską Azerką (człowiek, u którego pracuje ojciec Maryam, to Azer, w polskim przekładzie nazywany „Irańczykiem tureckiego pochodzenia"), chodziłaby do szkoły, w której lekcje prowadzi się po persku, mimo że nikt z klasy nie znałby tego języka.

Rozdarcie pomiędzy lokalną, domową tradycją językowo-kulturową a persyfikacją przestrzeni publicznej, zmagania z balastem wielkiej tradycji i poszukiwania własnej nowoczesności w kontrze do tej zapożyczonej z Zachodu, to tematy, z którymi siłuje się od lat perska literatura współczesna. Mówiąc inaczej, zajmuje ją tożsamość irańska – złożona i wielokulturowa. Polski czytelnik odpryski tej wielokulturowości znajdzie w niedawno wydanej powieści „Jutro Wielkanoc" Zoi Pirzad – irańskiej Ormianki (z perskiego przełożyła Anna Krasnowolska, wyd. Austeria). Natomiast w obliczu kultury

> Tam, gdzie doświadczenie przelewa się poza zwykły język opisu, nawet ten najbardziej sensualny, Madjidi wplata fragmenty bajek, opowieści i listy do bliskich. Taka pokawałkowana narracja, ułożona z fragmentów pozornie anegdotycznych, jest charakterystyczna dla irańskiej tradycji.

> I choć w Paryżu czuje się jak w domu i nie chce wyjeżdżać, dopiero z odległości, mieszkając w kraju trzecim, układa sobie ostatecznie relacje między perskością a francuskością.

i języka francuskiego ta wielość zlewa się w „perskość". Charakterystyczne, że dziś w samym Iranie „Pers" (Fars) mówi się o tych, dla których perski jest pierwszym językiem. Określenia tego nie używają sami „Persowie", tylko przedstawiciele mniejszości.

Nauka własnego języka

Perskość Madjidi jest więc zjawiskiem, które wytwarza się wobec francuskości i wobec dominacji francuskiego. „Trzecie narodziny" będą oznaczały więc uznanie obu tych żywiołów. W międzyczasie Maryam uczy się wykorzystywać swoją perskość: uwodzić z pomocą czaru orientalnej tajemnicy i poezji Chajjama. W prowokacyjnym fragmencie opisuje grę ze współczesnymi orientalistami w rozumieniu Edwarda Saida – wielbicielami czarownego i kolonialnego obrazu Wschodu. Być może sama nie do końca wolna jest od tego zauroczenia.

Jako studentka ponownie uczy się własnego języka. W ramach studiów nad literaturą porównawczą sięga po klasyczne teksty. Do pewnego stopnia udaje jej się odzyskać tę część siebie, ale nie na tyle, by rozumieć ze słuchu wiersz Hafeza, recytowany przez taksówkarza w Teheranie, do którego wreszcie po latach znów trafia. To znacząca scena. Klasyczna literatura perska, zwłaszcza poezja, są nadal żywe. W Iranie czy Afganistanie ludzie recytują ją w taksówkach, uważają za źródło prawd życiowych. Odcięcie od języka perskiego jest bardzo głęboką separacją od kultury. Z podróży do Iranu Madjidi układa kolejny barwny *bricolage*, ale jest to najmniej osobista, najbardziej zapośredniczona i anegdotyczna część książki. Choć czuje się tam jak w domu i nie chce wyjeżdżać, dopiero z odległości, mieszkając w kraju trzecim, układa sobie ostatecznie relacje między perskością a francuskością.

Gdyby pisarka nie przyjechała z Iranu do Francji jako mała dziewczynka, nie byłoby tej książki. Być może sama nigdy nie zaczęłaby pisać, a może realizowałaby swój talent w Teheranie, z niewielką szansą na polski przekład. Gdyby mimo wszystko się go doczekała, nie byłaby Maryam Madjidi, tylko Mariam Madżidi. Perski często przegrywa dziś walkę z językami zachodnimi.

Ale Madjidi nie jest irańską pisarką. Jest pisarką francuską, której oryginalne migracyjne doświadczenie wnosi nową jakość do francuskiej kultury. I właśnie między innymi za to w 2017 r. otrzymała Nagrodę Goncourtów w kategorii „pierwsza powieść".

© KAROLINA RAKOWIECKA-ASGARI

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się spotkanie z **MARYAM MADJIDI**, które poprowadzi Karolina Rakowiecka-Asgari. Z urodzoną w Teheranie, a mieszkającą na co dzień we Francji pisarką będziemy rozmawiać o długim i skomplikowanym procesie wchodzenia w nową kulturę, a także o odzyskiwaniu kultury rodzimej, z którą po wyjeździe z Iranu Madjidi straciła kontakt. Czy można żyć w rozpięciu między dwoma językami i kulturami, nie wybierając żadnego z nich jako głównego? Jak uwolnić się od tego, co wydaje się najważniejsze, by zyskać dystans potrzebny do tworzenia opowieści?

Języki francuskiej literatury

MAŁGORZATA SZCZUREK

Jury Nagrody Goncourtów bardzo szybko musiało nauczyć się balansować na cienkiej linie między premiowaniem młodości i najlepszej książki roku, jak sobie tego życzył fundator, a budowaniem prestiżu nagrody poprzez konsekrowanie uznanych już twórców.

Wrzesień 1987 r. Do paryskiego autobusu linii 27 wsiada starszy mężczyzna wyglądający na przybysza z Maghrebu. Spostrzega siedzącego w środku pisarza. Podchodzi do niego i z szerokim uśmiechem ściska mu dłoń, jakby się znali od dawna. „I jak, zdobędziemy ją?" – pyta z entuzjazmem. Zaskoczony pisarz nie rozumie, o co chodzi, ale mężczyzna wyjmuje z torby na zakupy jego książkę. Wtedy wszystko staje się jasne. Pisarz wpisuje autograf, a mężczyzna w podziękowaniu daje mu tabliczkę czekolady. Sprawa, która budzi w nim tyle emocji, to nominacja do Nagrody Goncourtów dla „Świętej nocy", której autorem jest Tahar Ben Jelloun.

Wspominając to zdarzenie na łamach „Le Monde" już po otrzymaniu nagrody, pisarz zaznaczył, że ów mężczyzna, którego twarzy nigdy nie zapomni, zapewne ledwie umiał czytać. W jego prostym „zdobędziemy ją?" zawierało się jednak wszystko: potrzeba identyfikacji, reprezentacji i uznania, podziw dla rodaka, któremu udało się wybić w kraju dawnego kolonizatora, pragnienie ponadklasowej wspólnoty. Ciesząc się z wyróżnienia, Ben Jelloun dodał, że przyjmuje je z pokorą, myśląc o swoich literackich mistrzach, takich jak Kateb Yacine, Mohammed Dib czy Driss Chraïbi, którzy powinni zostać nagrodzeni już wcześniej. A zatem rzeczywiście: zdobyli ją.

Anty-akademia

Zdarzenie z autobusu linii 27 pokazuje coś jeszcze: nagroda literacka, zwłaszcza tak znana i prestiżowa jak Nagroda Goncourtów, nie jest wyłączną sprawą literatów, choć przyznaje ją ściśle określone grono dziesięciorga pisarzy i pisarek. Ma ona konkretny wymiar społeczny, polityczny i ekonomiczny. I nawet jeśli jurorzy i krytycy wolą rozmawiać o walorach literackich wyróżnianych dzieł, nie mogą ignorować faktu, że działają w obszarze, w którym krzyżują się interesy i potrzeby rozmaitych grup. Nagroda już u zarania była zresztą pomyślana jako element wpływu na francuski rynek książki. Kiedy Edmond Goncourt określał w testamencie ramy działania stowarzyszenia i zasady przyznawania nagrody, nie myślał jedynie o tym, jak najlepiej uwiecznić nazwisko – własne i brata, z którym przez kilkadziesiąt lat pisał dziennik i prowadził salon literacki.

Równie ważne były wzmocnienie niezależności własnego środowiska literackiego i pomoc dla młodych twórców, którzy nie mogli utrzymać się z pisania. Działo się to w okresie intensywnego rozwoju przemysłu prasowego i wydawniczego, po pierwszej fali popularności powieści, która w kręgach skostniałej Akademii Francuskiej wciąż jednak pozostawała gatunkiem mało cenionym. Realiści i naturaliści zaczęli więc tworzyć własne salony i instytucje, bo tylko w taki sposób mogli wywalczyć sobie uznanie i prawo do artystycznej i finansowej niezależności.

Nic zatem dziwnego, że ukonstytuowana ostatecznie w 1903 r. Akademia Goncourtów stała się swoistą anty-Akademią Francuską: nie mieli do niej wstępu politycy ani możni, była zarezerwowana dla dziesięciu pisarzy, z których ośmiu wskazał w testamencie Edmond Goncourt. Dopiero w 1910 r. do akademii wybrano pierwszą kobietę, Judith Gautier, a w 1945 r. drugą – Colette. Do dziś zresztą skandalicznie mało kobiet, bo zaledwie trzynaście, zostało uhonorowanych tym wyróżnieniem, a w jury od niedawna zasiadają cztery. Początkowo wyłącznie męski skład grona Akademii rozsierdził pisarki skupione wokół pisma „La vie heureuse" i już w następnym roku utworzyły one własną nagrodę, nazwaną później Femina, która do dziś pozostaje – obok Prix Renaudot – ważnym elementem francuskiego pejzażu literackiego.

Nagroda Goncourtów oprócz honorów oznaczała także spore honorarium – 5 tys. franków (jurorzy otrzymywali roczne wynagrodzenie w wysokości 6 tys. franków). Miała być wręczana za najlepsze dzieło prozatorskie opublikowane w danym roku, odznaczające się oryginalnym stylem i śmiałością formalną, i – najlepiej – napisane przez młodego twórcę. W tym założeniu krył się pewien trudny do usunięcia paradoks – czy bowiem często się zdarza, że najlepsza w roku powieść lub zbiór opowiadań wychodzi spod pióra młodego twórcy, a nie doświadczonej pisarki lub pisarza? Jak zauważa Sylvie Ducas w książce „La littérature à quel(s) prix", jury bardzo szybko musiało nauczyć się balansować na cienkiej linie między premiowaniem młodości i najlepszej książki roku, jak sobie tego życzył fundator, a budowaniem prestiżu nagrody poprzez konsekrowanie uznanych już twórców.

Kto, kogo i za co?

Nierzadko właśnie próba pogodzenia tych sprzecznych celów stawała się zarzewiem sporów i zaciętych dyskusji w łonie jury i opinii publicznej. Jednym z najgłośniejszych był oczywiście spór o nagrodę dla Marcela Prousta, który nie został doceniony za „W stronę Swanna", a kiedy ↦

Paule Constant

Françoise Chandernagor

Christine Angot

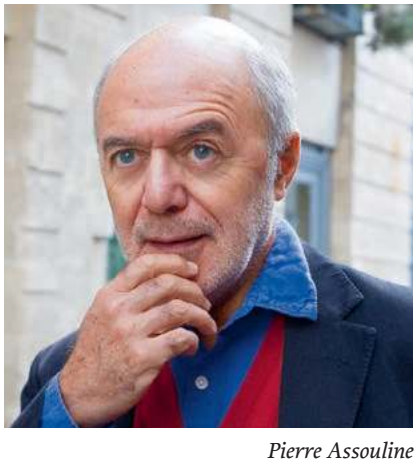

Pierre Assouline

Camille Laurens

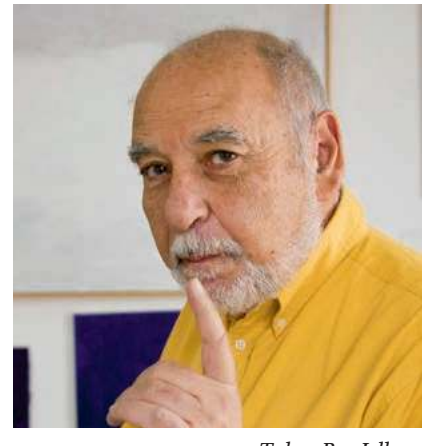

Tahar Ben Jelloun

Philippe Claudel

Nagroda Goncourtów

W tym roku po raz pierwszy w historii jury **NAGRODY GONCOURTÓW** (w pełnym – dziesięcioosobowym – składzie) będzie obradować w Polsce, w gościnnych progach **FESTIWALU CONRADA**. Trzeciego dnia Festiwalu (środa 25 października) rada jurorska dokona ostatniej selekcji książek i na specjalnej konferencji prasowej ogłosi krótką listę (cztery utwory), spośród których później wyłoniona zostanie tegoroczna książka-laureatka. W naszym programie znajdą się wydarzenia związane z Nagrodą Goncourtów, które uświetnią 25. rocznicę ustanowienia jej lokalnej wersji, która pod nazwą „Lista Goncourtów: polski wybór" przyznawana jest przez studentki i studentów filologii romańskiej z rodzimych uczelni (ogłoszenie werdyktu polskiego wyboru od lat odbywa się w ramach Festiwalu Conrada). ©

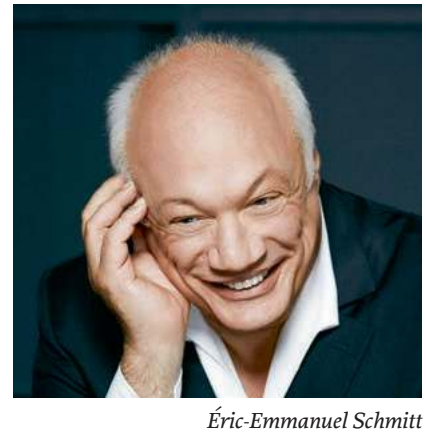

Éric-Emmanuel Schmitt

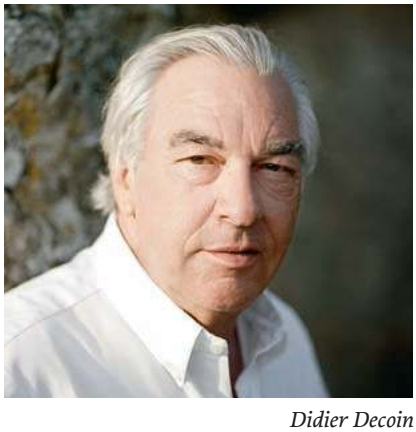

Didier Decoin

Pascal Bruckner

INSTYTUT FRANCUSKI / KBF X11

ukazał się drugi tom jego cyklu, „W cieniu zakwitających dziewcząt", cieszył się już sławą, sporym majątkiem i był grubo po czterdziestce. Właśnie zakończyła się Wielka Wojna i w szranki z powieścią Prousta stanęła książka „Les Croix de bois" 33-letniego Rolanda Dorgelèsa, w której opisywał on wojenne doświadczenia swojego pokolenia. Jurorzy byli rozdarci: nagrodzić młodego pisarza, który daje świadectwo, czy docenić arcydzieło uznanego mistrza? Jak wiemy, nagrodę zdobył Proust, tymczasem młody pisarz wyznał w liście do przyjaciela, że przegrana z Proustem była najlepszym, co mogło mu się w życiu przydarzyć – inaczej nie wybaczyłyby mu całe pokolenia. Nie zmienia to faktu, że nazajutrz po ogłoszeniu werdyktu część lewicowej prasy, która solidaryzowała się z młodym twórcą, obwieściła, że wygrał starzec i pupilek snobów. O ile jednak przegrany autor zachował umiar i żartobliwy dystans, o tyle jego wydawca nie odpuścił sobie znanej nam i dziś manipulacji: na książce umieścił opaskę z wielkim napisem Nagroda Goncourtów, a małymi literami dodał: cztery głosy kontra sześć.

Nie jedyny to raz, kiedy w łonie Goncourtów rozgorzał spór o to, czy nagradzać historyczny fresk, czy intymną opowieść. Ostatnia edycja nagrody także bardzo mocno podzieliła jury, które wybierało między powieścią „Le Mage du Kremlin" Giuliano Da Empoli a „Vivre vite" Brigitte Giraud – ta wygrała dopiero w czternastej turze głosowania, dzięki podwójnemu głosowi, który posiada przewodniczący jury.

Jednym z mechanizmów budujących emocje wokół nagrody jest właśnie podawanie do publicznej wiadomości liczby głosowań oraz ujawnianie, kto z jurorów stawiał na daną książkę. Zdarza się, że jurorzy wygłaszają zdanie odrębne, jak uczyniło kilkoro z nich, wypowiadając się przeciwko nagradzaniu Michela Houellebecqa, którego odbiór jest we Francji dużo bardziej zniuansowany niż w Polsce.

Zdarzyło się jednak i tak, że sam autor nie życzył sobie nagrody, a jednak przyznano mu ją wbrew jego woli, demonstracyjnie wskazując na fakt, że wydane dzieło żyje własnym życiem, w oderwaniu od autorskiego „ja". Julien Gracq nagrodzony siłą za „Brzegi Syrtów" kilka miesięcy wcześniej opublikował pamflet pod znamiennym tytułem „La littérature à l'estomac", w którym potępiał samą ideę nagród literackich jako targowiska, gdzie kupczy się literaturą, podczas gdy ta zamiast medialnego zgiełku wymaga wyciszenia i intymnej lektury. Jednocześnie utyskiwał na Francuzów, którzy uwielbiają dyskutować o literaturze, chociaż się na niej nie znają: „niektóre nazwiska rzucone w rozmowie wywołują u [Francuza] natychmiastową reakcję, jakby chodziło o jego życie albo sprawy osobiste – dotykają go do żywego – należą one do tematów, na które nie może się nie wypowiedzieć". Tytuł tekstu miał być między innymi aluzją do posiłków, podczas których jurorzy nagród rozprawiają o książkach, jakby w ocenie literatury liczyły się głównie celebra i smak.

Narady jury Goncourtów to rzeczywiście cały rytuał. Jurorzy spotykają się w każdy pierwszy wtorek miesiąca (z wyjątkiem sierpnia) w tej samej restauracji Drouant, by podczas wspólnego obiadu rozmawiać o książkach (skojarzenie ze znanymi nam obiadami czwartkowymi jest jak najbardziej uzasadnione, bo to tradycja oświeceniowa). Każdy ma swoje numerowane miejsce przy stole i sztućce z wygrawerowanymi inicjałami. Jak można przeczytać na oficjalnej stronie nagrody, pomysł grawerunków pojawił się w 1961 r. i zdaniem ówczesnego przewodniczącego jury, znanego nam już z przegranej z Proustem Rolanda Dorgelèsa, miał symbolizować, do jakiego stopnia jurorzy czują się ze sobą blisko związani; po francusku *copain* (kolega) to ten, który wspólnie z nami spożywa *pain* (chleb). Goncourt, tworząc przyszłą akademię, sam wskazywał na tradycję literackich *cénacles*, czyli dosłownie wieczerników, podczas których dyskutując w wąskim kręgu o literaturze, niejako święci się jej imię. Stąd już tylko krok do swoistej sakralizacji pisarza, o której z przekąsem pisał Barthes w swoich „Mitologiach" – tym trwalszej, im bardziej próbuje się literata z owej świętości odrzeć.

10 euro

Osobnym tematem pozostają finanse akademii. Lata 70. przyniosły kryzys, a wraz z nim upadek wielu fortun. Przepadł także majątek nagrody. Nadszedł czas, by zreformować akademię i zasady jej działania. Podjął się tego Hervé Bazin, który od 1973 r. był przewodniczącym jury. Zaczął aktywnie poszukiwać funduszy i źródeł dofinansowania. Nagroda przybrała symboliczną formę 40 franków, obecnie 10 euro. Jak to możliwe, że nie zniweczyło to jej wagi i prestiżu? Udało się to dzięki sile instytucji i rynku książki oraz masowemu czytelnictwu. (Dla porządku trzeba tu dodać, że jednym z zarzutów stawianych Akademii jest nagradzanie książek publikowanych przez kilka największych wydawnictw; nagroda dla powieści Mohameda Sarra opublikowanej we francusko-senegalskiej koedycji to chlubny wyjątek).

Przyznanie Nagrody Goncourtów sprawia, że książka sprzedaje się – i to szybko – w nakładzie od 250 tys. do 450 tys. egzemplarzy. Aby jednak nagroda miała taką nośność, potrzebna jest promocja. Nie może ona pozostawać sprawą wąskiego kręgu wtajemniczonych, trzeba ją – odwrotnie niż chciał Gracq – zdemokratyzować. Jak to zrobić, nie porzucając idei dziesięciorga jurorów? Poza Paryżem ustanowiono nagrody w osobnych kategoriach – biografii, poezji, zbioru opowiadań, debiutu. Zaczęto ogłaszać publicznie kolejne odsłony listy nominowanych książek (najpierw, we wrześniu piętnaście tytułów, potem osiem, cztery i w końcu na początku listopada ten jeden) oraz podgrzewać wokół nich medialną atmosferę.

Najciekawszym ruchem było utworzenie w 1988 r. – wspólnie z siecią księgarń Fnac i ministerstwem edukacji – Nagrody Goncourtów przyznawanej przez licealistów. W całej Francji w wybranych pięćdziesięciu klasach debatują oni na temat tej samej listy tytułów, co paryskie jury, po czym wskazują swojego laureata lub laureatkę. W międzyczasie biorą udział w specjalnie dla nich organizowanych spotkaniach z osobami nominowanymi, które traktują je bardzo poważnie. Ponieważ Hervé Bazin był wielkim zwolennikiem otwarcia nagrody na świat, zrodził się pomysł stworzenia jej zagranicznych edycji. Jest ich już 35, pierwszą była obchodząca w tym roku 25. rocznicę edycja polska – studentki i studenci romanistyki z całej Polski ogłaszają swój wybór podczas Festiwalu Conrada.

W zeszłym roku utworzono nową, bardzo szczególną odsłonę nagrody – będzie ona przyznawana przez

↦ penitencjariuszy zakładów karnych. W pierwszej edycji 500 osób przebywających w 31 więzieniach czytało, dyskutowało i w końcu wybrało najlepszą ich zdaniem książkę – to intymna proza szwajcarskiej autorki Sarah Jollien-Fardel o wydobywaniu się z traumy rodzinnej przemocy...

Kolonialny ciężar

Co interesuje nas tu najbardziej, jury Nagrody Goncourtów coraz częściej dostrzega, że najwybitniejsze dzieła literatury tworzonej w języku francuskim powstają nie tylko w metropolii, lecz także daleko poza nią. I że ta literatura mówi wieloma głosami. Głosami z Antyli (Patrick Chamoiseau, „Texaco"), Libanu (Amin Maalouf, „Skała Taniosa"), Afganistanu (Atiq Rahimi, „Kamień cierpliwości"), Maroka (Leïla Slimani, „Kołysanka"), Senegalu (Mohamed Mbougar Sarr, „Najskrytsza pamięć ludzi"). Rację miał Tahar Ben Jelloun, od 2008 r. sam zasiadający w jury Nagrody Goncourtów, gdy przypominał, że podobne uznanie należało się pisarkom i pisarzom poprzednich pokoleń. W symboliczny sposób hołd oddaje im także Mohamed Sarr – fabuła jego wręcz ostentacyjnie metaliterackiej powieści osnuta jest wokół poszukiwań pewnego genialnego afrykańskiego pisarza, po którym zaginął wszelki ślad. Nawiązuje w niej do losów dwóch twórców, którzy jako jedyni zostali wcześniej docenieni przez francuski establishment literacki: René Maranta (Nagroda Goncourtów, 1921) i Yambo Ouologuema (Nagroda Renaudot, 1968). Obaj zapłacili za to wysoką cenę – spadły na nich niebywale rasistowskie ataki, przy czym drugi został dodatkowo oskarżony o plagiat.

Sarr świetnie ukazuje ambiwalencję i napięcia wpisane w obarczoną kolonialnym ciężarem relację twórców literatury spoza metropolii i jej odbiorców. Z humorem też rozbraja miny, które mogłyby mu wybuchnąć pod stopami: o ile pisarze poprzednich pokoleń czuli się „zamknięci w spojrzeniu innych, w spojrzeniu-gnieździe os, spojrzeniu-sieci, spojrzeniu-bagnie, spojrzeniu-zasadzce, które wymagało od nich, by byli autentyczni – to znaczy odmienni – a zarazem podobni – to znaczy zrozumiali" (przeł. Jacek Giszczak), o tyle ci dzisiejsi dają się nieraz uwieść złudzeniu uniwersalizmu. Tymczasem pisarze i pisarki powinni móc pisać tak, jak chcą, niezależnie od miejsca, z którego pochodzą, i koloru skóry. Czy to zbyt wygórowane oczekiwanie?

> Literatura może się przyczynić do dekolonizacji nie tylko jako wyjątkowo subtelne narzędzie poznania, ale również jako przestrzeń emancypacji, gdzie wybrzmieć mogą niesłyszane dotąd głosy i opowieści. To miejsce, w którym da się przetestować nowe formy współistnienia.

> Przyznanie Nagrody Goncourtów sprawia, że książka sprzedaje się – i to szybko – w nakładzie od 250 tys. do 450 tys. egzemplarzy. Aby jednak nagroda miała taką nośność, potrzebna jest promocja. Nie może ona pozostawać sprawą wąskiego kręgu wtajemniczonych, trzeba ją zdemokratyzować.

Niewygodne pytania można też zadać jurorom i publiczności. Czy w uznaniu dla literatury spoza metropolii nie kryje się nuta postkolonialnej fascynacji egzotyzmem, potrzeba uspokojenia sumienia albo pewien gest kulturowego zawłaszczenia? Jak sądzę, tego rodzaju wątpliwości pozostaną w mocy tak długo, jak długo żywe będą rany po kolonializmie, a metropolie będą utrzymywały swoją przewagę kosztem Południa. To znaczy – dopóki nie dojdzie do prawdziwej dekolonizacji wszystkich obszarów wiedzy, kultury, polityki. Rzecz w tym, że literatura może się do tej dekolonizacji przyczynić. Nie tylko jako wyjątkowo subtelne narzędzie poznania, które pozwala wejść w skórę drugiej istoty i pogimnastykować wyobraźnię. Także dlatego, że jest przestrzenią emancypacji, pozwala wybrzmieć niesłyszanym dotąd głosom i opowiedzieć o ich losach. I że potencjalnie stwarza miejsce, w którym dałoby się przetestować nowe formy współistnienia – choćby wyobrazić sobie świat wolnych ludzi, w którym nie ma już granic ani paszportów, w którym mieszają się wszystkie języki, ustanawiają nowe relacje między bytami, pojawia się nowa forma wspólnoty...

Czy zatem zasadne jest pytanie o to, czy i co nowego wnosi do kultury literatura pisana po francusku przez pierwsze, drugie lub trzecie pokolenie migrantów albo autorki i autorów żyjących w Haiti, na Antylach, w Afryce Subsaharyjskiej lub w Maghrebie? I czy rzeczywiście różni się ona istotnie od literatury metropolii? Oczywiście tak, ponieważ inna pisarska perspektywa zmusza do łamania rygorów języka, który stoi na straży opresyjnych norm, zmienia stosunek do tradycji literackiej i przypisywanych jej wartości, sposobów obrazowania, systemu odniesień, kształtu i znaczenia metafor, wyrażanych doświadczeń. Oczywiście nie, to znaczy nie wyłącznie ona, ponieważ dobra literatura zawsze konfrontuje nas z inną perspektywą, odmienną wrażliwością, w świadomy sposób posługuje się językiem.

Wydaje się jednak, że pomiędzy tymi literaturami istnieje pewna drobna, ale wyczuwalna różnica, o której wspomina jeden z bohaterów powieści Sarra, podczas ciągnącej się do późna w nocy dyskusji o książkach. Tą różnicą jest stawka, o którą toczy się gra. „Trzeba się zachowywać tak, jakby literatura była czymś najważniejszym na ziemi; czasem może się zdarzyć, rzadko, ale jednak, że tak właśnie jest" – mówi młody afrykański pisarz. Coś na ten temat miałby zapewne do powiedzenia także niepiśmienny mężczyzna z autobusu linii 27, który pewnego wrześniowego dnia poprosił pisarza o autograf.

© MAŁGORZATA SZCZUREK

Nie ma przeszłości bez wyobraźni

TOMASZ PINDEL

Przy pomocy społecznie zaangażowanej literatury Nona Fernández mierzy się z przeszłością swojej ojczyzny. A także z jej teraźniejszością, bo zdaniem wielu pinochetowski porządek polityczny trwa w Chile w najlepsze.

W sierpniu 1984 r. do redakcji tygodnika „Cauce" wszedł mężczyzna, który poprosił o rozmowę z dziennikarką Mónicą González. Przedstawił się jako Andrés Valenzuela Morales, aktywny agent tajnych służb. Postanowił opowiedzieć o wszystkim, czego był świadkiem i aktywnym uczestnikiem, czyli o uprowadzeniach, przesłuchaniach, torturach, zabójstwach i pozbywaniu się ciał przeciwników reżimu, określanych mianem „zatrzymani zaginieni". Jego zeznania zostały zweryfikowane i potwierdzone, mężczyzną zajęli się działacze Wikariatu Solidarności – katolickiej organizacji broniącej ofiar reżimu. Został wywieziony autobusem do Argentyny, a stamtąd poleciał do Europy. Dopiero wtedy, w lipcu następnego roku, tygodnik opublikował treść tej wstrząsającej rozmowy. Na okładce rzeczonego numeru widniała fotografia Valenzueli Moralesa, młody mężczyzna z wąsem, a powyżej tłustym drukiem słowa „YO TORTURÉ" – „TORTUROWAŁEM". Oczywiście wiadomo było, że takie rzeczy dzieją się w rządzonym przez wojskową juntę Chile, ale tym razem ujawniono zeznania przedstawiciela aparatu represji, niemożliwe do zanegowania.

Andrés Valenzuela to pod pewnymi literackimi względami bohater wręcz wymarzony – człowiek, który dosłownie splamił się krwią swoich ofiar i był częścią opresyjnej machiny reżimu, ale w końcu, męczony wyrzutami sumienia, pękł i ujawnił wiele drastycznych przypadków porwań i morderstw. Dlatego też jego historia stała się ramą powieści „Strefa mroku" (polskie tłumaczenie Agaty Ostrowskiej ukazało się w wydawnictwie AtRage, 2022), jedynej wydanej u nas książki autorki, a zarazem najgłośniejszy jej tytuł. To dzięki niemu przeszła ostatecznie z kategorii „obiecująca" do pierwszej ligi współczesnej latynoskiej prozy.

Nona mówi „nie"

Na świat przyszła jako Patricia Paola Fernández Silanes, ale nikt tych oficjalnych imion nie używa, a sama zainteresowana podpisuje się zawsze jako Nona. Podobno rodzina nazywała ją tak w dzieciństwie, bo jedynym słowem, jakie przez dłuższy czas z upodobaniem powtarzała, było stanowcze „*no*", czyli „nie". Wychowała się w Santiago de Chile, tam też kończyła szkoły, w tym wyższą teatralną. Ze sceną związana jest od wczesnej młodości, zarówno jako aktorka, jak i autorka tekstów. W tym środowisku poznała też Marcela Leonarta, scenarzystę i reżysera filmowego oraz teatralnego, z którym ma syna Dantego – ten pierwszy pojawia się w książkach Nony jako M., ten drugi jako D. Pracowała także dla telewizji, pisała scenariusze telenowel (np. kryminalnego „El laberinto de Alicia"), ale znana jest także z produkcji podejmujących tematy związane z historią i społeczeństwem Chile, przede wszystkim „Los archivos del cardenal", serialu opowiadającego o losach ofiar reżimu, wspieranych przez Wikariat Solidarności, łącznie 24 odcinki. Jako pisarka zadebiutowała w 2000 r. tomem opowiadań „Cielo" (Niebo), potem wydała jeszcze sześć powieści, jeden tom eseistyczny „Voyager" (choć w tym wypadku różnica gatunkowa wydaje się czysto umowna) oraz dwie sztuki teatralne. „Strefa mroku" została wyróżniona Premio Sor Juana Inés de la Cruz (nagroda z gatunku mało komercyjnych i wysoce prestiżowych) i doczekała się sporej liczby przekładów.

O swojej pierwszej powieści „Mapocho" (2002; tytuł odnosi się do rzeki płynącej przez Santiago de Chile) powiedziała: „Ta książka narodziła się, kiedy zobaczyłam zdjęcie trzech martwych ciał w rzece, na wysokości ulicy Pío Nono. Obraz miał straszną siłę i na początku chciałam się dowiedzieć, kim byli ci ludzie, opowiedzieć ich historie, poznać ich życie. Ale szło mi fatalnie, bo nie miałam wtedy żadnych narzędzi. Jako detektywka byłam przeciętna, jako dziennikarka tak samo i jedyne, co mi zostało, to użyć fikcji. (...) I tak narodził się pomysł, żeby przepracowywać historię albo wręcz ją zawłaszczać, a potem formułować na nowo i odczytywać w sposób daleki od oficjalnego".

Jej teksty układają się w spójną całość, a powracające motywy i koncepty są nieustannie rozwijane. „Mapocho" to formalnie jeszcze dość klasyczna powieść, gdzie leżąca w trumnie narratorka snuje opowieść o dziejach rodziny, o ucieczce i kazirodczej fascynacji. Niemniej narodowe dzieje pokazywane są tu w typowy dla całego jej pisarstwa, wywrotowy sposób. Niemniej kolejne książki nie mieszczą się już w gatunkowych szufladkach, gdyż styl Fernández skręcił w stronę detektywistyczno-dziennikarską, a do tego podlewany bywa autofikcjonalnym sosem.

Historia i popkultura

W końcowych partiach „Strefy mroku" Fernández przywołuje przebój Billy'ego Joela „We Didn't Start the Fire", którego tekst stanowi wyliczankę postaci, miejsc, tytułów i sloganów podsumowujących historię XX wieku. Sama również proponuje coś w rodzaju chilijskiego (choć nie aż tak hasłowego) wariantu owej wyliczanki, poczynając od zamachu stanu ↦

ULISES RUIZ BASURTO / EPA / PAP

NONA FERNÁNDEZ (właśc. **PATRICIA PAOLA FERNÁNDEZ SILANES**, ur. 1971) – jest aktorką i pisarką, autorką licznych powieści, scenariuszy i sztuk teatralnych. Uhonorowana prestiżową chilijską nagrodą literacką Premio Municipal de Literatura de Santiago. Dwukrotna finalistka National Book Award. Po polsku ukazała się jej powieść „Strefa mroku" (przeł. Agata Ostrowska, ArtRage 2022), która znalazła się w finale National Book Award w kategorii „literatura w przekładzie" i zdobyła nagrodę Premio Sor Juana Inés de la Cruz przyznawaną za najlepszą powieść hiszpańskojęzyczną napisaną przez kobietę.

↦ w 1973 r. i śmierci prezydenta Allende, aż po zgon Augusta Pinocheta w 2006 r.

Wszystkie jej powieści (i esej) pełne są historii, przede wszystkim tej najnowszej. Wyjątkiem jest „Mapocho", gdzie fabuła sięga czasów hiszpańskiego podboju i pojawiają się w niej choćby Pedro de Valdivia, pierwszy gubernator Chile, oraz Lautaro, przywódca Mapuczów stawiających opór konkwistadorom – obaj pokazani w bardzo niepomnikowy sposób. Podobnie „Chilean Electric" (2015), gdzie opowiada między innym o elektryfikacji Santiago, będącej dowodem na gospodarczą potęgę kraju. W jej książkach w ogóle często też powraca motyw problematycznych (historycznie) relacji z Peru, jako że antyperuwiańskość w Chile jest poniekąd tym, czym antyniemieckość w Polsce – dla pewnych grup to część narodowego DNA. Niemniej przeważa historia najbliższa, czyli dyktatura i czasy, które nastąpiły po jej obaleniu. W epilogu do „Space Invaders" (2013) pada sformułowanie o „dzieciństwie w okupowanym kraju" i nie jest to przesada, bo dla pokolenia Nony reżim był rzeczywistością zastaną. Pisarka miała trzy lata, kiedy doszło do puczu, ale przecież dzieci także wyłapują sygnały, że dzieją się rzeczy niebezpieczne i złe.

Fernández opisuje konkretne przypadki represji i państwowego terroryzmu. W „Strefie zmroku" mamy ich cały katalog, w „Space Invaders" fabuła kręci się wokół tzw. sprawy *degollados* („zaszlachtowanych", chodzi o morderstwo trzech opozycyjnych działaczy w roku 1985), „Voyager" (2019) podejmuje wątek dwudziestu sześciu osób zamordowanych na pustyni Atakama przez tzw. Karawanę Śmierci. Co rusz przywołane zostają także inne kluczowe, choć mniej krwawe, wydarzenia z dziejów najnowszych, na przykład plebiscyt konstytucyjny z 1980 r., a potem ten z 1988 r., po którym Pinochet oddał (poniekąd) władzę, albo scena uroczystego pochówku Salvadora Allende z 1990 r. Nie mamy tu jednak do czynienia z przyspieszonym kursem dziejów Chile, tylko z refleksją nad historią wciąż żywą. Może i Pinochet odsunął się na bok w 1988 r., a zmarł 18 lat później, ale narzucona przez juntę konstytucja i społeczny porządek wciąż trwają. Istnieje nadzieja na zmianę, aczkolwiek schłodziła ją nieco zeszłoroczna klęska referendum konstytucyjnego.

Dlaczego chilijskie zmagania z historią są u Nony nie tylko fabularnie strawne, ale wręcz fascynujące? Po części zapewne dlatego, że pisarka przepuszcza je przez popkulturę. Już rzut oka na tytuły po-

zwala to dostrzec: „Strefa mroku", czyli „Twilight Zone", to znany (u nas nie za bardzo) amerykański serial z niesamowitymi opowieściami albo „Space Invaders", czyli tytuł starej gry komputerowej – powieści Fernández roją się od nawiązań, aluzji, cytatów. Można w nich znaleźć inne teksty literackie, ale też komiksy, telewizję, kino, muzykę, gry. Pojawiają się też – dobrze autorce znane – telenowele (bohaterka „Fuenzalidy", powieści z 2012, jest scenarzystką telewizyjną).

To oczywiście bardzo atrakcyjne, ale nie (tylko) o atrakcyjność tu chodzi. Autorka używa popkulturowych motywów jako nośnych metafor. Typowym konceptem z „Twilight Zone" (i innych opowieści niesamowitych) jest istnienie świata równoległego, chaotycznego i groźnego, który sporadycznie przebija się do naszej spokojnej rzeczywistości, budząc lęk i przerażenie. Chile w epoce junty wyglądało podobnie, a zwykli ludzie od czasu do czasu stawali twarzą w twarz z niewyobrażalnym horrorem. Na przykład taka scena: mężczyzna rzuca się pod autobus, krzycząc, że po niego idą. W tym momencie pojawia się kilku innych, pakują tamtego siłą do samochodu i znikają równie raptownie, jak się pojawili. Mógłby z tego powstać odcinek serialu. Rzecz w tym, że działo się to naprawdę, a ów świat równoległy to świat tajnej policji, represji i terroru.

A tak rolę literatury widzi sama Nona: „Byliśmy dotąd bardzo nieśmiali, straszliwie nieśmiali, i ciągle robiliśmy uniki, a ja sądzę, że tu trzeba się wykazać i przyjąć aktywniejszą rolę w dialogu kulturowym, z pozycji pisarskich i intelektualnych, rolę, która przełoży się na nasze konkretne teksty. Dużo jest wciąż bardzo mieszczańskiej literatury, takiej malutkiej, bardzo zamkniętej (...). Dużo jest wstydu, dużo lęku, że coś się straci. I dużo apolityczności; całe pokolenia dorosły bez politycznej refleksji na temat ich otoczenia".

Intymność

Osoby czytające prozę Fernández nie tylko zanurzają się w historii jej ojczyzny – obserwują też, uczestniczą wręcz, w prywatnym życiu autorki. Nona opowiada o babci, matce, mężu, synu, a przede wszystkim o sobie – z przeszłości i teraźniejszości. Czasowniki w pierwszej osobie plenią się tu na potęgę. Ale znów:

Nona opowiada o babci, matce, mężu, synu, a przede wszystkim o sobie – z przeszłości i teraźniejszości. Fernández używa swojej prywatności przede wszystkim po to, żeby pokazać, jak bardzo to, co historyczne, polityczne i społeczne dotyka nas osobiście.

Pamięć plus wyobraźnia, ta druga wspiera tę pierwszą, bo przecież trzeba sobie wyobrazić to, czego się nie widziało, co znamy tylko z relacji, żeby móc tak naprawdę zrozumieć przeszłość.

nie jest to po prostu autobiografizm – Fernández używa swojej prywatności przede wszystkim po to, żeby pokazać, jak bardzo to, co historyczne, polityczne i społeczne dotyka nas osobiście. Kiedy w „Strefie mroku" zestawia poranną krzątaninę własnej rodziny z taką samą krzątaniną rodziny Weibel Barahona, to po to, by suchy fakt uprowadzenia ojca tejże rodziny owego poranka 1976 r., w autobusie, krótko po śniadaniu, stał się czymś namacalnym i odczuwalnym.

Anegdoty z życia prywatnego pozwalają też czasem pokazać jak w soczewce pewne istotne kwestie. W „Voyagerze" na przykład pisarka opowiada z dumą o swoim synu, który podczas szkolnej akademii miał wygłosić przemówienie o demokracji w Chile. D. napisał tekst samodzielnie, skonsultował z klasą, ale grupa nauczycieli, zapoznawszy się z jego treścią, zaczyna wywierać nacisk, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, by może jednak przemyślał i wykreślił kilka zdań. Bo po co być takim stanowczym, tak radykalnym, czyż nie mamy teraz demokracji i harmonii, czyż tak mocne stawianie sprawy nie przypomina w stylu tych, których krytykujemy, czyli antydemokratycznych członków junty? Czy w imię zgody nie warto spuścić z tonu? Szkolny epizod znakomicie ilustruje mechanizmy blokujące debatę we współczesnym Chile, tę fałszywą równowagę, która okazuje się tak naprawdę kneblem.

Z kolei punktem wyjścia do „Chilean Electric" jest opowieść babci narratorki/ /autorki, która wspomina, jak to będąc dziewczynką poszła na uroczystość uruchomienia elektrycznego oświetlenia na centralnym placu Santiago. Relacja kobiety obfituje w detale, jedna tylko rzecz się nie zgadza: plac Broni oświetlono w 1883 r., a babcia urodziła się w 1908...

Dla Nony Fernández to jednak nie problem, bo bardziej niż o samą przeszłość chodzi jej o pamięć o niej. O pamięć subiektywną, osobistą, zwodniczą; pamięć prywatną, rodzinną i publiczną – o opowieści familijne, w których relacje z oficjalnych wydarzeń splatają się z gawędami babci i wizytami w Muzeum Pamięci, a macierzyńskie doświadczenia z projektami upamiętniającymi ofiary reżimu. Pamięć plus wyobraźnia, ta druga wspiera tę pierwszą, bo przecież trzeba sobie wyobrazić to, czego się nie widziało, co znamy tylko z relacji, żeby móc tak naprawdę zrozumieć przeszłość.

„Uruchamiam wyobraźnię i dopowiadam niedokończone historie, rekonstruuję okaleczone opowieści" – czytamy w motcie „Strefy mroku". – „Uruchamiam wyobraźnię i wskrzeszam ślady ostrzału". © TOMASZ PINDEL

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się debata z udziałem **NONY FERNÁNDEZ** i **MARTÍNA KOHANA,** którą poprowadzi Aleksandra Lipczak. Będziemy rozmawiać o specyfice południowoamerykańskich dyktatur (chilijskiej i argentyńskiej) i ich wpływie na historię konkretnych krajów oraz sposób funkcjonowania dzisiejszych społeczeństw. Czy przeszłość została przepracowana? Jak się o niej dziś mówi, a jak powinno się mówić, żeby rany nie były rozdrapywane, tylko zaleczone? W jakim stopniu XX-wieczne dyktatury wciąż wywołują migrację ludzi w Ameryce Południowej?

Normalność w czasach terroru

MARTÍN KOHAN

Chcemy wierzyć, że gdy bolesne fakty wychodzą na jaw, sprawy zostają wyjaśnione. Jednak dyskusje, które wydawały się dawno zakończone, nagle wybuchają na nowo. Taka jest dynamika społecznej reprodukcji przeszłości. I bynajmniej nie jest to dynamika postępu.

ALEKSANDRA LIPCZAK: W latach 1976-1983 wojskowa junta w Argentynie doprowadziła do zniknięcia około 30 tysięcy osób. Losy wielu z nich do dziś pozostają nieznane. Powieść „Dwa razy czerwiec", której narratorem jest młody kierowca wojskowego lekarza, to próba rozliczenia z tamtymi czasami. Ukazała się w 2002 r., ale temat pamięci historycznej i rozliczeń z dyktaturą wciąż powraca w Pana książkach. Dlaczego?

MARTÍN KOHAN: Zajmowanie się pamięcią zbiorową nie oznacza kurczowego trzymania się przeszłości. Pamięć tworzy się poprzez deklinowanie teraźniejszości. Spojrzenie w przeszłość za każdym razem wywołuje inne pytania, bo wydarza się w innym momencie. To dlatego wracam wciąż do tych samych spraw, bo w gruncie rzeczy to wcale nie są te same kwestie.

Jak brzmią te pytania?

W ciągu czterech dekad, jakie minęły od upadku dyktatury w Argentynie, odbyliśmy kilka ważnych debat społecznych. Niekoniecznie miały one na celu wypracowanie akceptowalnych dla wszystkich form pamięci – raczej były to starcia odmiennych perspektyw politycznych i różnych interpretacji tego, co się wtedy wydarzyło. Pojawiały się także pytania, które nie powinny być stawiane w pierwszych latach demokracji, bo było na nie zwyczajnie za wcześnie. Jeśli chodzi o literaturę, na początku sytuowała się ona bliżej dokumentu, dawała świadectwo albo naświetlała fakty. Inne formy refleksji rozwinęły się dopiero później. Choćby te powiązane z pytaniami, które sam stawiam w wielu moich książkach, na przykład: jak to możliwe, że takie rzeczy się w ogóle wydarzyły?

Bohaterami Pana powieści o dyktaturze są postaci z dalszego planu historii: młody poborowy, wychowawczyni z męskiej szkoły średniej, jedenastoletnia dziewczynka – zwykli ludzie.

Jeśli społeczeństwo doświadczyło czegoś przerażającego, trzeba zapytać, jaki wpływ taka aberracja miała na życie codzienne, jak odcisnęła się na zwykłej egzystencji. Dziś w opowieściach o tamtych czasach przesuwany jest punkt ciężkości: w centrum nie znajdują się już świadectwa i doświadczenia ofiar, które – co zrozumiałe – przez długi czas skupiały uwagę twórców, tylko bardziej ogólne tematy, na przykład to, jak były wykorzystywane mechanizmy władzy, na jakich ideologicznych filarach wspierał się aparat represji. Takie pisarstwo wykracza już poza tradycję literatury oskarżycielskiej. To raczej nurt literatury badawczej, stawiającej pytania. Przygląda się ona funkcjonowaniu aparatu represji, bierze pod lupę jego najdrobniejsze i, zdawałoby się, błahe elementy. Gesty oskarżycielskie odnoszą się przede wszystkim do wielkich struktur i wskazują głównych aktorów politycznych państwowego terroryzmu. Kiedy jednak się od nich oddalimy, zaczynamy dostrzegać mikroelementy systemu.

I co nam to daje?

Każda wielka maszyna represji i terroru składa się z mniejszych podzespołów, a te z jeszcze mniejszych itd. Bez ich analizy nie da się zrozumieć działania całości. Postać poborowego z powieści „Dwa razy czerwiec" to dobry przykład. Taka perspektywa pozwala najpełniej przyjrzeć się relacji między strukturami dyktatury a codziennym życiem. Choć czasem trudno w to uwierzyć, nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach historycznych zwykłe życie nadal się toczy. Jak to możliwe? Czym jest w takiej sytuacji normalność? To pytania o fundamentalnym znaczeniu.

Podobnie zdaje się myśleć Nona Fernández, chilijska pisarka, z którą wspólnie wystąpi Pan podczas spotkania na Festiwalu Conrada.

Jestem czytelnikiem Nony Fernández, mam na półce wiele jej książek. Przy wszystkich różnicach, także biograficznych, łączy nas to, że oboje doświadczyliśmy dyktatur w naszych ojczyznach jako dzieci, a później nastolatkowie. Nie należeliśmy do pokolenia aktywistów politycznych, byliśmy na to za młodzi. Jako dzieci przeżywaliśmy „normalne" sytuacje, które później, już z dorosłej perspektywy, musiały wydać się nam zatrważające. Dlatego teraz stawiamy sobie podobne pytania, zwłaszcza to, jak dochodzi do normalizacji represji? Dlaczego i w jaki sposób wchłaniane są przez codzienne życie? Żadne społeczeństwo, nawet najbardziej perwersyjne, nie wytrzyma siedmiu lat aberracji. Jest więc ona efektywna tylko wtedy, gdy uda się nadać jej pozory normalności.

Jak je demaskować?

Czasem sytuacja jest prosta, na przykład gdy mamy do czynienia z torturującym i torturowaną. Wtedy wiadomo, gdzie jest dobro, a gdzie zło. Ale to, co piszę, co sam lubię czytać, sytuuje się na innej płaszczyźnie. Oczywiście nie relaty-

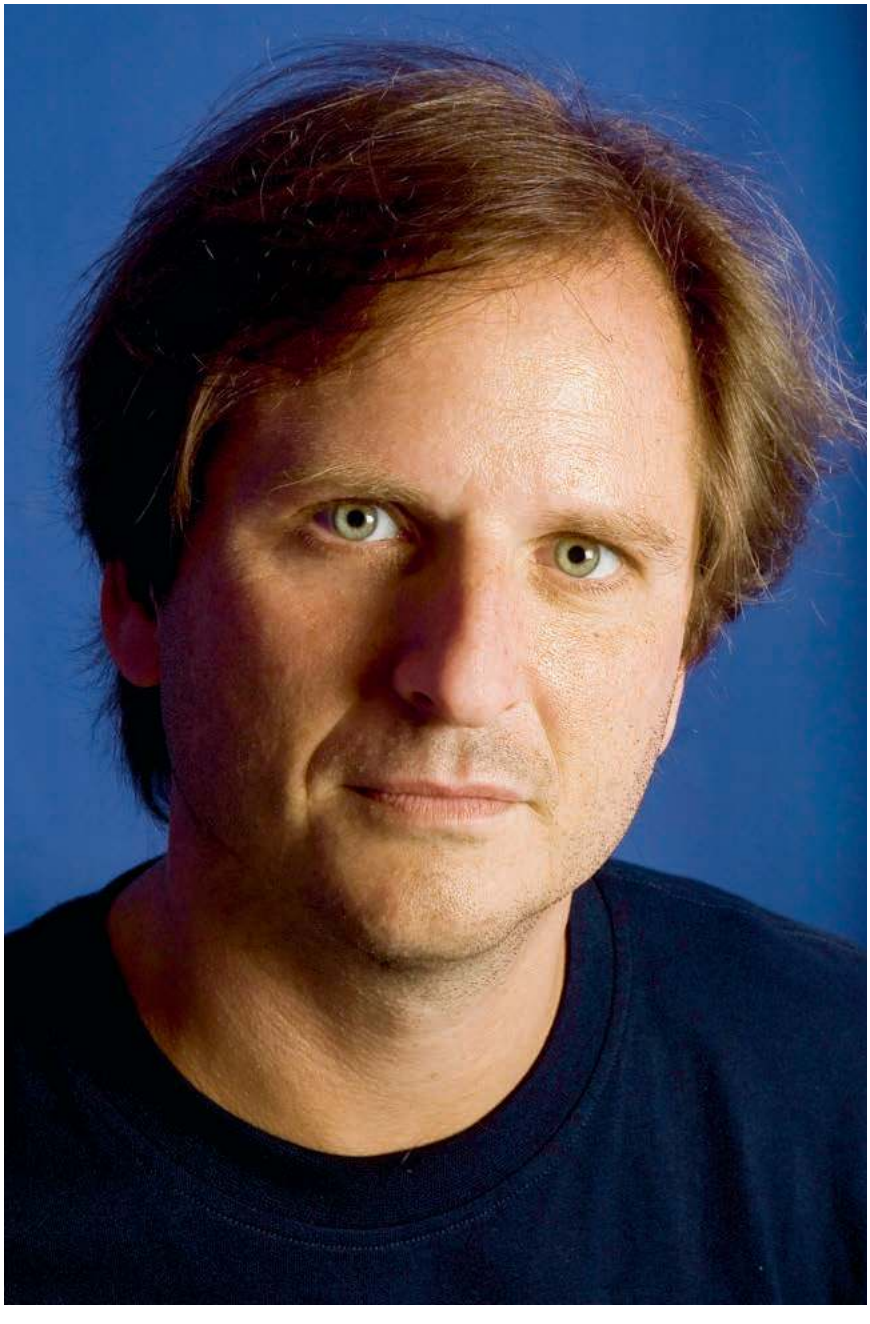

DANIEL MORDZINSKI / KBF

MARTÍN KOHAN
(ur. 1967) – jest argentyńskim pisarzem, autorem jedenastu powieści i tomów opowiadań, a także licznych esejów. W 2007 r. zdobył prestiżową Premio Herralde de Novela za książkę „Ciencias morales", w której – podobnie jak w wielu innych swoich powieściach – rozlicza autorytarną przeszłość Argentyny i współuczestnictwo zwykłych obywateli w przemocy. Po polsku ukazała się jego powieść „Dwa razy czerwiec" (przeł. Barbara Jaroszuk, Wydawnictwo Filtry). Wykłada teorię literatury na Uniwersytecie w Buenos Aires.

wizuję w żaden sposób przemocy, ale staram się omijać problem winy.

Dlaczego?

Winni są, rzecz jasna, członkowie junty. Wszyscy, którzy tworzyli represyjny aparat państwa – wojsko, policja i grupy parapolicyjne. Tu nie ma wątpliwości. Jeśli jednak na chwilę zawiesimy pytanie o dobrych i złych, pojawiają się inne kwestie. Na przykład pytanie o to, jakie społeczne warunki musiały zostać spełnione, żeby aparat represji mógł w ogóle działać.

W Pana książkach nie ma scen przemocy ani tortur. Akcja powieści „Dwa razy czerwiec" dzieje się w dużej mierze w czasie mundialu w 1978 r., więc sporo tu o piłce, składzie reprezentacji, sportowych emocjach. Przemoc i groza są obecne, ale w niedopowiedziany sposób.

To dlatego, że myślę o literaturze poza rejestrem dokumentalnym. Wydaje mi się, że są inne gatunki, które lepiej realizują ten cel: świadectwa, reportaże, teksty historyczne. Mnie interesuje pisarstwo, które ma bardziej zapośredniczoną relację z faktami historycznymi. Z drugiej strony, nie da się zaprzeczyć, że „Dwa razy czerwiec" to powieść polityczna, związana z określoną epoką w dziejach Argentyny. Nie odtwarza jednak wydarzeń, które miały wtedy miejsce, ale przygląda się temu, jak przemoc przenikała codzienne życie. Czasem działo się to płynnie, czasem dochodziło do konfrontacji. Tam, gdzie literatura zapośrednicza fakty, nie będąc ich prostym odzwierciedleniem, pojawia się pytanie o formę. To forma określa polityczny charakter tekstu. Długo zastanawiałem się, jaki kształt powinna przyjąć ta powieść. W końcu zdecydowałem się na szybki montaż i fragmentaryzację, czyli poszedłem tropem filmowym, za inspirację mając Eisensteina. Montaż krótkich kawałków daje efekt ciągłości, ale może też wywołać zgrzyt, napięcie. Kiedy przeplatam sceny z tajnego centrum zatrzymań z wyliczanką składu reprezentacji Argentyny na Mundialu w 1978 r., chcę wywołać u czytelników dyskomfort. Okazuje się, że straszliwe rzeczy mogą współistnieć z czymś tak banalnym. Polityczna jest więc nie tylko zawartość książki, informacje w niej zawarte, ale samo doświadczenie czytelnicze – ta niewygoda, którą czujemy podczas lektury, którą sam czułem przy pisaniu tej powieści.

Czy widmowy charakter, jaki przyjmuje przemoc w Pana powieściach, ma biograficzne podłoże? Wracam do tego, co powiedział Pan o doświadczaniu dyktatury jako dziecko i normalizowaniu tego, co nienormalne.

↦

↦ Pierwsza część „Dwa razy czerwiec” dzieje się w czerwcu 1978, druga w czerwcu 1982. W 1978 r. miałem 11 lat, w 1982 – 15. To, co dzieje się w książce, nie odpowiada temu, co wówczas przeżywałem. W 1978 r. śledziłem mundial. Przykro mi o tym teraz wspominać, ale Argentyna wygrała wtedy z Polską. Pamięć o tym wydarzeniu to czysta euforia. W powieści zdecydowałem się jednak opowiedzieć o wieczorze, kiedy Argentyna przegrała jeden z wcześniejszych meczów z Włochami. Akcja rozgrywa się więc w nastroju klęski, co nie odpowiada społecznej pamięci o mundialu, kłóci się z powszechną atmosferą święta i triumfu. Pisząc właśnie o tym jednym wieczorze, poszedłem pod prąd zbiorowym wyobrażeniom. Wielu miłośników piłki nożnej w Argentynie nie pamięta, że nasza reprezentacja przegrała wtedy jakiś mecz. Badanie pamięci jest najciekawsze, gdy zajmujemy się tym, co zostało z niej wyparte.

Ale to nie Pana wspomnienia?

Nie, ja byłem wtedy jedenastolatkiem, który uwielbiał piłkę nożną, i z tamtego mundialu pamiętam tylko radość i euforię. Najbardziej radykalnym gestem, jaki wykonałem w „Dwa razy czerwiec”, było właśnie oderwanie się od własnej biografii. Można więc mówić raczej o śladach autobiograficznych zawartych w powieści, a nie bezpośrednich odniesieniach.

Jak przeżywa dyktaturę dziecko?

Strach, który unosi się w powietrzu, jest dla niego wyczuwalny. Doświadcza go, ale nie posiada narzędzi, które umożliwiłyby jego interpretację. Nazywam to spojrzeniem ukośnym, poprzecznym. Nie o to chodzi, że dziecko nie widzi, co się dzieje, tylko że nie wie, co zrobić z tą wiedzą. I to jest element autobiograficzny, który rzeczywiście przeniknął do powieści.

Czy po tylu latach od obalenia dyktatury w Argentynie wciąż mamy do czynienia z zakłamywaniem historii?

Padamy ofiarą pewnego złudzenia o rodowodzie oświeceniowym. Chcemy wierzyć, że gdy bolesne fakty wychodzą na jaw, sprawy zostają wyjaśnione. Że zamykamy pewien etap debaty i przechodzimy do następnego, bogatsi o konkretną wiedzę. Tylko że to wcale tak nie działa. Dyskusje, które wydawały się dawno zakończone, nagle wybuchają na nowo. Wracają formy dyskursu, które wydawały się już zanikać. To zjawisko naturalne. Taka jest dynamika społecznej reprodukcji przeszłości. I bynajmniej nie jest to dynamika postępu.

> Polityczna jest nie tylko zawartość książki, informacje w niej zawarte, ale samo doświadczenie czytelnicze – ta niewygoda, którą czujemy podczas lektury, którą sam czułem przy pisaniu powieści „Dwa razy czerwiec”.

Przykład?

Niedługo po przywróceniu demokracji w Argentynie odbyła się debata na temat tzw. dwóch demonów. Chodziło o zrównywanie przemocy stosowanej przez organizacje rewolucyjne z terrorem stosowanym przez państwo. Tymczasem przemoc ze strony państwa to zawsze coś dużo poważniejszego niż jakakolwiek inna jej forma, właśnie dlatego, że stoi za nią państwo. O tym wtedy dyskutowaliśmy i w tym kontekście też pojawiło się to oświeceniowe złudzenie: przepracowaliśmy temat i możemy iść naprzód. Zwolennicy teorii dwóch demonów przegrali – używając sportowego określenia – ten mecz. Przez długi czas rzeczywiście byli cicho, ale później wrócili. I co? Trzeba o tym na nowo dyskutować, podważać symetryczność form przemocy, argumentować. Tym właśnie się teraz zajmujemy. Czy to frustrujące? Owszem, bo ta dyskusja już się wydarzyła. Są na to dowody: książki, badania, filmy. Ale tak już jest. Dyskusje o przeszłości wracają, jakby nigdy się nie wydarzyły. Mimo to nie można się poddawać.

Trafiłam na nagranie, które parę lat temu obiegło internet. W płomienny sposób odpowiada Pan w nim politykowi twierdzącemu, że „zniknięty” w czasie dyktatury było tylko 8 tysięcy.

Dyskusja o liczbach ma znaczenie, bo dotyka samej istoty zjawiska *desaparecidos*, czyli właśnie zniknięty. Istnieje fundamentalna różnica między zniknięty a zmarłymi. Gdyby rządzący informowali o sytuacji i losie każdego z zatrzymanych – ujawniali, gdzie znajdują się ciała i wydawali je bliskim – wtedy moglibyśmy mówić o okresie przemocy i o jego ofiarach. Ale wydarzyło się coś innego. Więc kiedy w debacie pojawiają się argumenty, które sugerują, że mamy do czynienia po prostu ze zmarłymi, jest to fałszowanie rzeczywistości. Ignoruje się wówczas sam charakter zbrodni. Nie mamy tu bowiem do czynienia z morderstwami, a zaginięciami do dziś niewyjaśnionymi. Nie ma ciał, więc rodziny nie mogą odwiedzać grobów swoich bliskich. To samo dotyczy niemowląt uprowadzonych w czasie dyktatury, których tożsamości nigdy nie udało się zweryfikować. To kluczowy element terrorystycznej działalności państwa: brak informacji. Ta niewiedza stała się impulsem do powołania grupy Matek z Placu Majowego, które w przestrzeni publicznej domagały się informacji o losach swoich dzieci.

Skąd wiadomo, że zniknięty było 30 tysięcy?

Ta liczba nie jest arbitralna. Wynika z kalkulacji, które częściowo opierają się na liczbach dostarczonych przez samych oprawców, a częściowo z szacunków na podstawie liczby tajnych centrów zatrzymań. Jest to rodzaj żądania. To pytanie: gdzie są ciała? Gdzie są porwane dzieci? Podawanie mocno zaniżonej, „zamkniętej” liczby zaginionych to kłamstwo, bo nie da się zamknąć tej sprawy. Oprawcy ustanowili pakt milczenia, którego nie sposób przełamać do dziś.

© Rozmawiała ALEKSANDRA LIPCZAK

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się debata z udziałem **NONY FERNÁNDEZ** i **MARTÍNA KOHANA**, którą poprowadzi Aleksandra Lipczak. Będziemy rozmawiać o specyfice południowoamerykańskich dyktatur (chilijskiej i argentyńskiej) i ich wpływie na historię konkretnych krajów oraz sposób funkcjonowania dzisiejszych społeczeństw. Czy przeszłość została przepracowana? Jak się o niej dziś mówi, a jak powinno się mówić, żeby rany nie były rozdrapywane, tylko zaleczone? W jakim stopniu XX-wieczne dyktatury wciąż wywołują migrację ludzi w Ameryce Południowej?

Nieopowiedziane historie kobiet

SYLWIA CHUTNIK

Oksanen przekonuje, że sztuka i literatura nie tylko rozbudzają w nas empatię, ale pomagają też spojrzeć na świat z cudzej perspektywy, dzięki czemu zyskujemy dostęp do tych sfer rzeczywistości, które do tej pory były skryte przed naszym spojrzeniem.

Kiedy w 2009 r. Sofi Oksanen została jednogłośnie wybrana Osobowością Roku w Estonii przez dziennik „Postimees", redaktor naczelny nazwał ją „nieoficjalną ambasadorką kulturalną Estonii". Ciekawe, bo autorka mieszka w Finlandii i pisze po fińsku. Skąd więc ta nagroda? Odpowiedź jest prosta: mama jest Estonką, a tata Finem. I głównie o tych dwóch krajach Sofi pisze w swoich powieściach. Poza tym trudno jest umiejscowić ją w jednym miejscu, przecież tyle podróżuje. Nic dziwnego, bowiem jej książki przetłumaczono na ponad pięćdziesiąt języków, a ona sama nazywana jest literackim fenomenem swojego pokolenia. Słynie z ostrych sądów wypowiadanych bezbłędną angielszczyzną. A kolorowe dready i mocny, gotycki makijaż, kojarzące się raczej z *true crime* niż powieściami obyczajowymi, są jej wizytówką.

Większość książek Oksanen ma wspólny mianownik: w centrum stawiają kobiece doświadczenie. Pisarka jest mistrzynią opowieści, w których wydarzenia splatają się z miejscami, dzięki czemu ma się wrażenie, że wszystko jest ważne – każdy detal i każda postać. Kolejny charakterystyczny element jej twórczości to wieloczasowość, plany równoległe oraz nawiązania do przeszłości krajów bałtyckich i ich podwójnej okupacji: przez wojska nazistowskie oraz Związek Radziecki.

Krytyka propagandy

To ważny wątek, szczególnie widoczny w powieści „Gdy zniknęły gołębie" z 2012 r. (w przekładzie Sebastiana Musielaka, ukazała się w Polsce w 2015), opowiadającej o podejmowaniu różnych strategii wobec zmieniających się systemów politycznych. Mamy tu i wojska Hitlera, i radziecką propagandę. W centrum zaś znajdują się dwie postaci: koniunkturalista Edgar oraz opozycjonista Roland. Tytułowe gołębie są symbolem różnych kolei losu, ucieczki bądź zniewolenia przez system polityczny. Pytanie, jak nie dać się schwytać, jest ważne, ale kluczowe wydaje się uwikłanie w historię, która determinuje życie i wybory ludzi zmuszonych do lawirowania w coraz to nowych realiach. W czasie pracy nad tą książką Oksanen zauważyła różnicę między sposobem, w jaki traktuje się rosyjską propagandę na Zachodzie, a reakcjami na nią w krajach bałtyckich. Uważa, że bez zrozumienia tych mechanizmów, które są częścią toczących się od dawna walk politycznych, nie jesteśmy w stanie zrozumieć dzisiejszej sytuacji.

Na Zachodzie pielęgnowane jest przekonanie, że historia jako nauka jest obiektywna i opiera się tylko na źródłach. Ale w krajach, gdzie panowała lub panuje dyktatura, historia jest zawsze dziedziną polityczną. To nie jest nowość dla osób zamieszkujących Europę Wschodnią, ale zrozumienie tego zjawiska może stanowić wyzwanie dla ludzi z Zachodu. Moskwa wymyśla fakty, aby pasowały do obrazu mitycznego supermocarstwa, a taka fikcja nie służy innym krajom. W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego", którego udzieliła Patrycji Bukalskiej po wybuchu wojny w Ukrainie, Oksanen zwróciła uwagę, że przez lata Zachód żył w iluzji, że Rosja stanie się demokratycznym krajem. Ignorowano fakty, przymykano oczy, udając, że Putin nie jest wcale taki zły. Być może przyczynił się do tego wykreowany przez rosyjską propagandę wizerunek Rosji jako „nowoczesnego państwa".

Ostatnia powieść Oksanen „Psi park" z 2019 r. (polskie wydanie ukazało się w 2022 w przekładzie Katarzyny Aniszewskiej) mówi również o tym, ile na skutek takiego podejścia straciła Ukraina. To opowieść o dwóch kobietach, Olence i Darii, które w wyniku wspólnych doświadczeń w pracy spotykają się po latach i próbują na nowo ułożyć swoje relacje. Brzmi niewinnie, ale to thriller, który konsekwentnie się rozkręca. W tle mamy nielegalne operacje, dawczynie komórek jajowych, podejrzane interesy, władzę, przemoc i nadużycia. Oksanen pisze profetycznie o ciągłym śledzeniu wiadomości po zajęciu Krymu, bo przecież „mogło się zdarzyć, że którejś nocy do obszaru Rosji dołączy cała Ukraina". Akcja powieści rozgrywa się częściowo na ukraińskim terytorium, które jest jak świat z „bajki braci Grimm". Znajdziemy tu m.in. fragment dotyczący Putinowskiej propagandy i zafałszowanych relacji aktorki wcielającej się w rolę zaniepokojonej mieszkanki Odessy czy matki kijowskiego żołnierza. Przypomina to współczesne obrazki prowojenne z wynajmowaniem osób do odgrywania konkretnych ról, w tym sobowtórów samego Putina. W innej scenie rosyjskie brygady odpoczywają pod sklepem i „przeklinają misję, która sprowadziła ich na głęboką prowincję, marzą o urlopach, o swoich dziewczynach, a potem ocierają kąciki ust, ciskają śmieci na ziemię, machają do przechodniów, wykonując gest zwycięstwa – i idą zestrzelić samolot". Banalność zła. Wręcz znudzenie nim.

Technologia, włosy i dzieci

W rozmowie, którą przeprowadziłam z Sofi Oksanen w 2018 r., mówiła, że „postmilitarne systemy mają dużo ↦

SAMPO KORHONEN / EAST NEWS

SOFI OKSANEN (ur. 1977) – jest fińską prozaiczką. Pochodzi z rodziny estońsko-fińskiej (nazywana jest ambasadorką estońskiej kultury ze względu na to, że pisze o kraju pochodzenia matki w swoich utworach). Studiowała teatrologię w Fińskiej Akademii Teatralnej. W 2009 r. została wybrana Osobowością Roku w Estonii. Autorka kilku powieści. W języku polskim ukazały się: „Gdy zniknęły gołębie", „Norma" oraz „Psi park".

↦ wspólnego z ruchami nacjonalistycznym, które obecnie rosną w siłę. Zarówno jedne, jak i drugie widzą kobietę jako tę, która ma rodzić dużo dzieci i siedzieć w domu. Bo tak było kiedyś i tak powinno być teraz. Współczesna technologia dostarcza nowych narzędzi, niestety również opresyjnych". Wątek ten obecny jest w „Psim parku", gdzie Oksanen pyta o etyczny aspekt nieograniczonego rozwoju przemysłowego. Czy sprzedaż komórek jajowych to zwykła praca, do której można zgłosić się z ogłoszenia, jak do siedzenia za kasą? Co z emocjami dawczyń i która z kobiet jest „prawdziwą" matką? A co z brakiem niezależności ekonomicznej? Na ile sposób zarabiania pieniędzy może zaważyć na naszym życiu? Pisarka przekonuje, że perspektywa ponownego zepchnięcia kobiet do sfery prywatnej jest realna. Dopóki kobieta jest niezależna ekonomicznie i pracuje zawodowo, ma wpływ na swój los. Przynajmniej większy niż ta, która jest całkowicie uzależniona od pensji męża.

Sofi opowiada o wyzwaniach, jakie rzuca nam wolny rynek, również w powieści „Norma" (2015, edycja polska wyszła w 2018 w tłumaczeniu Katarzyny Aniszewskiej), w której opisuje realia przemysłu płodności oraz nielegalnej sprzedaży włosów. Chciała napisać postmodernistyczną wersję bajki o Złotowłosej. Początkowo powstało opowiadanie, ale później Oksanen przekształciła je w pełnowymiarową powieść. Motywy przemysłu płodności i fryzjerstwa były obecne od samego początku – zostały wplecione w opowieść o córce, której matka z niewyjaśnionych powodów rzuciła się pod metro. Kiedy pisarka zaczęła zgłębiać temat handlu ludźmi, natrafiła na nieoczywiste wątki. Nie chodzi bowiem jedynie o porywanie kobiet do domów publicznych. Częścią tego zjawiska jest również nielegalna sprzedaż włosów. Ofiarą brudnego biznesu jest główna bohaterka powieści.

Oksanen przekonuje, że sztuka i literatura nie tylko rozbudzają w nas empatię, ale pomagają też spojrzeć na świat z cudzej perspektywy, dzięki czemu zyskujemy dostęp do tych sfer rzeczywistości, które do tej pory były skryte przed naszym spojrzeniem. Literatura może również przeciwdziałać polaryzacji. Ta ostatnia nie jest nowym zjawiskiem, ale dzięki mediom społecznościowym jest dziś większym problemem niż kiedykolwiek. Algorytmy faworyzują komunikaty, które napędzają emocje, gdyż właśnie na te impulsy reagujemy najbardziej. Media społecznościowe to również

sfera, w której rozgrywa się niewidzialne życie, często na krawędzi prawa. Najcenniejszym towarem są dziś dane i informacje. „Wydaje się – mówi Oksanen – że dostęp do nich jest niezbędny zarówno dla dyktatorów, autorytarnych władców, jak i medialnych gigantów. Wszyscy chcą posiąść informacje o ludziach i trzymać te informacje poza naszym zasięgiem. Dlatego jedynym sposobem na walkę jest próba przechwycenia dostępu do nich".

Dziewczyny, których nikt nie chwalił

Być może tekst o literaturze Oksanen powinien być ustrukturyzowany chronologicznie. Należałoby wówczas zacząć od jej debiutanckiej powieści „Krowy Stalina" z 2003 r. (w Polsce książka jeszcze się nie ukazała), w której temat bulimii bohaterki o imieniu Anna wpisany jest w historię sięgającą czasów okupacji Estonii po II wojnie światowej. W 2005 r. Sofi wydała drugą powieść „Baby Jane" (również nie ma polskiego tłumaczenia) oraz zaczęła pisać sztuki teatralne. W Fińskim Teatrze Narodowym w 2007 r. została wystawiona jej pierwsza sztuka „Oczyszczenie". Na jej podstawie w 2008 r. autorka napisała trzecią powieść pod tym samym tytułem (polskie wydanie opublikowano w 2010 w tłumaczeniu Sebastiana Musielaka), która dostała wiele międzynarodowych nagród, a na jej podstawie nakręcono film w reżyserii Antii Jokinena. To opowieść o dwóch kobietach, które, chociaż dzielą je pokolenia, mają ze sobą wiele wspólnego. Skrywają tajemnice – pozostałości po mrocznej przeszłości. Estonia lat 90. i ta wojenna jawią się jako okresy, w których kobiety cierpiały najbardziej nie tylko na skutek konfliktów zbrojnych (co oczywiście zbliża tę powieść do twórczości Swietłany Aleksijewicz), ale też przemocy będącej częścią patriarchalnego systemu. Kobiety żyjące w takich warunkach były poniżane i wzrastały z poczuciem, że są nic niewarte.

Powieść niesie ogromny ładunek emocji, których nie można rozładować głębokim oddechem. I chociaż posługuje się dość częstym motywem ciała kobiecego jako symbolu narodu, to narracja prowadzona jest niczym w powieści sensacyjnej. Oksanen stworzyła utwór hybrydowy: mieszankę powieści historycznej i postkolonialnej, historiograficzną metafikcję z elementami literatury świadectwa. Pisarka znakomicie oddała specyfikę języka epoki i uchwyciła zamęt, który towarzyszy wojennej zawierusze. Ważnym tematem tej powieści jest również kwestia polityki pamięci. Autorka pokazuje, jak walczyło się (i nadal walczy) o dziedzictwo kulturowe i kto ma prawo do przeszłości. Estonia była „finlandyzowana", Finlandia zaś grabiona przez Związek Radziecki. Chociaż utracono Karelię, nie zniknęła ona ani z pamięci narodu, ani z fińskiej tożsamości – była obecna w literaturze, jeśli nie bezpośrednio, to pod postacią sugestywnych symboli.

> Większość książek Oksanen ma wspólny mianownik: w centrum stawiają kobiece doświadczenie. Pisarka jest mistrzynią opowieści, w których wydarzenia splatają się z miejscami, dzięki czemu ma się wrażenie, że wszystko jest ważne – każdy detal i każda postać.

> W czasie pracy nad powieścią „Gdy zniknęły gołębie" Oksanen zauważyła różnicę między sposobem, w jaki traktuje się rosyjską propagandę na Zachodzie, a reakcjami na nią w krajach bałtyckich. Uważa, że bez zrozumienia tych mechanizmów, które są częścią toczących się od dawna walk politycznych, nie jesteśmy w stanie zrozumieć dzisiejszej sytuacji.

Na spotkaniach autorskich towarzyszących publikacji „Oczyszczenia" Oksanen podkreślała, że według niej każdy naród ma nieopowiedziane historie, w tym te, które łączą się ze współczesnością. „Mamy wolność – mówiła – więc jesteśmy też zobowiązani do obrony praw. Trzeba pamiętać, że prawa człowieka mają to do siebie, że bardzo łatwo jest je stracić, a ogromnie trudno odzyskać. Każdy krok w tył czy każde ograniczenie powinny być zdecydowanie zwalczane".

Dotyczy to również praw kobiet, konkretnych autorek, których twórczość podtrzymywała tożsamość danej grupy. Sofi lubi nosić do swoich oryginalnych strojów przypominających XIX-wieczne bluzki z bufkami również broszkę z wizerunkiem Lydii Koiduli, narodowej poetki Estonii. Drugą ważną dla niej pisarką jest Fredrika Runeberg. „Te kobiety – przekonuje – są doskonałym przykładem na to, jak równość stała się częścią tożsamości narodowej zarówno Estończyków, jak i Finów". Runeberg przez długi czas była znana jako żona fińskiego narodowego poety. Kojarzono ją co najwyżej z opowieści o jej legendarnych ciastach. Dopiero po latach zajęła należne jej miejsce w historii literatury. Oddano sprawiedliwość jej ogromnej erudycji i doceniono zaangażowanie w działalność społeczną oraz polityczną. To właśnie dzięki takim postaciom kobiety ukazywane są nie jako ofiary, nieme świadkinie zdarzeń, ale jako postaci mające wpływ na rzeczywistość. „Historię opowiadają zwycięzcy", mówi w jednej z rozmów Oksanen, dlatego należy wsłuchiwać się w głos tych, które kiedyś były systemowo zagłuszane. W ich opowieściach kryje się energia, której tak bardzo dziś potrzebujemy.

© SYLWIA CHUTNIK

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada spotkanie z **SOFI OKSANEN** poprowadzi Sylwia Chutnik. Rozmowa będzie dotyczyć historii kobiet, które były marginalizowane z powodów politycznych i kulturowych, a także sposobu, w jaki literatura fińska odnosiła się do najważniejszych wydarzeń historycznych XX wieku, które stanowią tło dzisiejszych konfliktów w Europie wschodniej, w tym agresji Rosji na Ukrainę.

DIWA NA ŻYWO

„Czekacie na królową. Ale królowa porusza się w swoim tempie. To ona decyduje, kiedy was poczęstuje. Chwytajcie za łyżki i widelce, jeśli je macie". Uczta Beyoncé odbędzie się w Warszawie.

ANNA GACEK

KEVIN MAZUR / GETTY IMAGES

Ten zuchwały komunikat, zwiastujący wyjście gwiazdy na scenę, wygłaszany jest właśnie na stadionach całej Europy. A publiczność naprawdę jest głodna, bo czekała na ten moment od października 2016 r., kiedy Beyoncé zakończyła „Formation World Tour", ostatnią solową trasę koncertową.

Kto z 60 tys. fanów, którzy zgromadzili się 10 maja w wyprzedanej do ostatniego miejsca Friends Arenie w Sztokholmie, zagapił się z rezerwacją noclegu w stolicy Szwecji, miał do wyboru tak ekscytujące opcje *last minute* jak: mieszkanie na wynajem, którego recenzja rozpoczynała się od „na ręcznikach były ślady świeżej krwi", oferowane z dziesięciokrotnym przebiciem ostatnie łóżko w sześcioosobowym koedukacyjnym pokoju hostelowym lub pięciogwiazdkowy apartament królewski na starówce, wyceniony na ponad 100 tys. koron za noc. Noc powrotu Beyoncé na scenę ściągnęła tysiące przyjezdnych z całego świata.

W dniu koncertu centrum Sztokholmu lśniło cekinami i kryształami nawiązującymi do srebrzystej oprawy graficznej płyty „Renaissance", wyróżniając członków Beyhive (jednej z najprężniejszych fanowskich społeczności) w tłumie reprezentantów powściągliwego skandynawskiego szyku. Poranne stylizacje okazały się jednak tylko wstępem do wieczornej rewii mody. Kobiety w skąpych, przejrzystych ubraniach, mężczyźni w sukienkach i na wysokich obcasach, tysiące fanów w cekinowych kapeluszach i fantazyjnych makijażach. Koncert jeszcze się nie rozpoczął, a Beyoncé już wygłosiła swój manifest. Manifest celebrowania indywidualności i wolności w wyrażaniu siebie, bez obaw i lęku.

Dziecko przeznaczenia

Czekając na bohaterkę wieczoru zastanawiałam się, kiedy dokonał się zwrot w jej trwającej ponad 25 lat karierze. Kiedy słynna piosenkarka została prawdziwą ikoną.

Publiczność poznała Beyoncé Knowles, główną wokalistkę zdobywającej globalną popularność żeńskiej grupy Destiny's Child, w 1997 r. Prowadzona przez ojca, stylizowana przez matkę, była jedną z kilku manipulowanych przez system nastoletnich gwiazdek końca lat 90. Czarnoskóra młoda kobieta w białym świecie korporacyjnego show businessu nie była tak idealnym „produktem" jak jej blond rówieśniczka Britney Spears, ale miała swoje atuty: znakomite warunki wokalne, magnetyczne ruchy, czarującą osobowość i niezaprzeczalną urodę. Była też ponadprzeciętnie pracowita, skupiona na karierze, niezainteresowana skandalami.

Gdy Spears fantazjowała w piosenkach o „byciu twoją niewolnicą", Beyoncé opowiadała w wywiadach o wierze, teksańskich skrzydełkach z kurczaka i miłości do rodziny. Zgorszona publicznym pocałunkiem Britney i Madonny podczas gali wręczenia nagród MTV w 2003 r., była reprezentantką tradycyjnej, konserwatywnej Ameryki, grzeczną dziewczynką z nienaganną reputacją, aniołkiem. W skąpych kostiumach wprawdzie, ale to w końcu show business.

Destiny's Child sprzedały ponad 60 mln płyt śpiewając feministyczne manifesty o celebracji krągłości (tytułowe określenie „apetycznego tyłeczka" z przeboju „Bootylicious" po sukcesie piosenki zostało oficjalnie wpisane do oksfordzkiego słownika języka angielskiego) i wartości finansowej niezależ-

Występ Beyoncé w ramach trasy koncertowej „Renaissance World Tour", stadion Tottenhamu, Londyn, 30 maja 2023 r.

ności. Ale dla ambitnej liderki to nie było dość. W 2003 r. Knowles wydała pierwszą solową płytę, „Dangerously In Love". Triumfalne, euforyczne trąbki promującego album przeboju „Crazy In Love" zwiastowały nadejście gwiazdy.

Płyta okazała się wielkim sukcesem, podobnie jak kolejne albumy artystki, od 2008 r. żony Shawna Cartera, Jaya-Z, nazywanego „najlepszym raperem wszech czasów". Miłość do starszego o kilkanaście lat muzyka po przejściach nie skaziła idealnego wizerunku wokalistki, stworzyła za to jedną z najpotężniejszych par Ameryki, z majątkiem liczonym w miliardach dolarów. W kwietniu 2009 r., w tekście towarzyszącym debiutowi artystki na okładce amerykańskiego „Vogue'a", reżyser Baz Luhrmann komplementował: „Wiele osób wspaniale śpiewa. Ale tylko nieliczni, Streisand, Armstrong, Callas, mają natychmiast rozpoznawalne głosy. To robi z nich prawdziwe gwiazdy muzyki, kimś takim jest Beyoncé".

Pani Carter jeszcze przed 30. urodzinami miała prawo myśleć, że osiągnęła w swojej dziedzinie wszystko. Duety z Prince'em i Tiną Turner, występy na Oscarach, inauguracji Baracka Obamy i brytyjskim festiwalu Glastonbury, gdzie była pierwszą od 20 lat kobiecą gwiazdą wieczoru. W selektywnie udzielanych wywiadach budowała wizerunek kobiety sukcesu. „Twoja doba ma tyle godzin, co doba Beyoncé" głosiły motywujące memy, przypominające, jak wiele zdobyła w tak krótkim ↦

↦ czasie. Co zostało? Nagranie wielkiego albumu.

Tymczasem w 2011 r. po raz pierwszy została matką. Macierzyństwo i odkryte dzięki niemu poczucie siły ostatecznie zamknęło pierwszy, bezpieczny etap kariery. Beyoncé miała wtedy na koncie cztery solowe albumy, ponad 100 mln sprzedanych płyt, status wielkiej gwiazdy i znakomitej performerki oraz głód, by sięgnąć po więcej. Podziękowała ojcu za menadżerskie usługi, a mamie za tandetne kostiumy marki House of Deréon. Swojej wytwórni zapowiedziała, że pracuje wyłącznie na swoich warunkach. Gotowy materiał piątego krążka położyła szefowi Sony na biurku, nie pytając go o zdanie.

Ciemna strona namiętności

Album zatytułowany po prostu „Beyoncé" ukazał się w grudniu 2013 r., zmieniając zasady rynku fonograficznego wstrząsem znanym w branży jako „Beyoncégeddon". Wydany w piątkowy poranek, bez jakiejkolwiek zapowiedzi, dostępny wyłącznie w formie cyfrowej, stał się medialną sensacją, której cytowalność szacowano na dziesiątki milionów dolarów. Niedostępny w sklepach, nagrany przez artystkę w ścisłej tajemnicy i przez nią samą sfinansowany, zrewolucjonizował promocję i dystrybucję muzyki w XXI w.

Beyoncé jako pierwsza zrozumiała, jak wielka jest wartość narzędzi autopromocyjnych najpopularniejszych wykonawców i jak bardzo nie potrzebują oni już tradycyjnych środków. Wydając album w piątek, wbrew obowiązującym zasadom „początku tygodnia", zmieniła globalny rytm fonograficzny. Jej śmiałe decyzje były przedmiotem studiów na Harvardzie i zostały docenione przez redakcję „Time'a", która zaliczyła artystkę do grona najbardziej wpływowych ludzi świata.

Jednak płyta „Beyoncé" była nie tylko marketingowym fenomenem, ale i artystyczną rewolucją. Każda z piosenek została zilustrowana teledyskiem, robiąc z wydawnictwa w pełni wizualny projekt. Dzięki doglądaniu wszystkich aspektów dzieła, Beyoncé mogła w pełni kontrolować swój przekaz. Oto bezpretensjonalna nastolatka, z którą dojrzewało całe pokolenie młodych dziewczyn, autorka hymnu „Single Ladies", w małżeństwie i macierzyństwie stała się świadomą siebie kobietą. Śpiewającą w nowych piosenkach „daj mi klapsa, stoję przyparta do drzwi" i pytającą „co zrobisz z moim tyłkiem, kiedy jest przy twojej twarzy?".

Kobiety na całym świecie odczuwały ulgę słysząc, że ich idolka mierzy się z tymi samymi problemami, a wstyd i upokorzenie zdrady zmienia na budowanie poczucia swojej wartości.

Ta seksualność nie była zaskoczeniem: Carter już wcześniej słynęła z sugestywnych scenicznych ruchów, ale zawsze oddzielała śmiałą artystkę od wyciszonej osoby prywatnej. Z wydaniem „Beyoncé" podział się zatarł. Przejście na ciemną stronę namiętności uważa się za pierwszy z trzech przełomowych momentów jej kariery.

Dziedzictwo

Kolejnym było wydanie w kwietniu 2016 r. „Lemonade", najlepszej płyty w jej dyskografii. Inspirowany życiem wokalistki concept album o małżeńskiej zdradzie, bólu i wybaczeniu, o poszukiwaniu swojej tożsamości i odbudowywaniu poczucia wartości kolejny raz ukazał się w aurze medialnej sensacji. Tym razem szokowały teksty. Chroniąca prywatność wokalistka zaskoczyła wyznaniem o problemach w idealnym na pozór związku. Pytanie, kim jest „Becky ze świetnymi włosami", domniemana kochanka Jaya ujawniona w tekście jednej z piosenek, było kwestią równie palącą, co szanse Donalda Trumpa w nadchodzących wyborach prezydenckich.

Po odkryciu na poprzedniej płycie swoich erotycznych fantazji, po skandalu na Gali MET w 2014 r., gdy jej siostra Solange z niewyjaśnionych powodów przyłożyła Carterowi torebką, Beyoncé poszła jeszcze dalej w zacieraniu idealnego wizerunku, dostarczając na nowym albumie takie teksty, jak „jeśli dobrze mnie zerżnie, zabiorę jego dupsko do Red Lobstera, bo mogę".

Ale kontrowersje i zaskoczenia nie przysłoniły najważniejszego. W roku straty największych artystów muzyki pop – Davida Bowiego, Prince'a i George'a Michaela – słuchacze dostali nowe arcydzieło gatunku. W erze streamingu, miliardowych odtworzeń pojedynczych piosenek, „Lemonade" przywróciła wiarę w wartość pełnowymiarowego wydawnictwa. Mieszanka gatunków tak różnych jak country i R&B, nagrywana z największymi, Jackiem White'em i Kendrickiem Lamarem, cytująca legendarnych Led Zeppelin i niszowych Yeah Yeah Yeahs, okazała się fascynująca muzycznie i tekstowo. I jak płyty największych, nie była tylko zbiorem znakomitych piosenek, miała też znaczenie kulturowe. Kobiety na całym świecie odczuwały ulgę, słysząc, że ich idolka mierzy się z tymi samymi problemami, a wstyd i upokorzenie zdrady zmienia na budowanie poczucia swojej wartości.

Ale „Lemonade" to więcej niż płyta złamanego serca i zniszczonej rodziny. To album zmieniających się czasów, rozpoczętego w 2013 r. ruchu Black Lives Matter, świadectwo pochodzenia, tradycji i korzeni. Celebracja afroamerykańskiej kultury, oprawiona najlepszym teledyskiem wszech czasów według redakcji „Rolling Stone'a", zachwycającym „Formation". Na kadrach zalanego wodą Nowego Orleanu i ujęciach graffiti z napisem „Przestańcie do nas strzelać" tworzyła się nowa historia czarnej Ameryki. „Formation" było najczęściej wpisywaną w wyszukiwarkę Google piosenką roku 2016.

Trzy miesiące po premierze „Lemonade" stałam na stadionie Wembley w 80-tysięcznym, w przeważającej większości białym tłumie młodych Brytyjczyków. Słowa „Formation" śpiewali jak swoje: „Mój tatuś z Alabamy, mamusia z Luizjany, zmiksuj czerń z Kreole i masz dziewczynę z Teksasu. Lubię mój czarny nos i nozdrza jak tych z Jackson Five. Nigdy się tego nie wyrzeknę, a ostry sos mam zawsze w torebce". Manifest dziedzictwa czarnoskórej wokalistki, ważniejszej wtedy od każdej białej kobiety w muzyce popularnej.

Swój status Beyoncé potwierdziła trzecim kluczowym dla kariery wydarzeniem, występem na amerykańskim festiwalu Coachella w 2018 r. Udokumentowane przez Netfliksa widowisko było oszałamiającą produkcją, efektem miesięcy katorżniczych treningów i drobiazgowych prób. Wokalistka pozwoliła kamerom śledzić przygotowania do występu, pokazać graniczącą z szaleństwem

determinację, by zaledwie kilka miesięcy po urodzeniu bliźniąt wrócić do najwyższej wykonawczej formy.

Cały pakiet rusza w trasę

„Beychella", spektakl tańca, dźwięku i historii, oglądany przez tysiące widzów na żywo i miliony przed ekranami triumf pierwszej czarnoskórej kobiecej gwiazdy największego amerykańskiego festiwalu, okazał się też wyzwaniem rzuconym wszystkim kolejnym koncertom. Jak przeskoczyć wykreowane przez siebie wydarzenie? W Sztokholmie dało się odczuć napięcie towarzyszące premierze nowej produkcji. Co zaśpiewa? W czym wystąpi? Czym zaskoczy? Potwierdzi swoją dominację czy może jej czas minął?

Pierwsze koncerty tras nie są idealne, bo nie perfekcja jest ich celem. Są operacją na żywym organizmie, sprawdzianem, co podczas miesięcy prób nie wyszło. Nieprzetarte w akcji show jest mieszanką niepewności, tremy i adrenaliny, szansą zobaczenia największych poza strefą komfortu, gdy patrzy na nich cały świat, a oni jeszcze nie wiedzą, czy i tym razem im się udało.

Beyoncé ma wiele do udowodnienia. „Renaissance", wydany w lipcu 2022 r. siódmy solowy album wokalistki, mimo znakomitych recenzji nie dorównał legendzie „Lemonade". Płyta ambitniejsza i mniej przystępna od poprzedniczki, majstersztyk sampli, hołd złożony klubowej kulturze, zauroczyła najwierniejszych fanów, ale nie przypadkowych odbiorców. Nie miała na to szans. Po dwóch w pełni zilustrowanych teledyskami albumach tym razem artystka nie zrealizowała ani jednego. Nie domknęła trylogii wielkich multimedialnych przedsięwzięć i rynek okazał uzasadnione rozczarowanie. Mimo numerów jeden na najważniejszych listach przebojów, „Renaissance" jest najgorzej sprzedającą się płytą w dyskografii artystki, niedorównującą nakładom ostatnich wydawnictw Harry'ego Stylesa, Adele czy Taylor Swift, być może największej konkurentki do tytułu popowej idolki XXI w.

Gdy Beyoncé przemierza Europę ze swoją dyskoteką, na gigantycznych amerykańskich stadionach króluje Swift, pieczętując wyprzedanymi koncertami najlepszy moment w karierze. Jest pupilką amerykańskich recenzentów, w przeciwieństwie do Beyoncé sama komponuje, a jej talent do opowiadania w tekstach historii z chwytliwymi wersami jest prawdopodobnie największy w tym pokoleniu. Chociaż to Carter zdobyła najwięcej nagród Grammy w historii – rekordowe 32 statuetki, to Swift ma już trzy w kategorii najważniejszej i najbardziej prestiżowej, dla autorki albumu roku, na co wciąż czeka Beyoncé. Jakby branża przypominała, gdzie jest jej miejsce. W szufladzie „zabawiacz mas", ale nie „artystka".

Kto rządzi światem? Kobiety. Trudno nie zgodzić się ze słowami jej przeboju, kiedy patrzy się na nią, na środku wielkiej sceny skupiającą uwagę wielotysięcznego tłumu.

Na szczęście dla niej dziś, gdy popularność wykonawców nie jest mierzona ani sprzedanymi płytami, bo nowe pokolenie ich nie kupuje, ani recenzjami, bo w dobie mediów społecznościowych każdy wygłasza swoje zdanie, a nagrody muzyczne straciły prestiż, zostają koncerty i to na scenach dzieje się współczesna historia muzyki popularnej. I to tu Beyoncé pokazuje, że nie ma sobie równych.

Linie tworzące legendy muzyki nieczęsto przecinają się w idealnym punkcie, a ona ma wszystko. Świetnie śpiewa, według „New York Timesa" „skala jej głosu sięga galaktyki". Rewelacyjnie tańczy, jak jej idolka Tina Turner. Ma przebojowe piosenki, kultowe utwory i ambitny katalog. W znaczeniu „całego pakietu" jest tylko ona. Połączenie wybitnej muzykalności i magnetycznej scenicznej osobowości jest dostępne nielicznym. Miał to Michael Jackson, na którego koncercie pięcioletnia Knowles odkryła swoje powołanie.

Czy „Renaissance World Tour" przejdzie do historii jak multimedialny rewolucyjny spektakl „Zoo TV" U2 albo „Blond Ambition" Madonny, być może najlepsza trasa wszech czasów? Prawdopodobnie nie. Ale nie historia jest celem tych koncertów. Chodzi tylko o teraźniejszość, o dobrą zabawę, poczucie wspólnoty, nie w marszach czy protestach, tylko w tańcu i szczęściu. O spotkanie artystki, która niczego nie kocha tak jak bycia na scenie, i jej fanów. Dlatego na nowej trasie nie ma supportów, wykonawców umilających publiczności czas oczekiwania na gwiazdę wieczoru. To jest show Beyoncé, która wie najlepiej, jak rozpocząć koncert. Otwierająca trzygodzinne show sekwencja ballad jest dość zaskakującym wyborem. Śpiewając rzewne wyznania miłości z pierwszych płyt staje przed nami diwa z przeszłości, jednak tym razem zwraca się nie do kochanka, ale do publiczności. „I love you, I love you, I love you" to pierwsze słowa koncertu, które w Sztokholmie śpiewała ze łzami w oczach, wyraźnie wzruszona powrotem na scenę.

Po kilku utworach znika jednak za kulisami, zostawiając przeszłość za sobą. Czas na teraźniejszość, przy ogłuszających dźwiękach sampli wchodzimy w erę „Renesansu". Mimo wszystkich wizualizacji i scenografii, pirotechniki, laserów, zmian kostiumów, układów choreograficznych, najważniejsza jest muzyka, prawdziwe instrumenty i niechowająca się za playbackiem wokalistka. Ponad 30 piosenek. „Renaissance" zagrany w całości, manifest wiary w nieco niedoceniony album. Największe przeboje, wykonywane przy ogłuszającym pisku publiczności. Covery przypominające, dzięki komu tu jest. W czasie koncertu są z nią nie tylko idole, Jackson Five, Donna Summer i Diana Ross, ale i Britney, Madonna, Grace Jones i dziesiątki innych kobiecych gwiazd. To może być dyskoteka, ale to jest też feministyczny manifest.

Kto rządzi światem? Kobiety. Trudno nie zgodzić się ze słowami jej przeboju z 2011 r., kiedy patrzy się na nią, na środku wielkiej sceny skupiającą uwagę kilkudziesięciotysięcznego tłumu, sterującą emocjami, dającą czysty eskapizm i szczęście. Po koncercie w Sztokholmie przypomniała mi się recenzja „Renaissance", napisana przez Paula z Oakland – anonimowego słuchacza, który chciał podzielić się swoim zdaniem w sieci. „Popowe piosenki na lato. Noce w miejskim parku. Linia basu, która porywa ludzi do tańca. Muzyka z duszą. Małe rzeczy, które przypominają nam, że żyjemy. I że jesteśmy w tym razem. Niektórzy mówią, że to błogosławieństwa".

Inni powiedzą, że to koncerty Beyoncé.

© ANNA GACEK

Beyoncé wystąpi na Stadionie Narodowym w Warszawie 27 i 28 czerwca 2023 r.

Tkanka życia

BARTOSZ SADULSKI

Pożegnalny dyptyk McCarthy'ego, „Pasażer" i „Stella Maris", jest dziełem nie odludka zapatrzonego w jądro ciemności, ale pisarza, który wiele lat spędził w towarzystwie naukowców badających, z czego tak naprawdę zbudowany jest świat.

O kim mówimy, gdy mówimy o człowieku, który był, a którego już nie ma?" – pyta sędzia Holden, bohater „Krwawego południka" Cormaca McCarthy'ego, powieści uznawanej za jedno z najwybitniejszych dzieł amerykańskiej literatury XX w. Pisząc o zmarłym w wieku prawie 90 lat amerykańskim pisarzu można odnieść wrażenie, że to człowiek, którego nigdy nie było: sukcesywnie odmawiał udziału w trasach promocyjnych swoich książek, odczytów, które nazywał „dziwkarstwem", i wywiadów – najlepiej czuł się na odludziu, zaszyty gdzieś na amerykańsko-meksykańskim pograniczu, w swoim hrabstwie Yoknapatawpha. Gdy pod koniec lat 70. zaczynał pisać „Krwawy południk", przeniósł się do El Paso i w południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, „ucywilizowanym" od zaledwie stu lat, znalazł idealny krajobraz dla swoich bohaterów: ślepo heroicznych, obciążonych sumieniem i bezrefleksyjnych sierot opuszczonych przez Boga.

Dłonie rzemieślnika

William Faulkner twierdził, że „nie ma czegoś takiego jak *był*, istnieje tylko *jest*. Gdyby istniało *był*, nie istniałby smutek i żal". McCarthy bardziej niż pisarzem jest pisarskim matuzalemem, przenikliwym umysłem, funkcjonującym poza czasem i przestrzenią, zainstalowanym w swoich książkach, daleko poza spojrzeniami gawiedzi, świata mediów i cyrkulacją artystycznych mód.

Na nielicznych zdjęciach, zwłaszcza ikonicznych fotografiach Marion Ettlinger, ma w sobie pewność i bezpośredniość starego kowboja, który zajrzał pod podszewkę, zstąpił do piekieł i wrócił, żeby zdać nam świadectwo. A jego ręce, jeśli się im przyjrzeć, nie są, jak pisał o swoich Thomas Bernhard, dłońmi do obejmowania, do dotykania: to narzędzia rzemieślnika, stolarza zbyt dobrego w swoim fachu, by kiedykolwiek zabrakło mu palców. „Moje ręce zajmują się myśleniem" – powiedział o swoim warsztacie w rozmowie z 1973 r., a wszystkich informacji na swój temat kazał szukać w swoich powieściach.

Pierwszego telewizyjnego wywiadu udzielił w 2007 r. Oprah Winfrey: była to jednocześnie katastrofa i odpowiedź na pytanie, jak wyglądałoby zderzenie Faulknera z amerykańską śniadaniówką. Jeden z najwybitniejszych amerykańskich pisarzy, odludek i samotnik do tego stopnia przysłowiowy, że plotkowano, iż mieszkał pod wieżą wiertniczą, nie okazał się lwem salonowym. Zborsuczony, zaległ w za małym, czarnym fotelu, z głową ciężko opartą na dłoni, i zbijał niedorzeczne pytania prowadzącej. Dokładnie tak wyobrażaliśmy go sobie wszyscy, którzyśmy znali jego mroczny dorobek, zajmujący się dramatem człowieczego istnienia we wszystkich aspektach, siłami amerykańskiej historii i funkcjami przemocy; literacki świat, w którym „śmierć wydawała się jedyną cechą krajobrazu".

Ostatni pasażer

Dziennikarka zaprosiła go do programu, gdy dziesiąta książka McCarthy'ego – „Droga" – została omówiona w jej telewizyjnym klubie książki. Przez lata wydawało się, że postapokaliptyczna powieść z 2006 r., w której miłość między ojcem i synem rzuca wyzwanie nihilizmowi, będzie codą dorobku McCarthy'ego, zwieńczeniem jego pisarskiej drogi i syntezą poetyk. Krytyk „New Yorkera" James Wood określił je jako *afflatus* i *deflatus*. Pierwsze słowo u Cycerona oznaczało potężną siłę czyniącą poetę bezradnym i nieświadomym jej pochodzenia, u autora „Krwawego południka" miałoby zaś oznaczać tryb zawadiacki i rozpasany, rozpoetyzowany i chwilami na granicy neobaroku i metafizycznej logorei. Drugi termin to „retoryka niemego wyczerpania, jakby wszystkie słowa na kacu mogły trzymać się tylko przyzwyczajeń i znajomych rzeczy": zdania surowe i beznamiętne, bezdyskusyjne w swojej prostocie. Przy ich pomocy konstruował powieści wpisujące się w nurt romansu granicznego, opowieści filozoficznej w duchu Melville'a czy Dostojewskiego i tradycji południowego gotyku oraz groteski.

Po ukończeniu „Drogi" wydawało się, że niewiele zostało do dodania i być może nie dostaniemy już od jej autora żadnej książki: powieść była inwentaryzacją szkód, jakie świat wyrządzał przez wieki sam sobie, a które McCarthy bezlitośnie zbierał i katalogował. Fragmenty z niebezpiecznej, żmudnej i nużąco systematycznej wędrówki bohaterów układały się w atlas rozpadu znanej nam rzeczywistości.

Ten trzeci styl, pomagający zachować równowagę między tym, co niesamowite i boskie, a tym, co przyziemne i zwyczajne, nie skończył się jednak wraz z „Drogą", ale został doprowadzony do doskonałości w dwóch nieoczekiwanie wydanych w zeszłym roku po szesnastoletniej przerwie powieściach McCarthy'ego": „Pasażerze" i „Stella Maris". Nieodwołalnie domknęły jego dorobek i sprawiły, że odejście ich autora można przyjąć bez tak wielkiego żalu, jaki towarzyszyłby nam, gdyby pozostały nieukończone lub wyłącznie w sferze artystycznych planów.

Faulknerowskie maniery

Zaledwie kilku współczesnych autorów stworzyło katalog tak spójny i domknięty: Philip Roth odszedł od biurka po opublikowaniu „Nemezis" i zajął się czytaniem m.in. swoich 31 książek, by sprawdzić, czy aby „nie stracił czasu", a stawiani przez Howarda Blooma razem z nim i McCarthym w jednym szeregu najwybitniejszych amerykańskich pisarzy Don DeLillo i Thomas Pynchon nadal żyją, z czego tylko dorobek tego drugiego pozostaje równie niepokaźny i zborny. Faulkner, wielki prekursor McCarthy'ego, zapowiadał w roku 1956, że jego

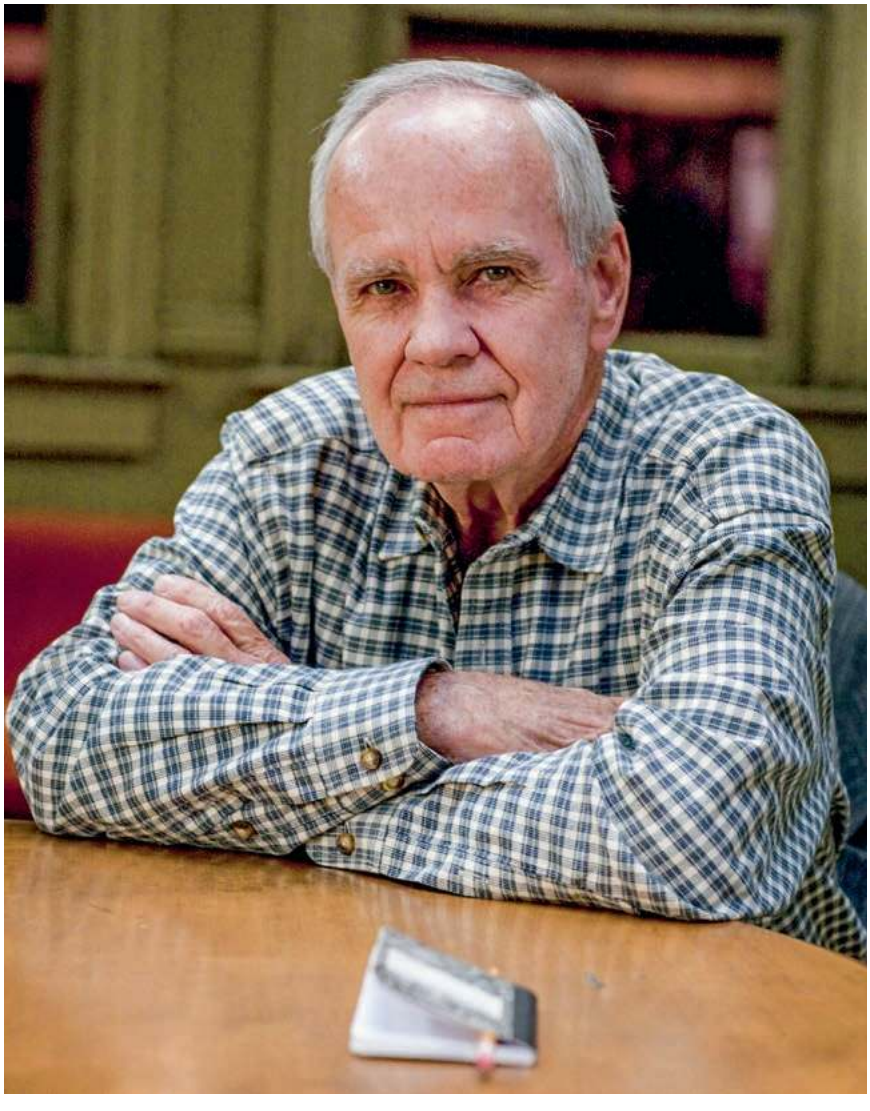

CAPITAL PICTURES / FILM STILLS / FORUM

Cormac McCarthy na planie filmu „Sunset Limited" (2011) według jego scenariusza

ostatnim dziełem, po ukończeniu którego złamie ołówek (w czym pobrzmiewają echa wyrzeczenia się magii przez Prospera w „Burzy" Szekspira), będzie Księga Sądu Ostatecznego, Złota Księga Hrabstwa Yoknapatawpha, ale badacze do dzisiaj nie są zgodni, czy wydane rok przed jego śmiercią „Koniokrady" są właśnie tym.

Podobno kiedy w młodości McCarthy adaptował starą stodołę na swój dom, wykorzystywał cegły odzyskane z domu rodzinnego Jamesa Ageego, zmarłego w 1955 r. autora wydanej także u nas, a nagrodzonej Pulitzerem „Śmierci w rodzinie". Swoje pisarstwo autor „Pasażera" oparł na fundamencie z cegieł wypalonych właśnie przez Faulknera, i to całkiem dosłownie: debiutancka powieść „Strażnik sadu" trafiła w domu wydawniczym Random House, jedynym, jaki znał młody pisarz, w ręce Alberta Erskine'a, legendarnego redaktora Faulknera, który od razu rozpoznał talent literacki oraz porażkę finansową w jednym. I nie pomylił się. Recenzujący powieść w „New York Timesie" z 12 maja 1965 r. Orville Prescott wyzłośliwiał się, że McCarthy musiał spędzić wiele czasu na obserwowaniu flory i fauny, słuchaniu rozmów ludzi ze wzgórz, nabywaniu nostalgicznej tęsknoty za społeczeństwem nie tyle poza prawem, co obojętnym na nie, oraz studiowaniu powieści Faulknera – co znalazło odbicie w wielu faulknerowskich manierach.

„Wszystkie te czynniki sprawiają, że »Strażnik sadu« jest książką irytującą. Ale cudem jest to, że pomimo nich jest to również imponująca książka" – pisał Prescott. W akcie recenzenckiej antycypacji rozpoznał u młodego autora wszystkie cechy, które przez kolejne 60 lat nie znikną, nie rozmyją się w kawalkadzie seryjnie produkowanych książek, ale ulegną wyłącznie wzmocnieniu: „McCarthy jest ekspertem w generowaniu emocjonalnego klimatu, w sugerowaniu zamiast w stwierdzaniu, w tworzeniu długiego ciągu krótkich, dramatycznych scen opisanych z błyskawicznym efektem wizualnym. Może zaniedbać motywację niektórych swoich bohaterów. Może pozostawiać pewne wątpliwości co do tego, co się dzieje. Ale pisze z ogromną mocą".

Grant dla geniuszy

Już debiutancka powieść ustaliła więc archetypy, jakie będą wiązały kolejne jego książki – nie wynikające z siebie, lecz przenikające się i czerpiące z tych samych źródeł, i otrzymała Nagrodę Fundacji Williama Faulknera za najlepszy debiut powieściowy. Kilka lat wcześniej otrzymał ją Pynchon za „V".

Wydane kolejno w 1968 i 1973 r. „W ciemność" i „Dziecię Boże" udowodniły, że wydawca i promotor McCarthy'ego miał rację. Te mroczne przypowieści o dzieciach pustyni były chwalone przez krytyków, ale brakowało im czytelników. Wczesne utwory zmarłego pisarza rozgrywały się w jego rodzinnym stanie, Tennessee, w wiejskich regionach Appalachów w pobliżu Knoxville, rejonie bezimiennych krajobrazów bogatych w obrazy i symbole; powraca tam bohater „Pasażera", by odwiedzić swoją babkę, aby przekonać się, że po przeszłości nie zachowało się niemal nic, poza popadającymi w obłęd żywymi. Nawet pisany przez 20 lat, zupełnie inny od pierwszych trzech powieści „Sutree" – wyjątkowo autobiograficzne, barokowe, dowcipne i opasłe dzieło o tytułowym wyrzutku z wyboru, pijaku i najczulszej duszy pod słońcem, o ślepcach, kalekach i fałszywych kaznodziejach organizujących chrzciny w rynsztokach, i drugiej naturze śmieci – nie był komercyjnym sukcesem, gdy w końcu ukazał się w 1979 r. ↦

↦ Aż do lat 90. żadna powieść Cormaca McCarthy'ego nie sprzedała się w liczbie większej niż pięć tysięcy egzemplarzy w twardej oprawie. Mając wybór między totalną wolnością i pozostaniem eremitą a kompromisami, postawił na to drugie, czego pewnie Faulkner by mu nie wybaczył, twierdził bowiem, że „dobry pisarz nie stara się o stypendia. Jest zbyt zajęty pisaniem" – tymczasem gdyby nie hojny system amerykańskich stypendiów, nie przeczytalibyśmy za wiele. „Krwawy południk", cykl powieści pogranicza i przeprowadzka do El Paso były możliwe dzięki „grantowi dla geniuszy": stypendium Fundacji MacArthura, które otrzymał w pierwszym roku jego funkcjonowania, było wyraźnym sygnałem, że pomimo skromnej sprzedaży i odosobnienia McCarthy zyskiwał szacunek w kręgach literackich – wśród rekomendujących go pisarzy znalazł się Saul Bellow.

Kowbojska mitologia

Oparta na faktach epicka, krwawa i fantasmagoryczna historia naturalna przemocy o bandzie łowców skalpów grasujących na amerykańskim południowym zachodzie i Meksyku w połowie XIX w. krytykowała oficjalną, zmitologizowaną historię amerykańskiej męskości i jej toksyczną narrację o przeszłości. McCarthy był jednym z pierwszych, którzy na poważnie potraktowali kowbojską mitologię: chociaż urodził się na Rhode Island i dorastał w Tennessee, to skończył na południowym zachodzie, ponieważ wiedział, że nikt nigdy o nim nie pisał: „można pojechać do wioski w Mongolii, a oni będą wiedzieć o kowbojach. Ale nikt nie traktował tego poważnie przez 200 lat. Pomyślałem, że to dobry temat." – mówił w jednym z nielicznych wywiadów. Miał rację i tchnął na nowo życie w zużytą mitologię.

Powieść sprzedała się w liczbie zaledwie kilku tysięcy egzemplarzy i stała się do tego stopnia przeoczona, że David Foster Wallace umieścił ją na liście pięciu najbardziej niedocenionych amerykańskich powieści z komentarzem „nawet nie pytajcie". W rozmowie z Gusem Van Santem nazwał ją westernem, który zakończył wszystkie westerny, i prawdopodobnie najbardziej przerażającą książką stulecia, przynajmniej jeśli chodzi o fikcję. Dopiero popularność „Trylogii pogranicza" i filmowej adaptacji „Rączych koni" w latach 90., a później znakomita adaptacja „To nie jest kraj dla starych ludzi" z pierwszej dekady XXI wieku, skierowały snop światła i wzrok publiczności na dorobek McCarthy'ego. Dodatkowo został przez Harolda Blooma wprowadzony do kanonu, z którego wyjść nie będzie mu łatwo, zwłaszcza że zdaniem autora „Lęku przed wpływem" powieści McCarthy'ego są kulminacją „pragmatycznej tradycji amerykańskiej wzniosłości". Najważniejszymi punktami odniesienia są dla niej wspominani Faulkner i Melville. Ale zdaniem Blooma nad powieściami pisanym już w El Paso przestaje się unosić duch autora „Wściekłości i wrzasku".

> Był jednym z pierwszych, którzy na poważnie potraktowali kowbojską mitologię. Oficjalną, zmitologizowaną **historię amerykańskiej męskości skrytykował.**

Arcydzieła późnego stylu

Faulkner pozostaje nieobecny w pożegnalnym dyptyku McCarthy'ego, chociaż tłem powieści jest Nowy Orlean – miasto, w którym zaczął pisać i zadebiutował jako prozaik. Noblista zostawił nam opisy rozpadającego się porządku Południa, McCarthy zaś poszedł dalej, podróżując przez pustynię poza wszelkim porządkiem, zbierając dane u kresu cywilizacji. „Pasażer" i „Stella Maris" to dzieci nie odludka zapatrzonego w moralne jądro ciemności, ale pisarza, który wiele lat spędził w towarzystwie naukowców z Santa Fe Institute, dokąd został wprowadzony przez swojego przyjaciela Murraya Gell-Manna, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. SFI stało się drugim domem McCarthy'ego: napisał zasady działania instytutu, został jego dożywotnim powiernikiem i starszym członkiem.

Gościnność dla nauk ścisłych stworzyła w powieści przestrzeń dla racjonalności, nieprzesadnie obecnej we wcześniejszych dziełach McCarthy'ego, siłujących się z egzystencjalnym chrześcijaństwem, gnostycką predestynacją i mistyką bytu. O ile wcześniej badał pierwiastki amerykańskiej i ludzkiej natury, o tyle w dwóch ostatnich powieściach zszedł na poziom bozonów i fotonów, żeby sprawdzić, z czego tak naprawdę zbudowany jest świat: z matematyki, kazirodztwa, schizofrenii, broni jądrowej, wyścigów samochodowych, grzechów ojców, psychiatrii, fizyki teoretycznej, miłości.

To znacząco poszerzyło zakres jego literackiej filozofii i zaowocowało tym, co Edward Said nazywał arcydziełami stylu późnego, w których tradycja ulega rozbiciu, rozerwaniu i rozprężeniu – także ze względu na niemożliwe do zrealizowania marzenie o całości. Historia dwojga genialnych dzieci naukowca pracującego z Robertem Oppenheimerem w ramach Manhattan Project, misterna, zawiła i poruszająca, jest jednocześnie wielką manifestacją stylu jej autora: tak jak dla Wallace'a najmniejszą jednostką literacką było słowo, a dla DeLilla akapit, tak McCarthy osiąga szczyty estetyki w domkniętych i doskonałych scenach, doskonalszych niż cokolwiek wcześniej stworzył. Ludzkie głosy u tego pisarza nie brzmiały być może nigdy tak czysto.

Co więcej, „Stella Maris" (nazwa zakładu psychiatrycznego w Wisconsin), poświęcona genialnej i szalonej Alicii, jest realizacją zadania, które męskocentryczny McCarthy postawił sobie pół wieku wcześniej: napisania całej powieści o kobiecie. Ci, którzy wątpili w jego zdolność do stworzenia interesującej kobiecej postaci, muszą przyznać, że jest ona tak samo pokręcona, jak każdy z jego idiosynkratycznych bohaterów, z jej bratem Bobbym Westernem włącznie.

„Żałoba to tkanka życia. Życie bez smutku to żadne życie. Ale żal nas więzi" – mówi jeden z bohaterów „Pasażera", jakby zapowiadając odejście swojego stwórcy. I chociaż Andrzej Sosnowski pisał, że „Śmierć autora inauguruje promocję jego nowej książki", to skoro Cormac McCarthy nigdy nie żył poza swoją literaturą, lecz wyłącznie w niej i dzięki niej, pozostanie teraz z nami na zawsze, podobnie jak żal, że w przeciwieństwie do jego bohaterów możemy mieć więcej wątpliwości, czy wracać na powierzchnię, aby dołączyć do tych, którzy rzekomo żyją w świecie normalności.

© BARTOSZ SADULSKI

Kobiety, które ośmieliły się rzeźbić

PIOTR KOSIEWSKI

W warszawskim Muzeum Narodowym można obejrzeć prace Camille Claudel, jednej z najwybitniejszych rzeźbiarek w dziejach sztuki. Nie mniej ważna jest obecność na wystawie dzieł współczesnych jej polskich artystek.

Claudel to postać legendarna. Jej dzieje zdają się potwierdzać stworzone w dobie romantyzmu, ale nadal żywe wyobrażenia o życiu artysty, które powinno przebiegać według dość prostego wzorca: odkryty wcześnie talent, niespełnione nadzieje, niezrozumienie i niedocenianie, tragiczna miłość, choroba, wreszcie śmierć. I sława przychodząca po latach zapomnienia. W rzeczywistości życie większości artystek i artystów wyglądało inaczej, jednak losy Camille można tak opisać. Co więcej: do jej czasów były to opowieści o mężczyznach. Kobiety pojawiają się w nich jako modelki, przyjaciółki, kochanki, czasem żony. Claudel była modelką. Była kochanką. Chciała być żoną, jednak przede wszystkim artystką.

Wiek dojrzały

Rodzi się w 1864 r. w niewielkiej miejscowości Fère-en-Tardenois. Podejmuje naukę w paryskiej Académie Colarossi, jednej z nielicznych szkół artystycznych dostępnych w tym czasie dla kobiet. Uczęszcza do pracowni Alfreda Bouchera, a w 1882 r. trafia pod opiekę Auguste'a Rodina, który zaczyna się cieszyć coraz większym uznaniem. Pomaga w tworzeniu jego głośnych rzeźb, ale też pozuje m.in. do „Danaidy", jednego z najbardziej zmysłowych dzieł Rodina. Zaczyna się romans uczennicy z nauczycielem.

Pracuje z Rodinem, ale tworzy własne rzeźby. Wreszcie w 1890 r. opuszcza jego pracownię – chce być żoną, a nie jedynie kochanką. Dwa lata później następuje ostatecznie zerwanie.

Przez kolejne lata artystka intensywnie pracuje. Tworzy m.in. „Wiek dojrzały", dramatyczne przedstawienie mężczyzny opuszczającego młodą kobietę. To dzieło, które – jak napisał po latach jej brat, wybitny poeta Paul Claudel – jest opowieścią o jej życiu.

Artystka wystawia, jest doceniana. Octave Mirbeau, jeden z najwybitniejszych krytyków sztuki tego czasu, napisał: to kobieta-geniusz. Jednak stan zdrowia Camille zaczyna się pogarszać – pojawiają się symptomy choroby psychicznej. W 1913 r. matka umieszcza ją w szpitalu psychiatrycznym Ville-Évrard w Neuilly-sur-Marne, a następnie w zakładzie zamkniętym Asile de Montdevergues. Spędzi tam ostatnie 30 lat życia – mimo nalegań artystki i próśb lekarzy, rodzina nie zgadza się na jej wypisanie. Umiera w 1943 r.

W 1951 r. w paryskim Musée Rodin zostaje zorganizowana pierwsza jej monograficzna wystawa. Jednak prawdziwe uznanie przychodzi w latach 80. minionego wieku. Camille staje się jednym z mitów popkultury. W 1988 r. Bruno Nuytten reżyseruje film z Isabelle Adjani w roli głównej – dzieło otrzymuje Cesara za rolę kobiecą i dwie nominacje do Oscara. W 2013 r. powstaje „Camille Claudel 1915" Bruna Dumonta z Juliette Binoche w roli tytułowej. Można nawet odnieść wrażenie, że biografia zaczęła przysłaniać dzieła rzeźbiarki. Tymczasem należą one do najwybitniejszych w historii sztuki tego czasu. Tym bardziej warto wykorzystać okazję, by zobaczyć je w Polsce.

Jej siostry

Obecność dzieł francuskiej artystki w Muzeum Narodowym nie powinna jednak przesłonić tego, co w ekspozycji najbardziej niezwykłe. „Bez gorsetu" to pierwszy tak obszerny pokaz twórczości polskich rzeźbiarek tworzących w XIX w.: przedstawia twórczość 12 artystek, z których większość urodziła się w latach 50. i 60. tamtego stulecia. To samo pokolenie, co Camille. W czasach, w których dorastają, kobiety nie mogą ↦

MATERIAŁY PRASOWE MNW

Camille Claudel, Opuszczenie (L'abandon), 1886 r., Musées de Poitiers

AWIT SZUBERT / MNK / MATERIAŁY PRASOWE MNW

Uczennice Wyższych Kursów dla Kobiet dr. Adriana Baranieckiego w Krakowie (pierwsza od lewej Antonina Rożniatowska, pierwsza od prawej Olga Boznańska, obok Tola Certowicz), fotografia sprzed 1882 r.

Poniżej: Aleksander Karoli, fotografia rzeźby „Madonna" Marii Gerson-Dąbrowskiej, 1900 r., odbitka fotograficzna na papierze kolodionowym.

MATERIAŁY PRASOWE MNW

studiować na akademiach. Pojawiają się natomiast prywatne szkoły, jak paryska Académie Colarossi, w której uczyła się Claudel.

W Polsce również powstają szkoły, które dają kobietom możliwość poznania podstaw malarstwa i rzeźby. Jedną z nich były kursy prowadzone przez Wojciecha Gersona. Wśród uczennic warszawskiego malarza znalazły się przyszłe rzeźbiarki, m.in. jego córka Maria Gerson oraz Natalia z Tarnowskich Andriolli. Z kolei w Krakowie od 1868 r. przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym organizowano Kursy dla Kobiet dr. Adriana Baranieckiego – pracownię rzeźby prowadził wykształcony w Paryżu i w Rzymie Marceli Guyski.

Kolejnym celem dla wielu Polek była stolica Francji. Tam trafia m.in. Tola Certowicz. Uczy się w Académie Julian, w pracowni prowadzonej przez Hélène Bertaux, jedną z pierwszych rzeźbiarek, które zdobyły publiczne uznanie.

Warszawska wystawa zwraca szczególną uwagę na ten instytucjonalny, społeczny i kulturowy kontekst. Bez niego trudno zrozumieć trudności, z jakimi artystki musiały się mierzyć. Dlatego otwiera ją fotografia studentek Kursów Baranieckiego. Przedstawia pięć młodych kobiet – są wśród nich Olga Boznańska i dwie przyszłe rzeźbiarki. Antonina Rożniatowska ubrana w elegancką suknię pozuje z młotkiem i dłutem przy wykończonym już popiersiu. Z kolei Certowicz nosi roboczy fartuch, jakby chciała podkreślić fizyczny wymiar swej twórczości.

To wykluczone

Rzeźbiarki musiały się mierzyć z podwójnym wykluczeniem. Jako kobiety miały zamkniętą drogę do akademickiej edukacji artystycznej. A jeżeli już zdobyły wykształcenie, znacznie trudniejsze było dla nich funkcjonowanie w świecie sztuki zdominowanym przez mężczyzn, konkurowanie z nimi o dostęp do zamówień prywatnych, a przede wszystkim publicznych. W dodatku o ile nauka malarstwa i rysunku od dawna stanowiła element edukacji młodych kobiet, kształtujący ich wrażliwość i poczucie estetyki, o tyle mozolne modelowanie w glinie, odlewanie w gipsie, a tym bardziej kucie w kamieniu nie wpisywały się w kanon kobiecego wykształcenia. Fizyczny wysiłek, brud i pył włączały tę dziedzinę twórczości w orbitę działań typowo męskich. Maria Chełmońska, redaktorka i literatka wspierająca twórczość kobiet, przestrzegała je wręcz przed zajmowaniem się rzeźbą. Sugerowała raczej sztuki stosowane: „ozdobienie płaskorzeźbą lub figurką wazonu – przekonywała – nie wymaga wytężenia fizycznego większego nad to, jakiego kobiety potrzebują przy każdej innej robocie ręcznej".

W przypadku pierwszego pokolenia polskich rzeźbiarek – co dobrze pokazuje warszawska wystawa – kluczowe było także pochodzenie społeczne. Wiele z nich wywodziło się z rodzin ziemiańskich. Tak było w przypadku reprezentujących wcześniejsze pokolenie, urodzonych w latach 20. XIX w. Elizy z Branickich Krasińskiej, żony Zygmunta Krasińskiego, i Heleny Skirmuntt. Z zamożnych rodzin wywodziły się też m.in. Certowicz czy Rożniatowska. Wsparcie rodzin pozwalało na zdobycie wykształcenia i umożliwiało zajmowanie się własną twórczością. Niektórym udało się też zaistnieć na rynku sztuki. Natalia Andriolli miała pracownię specjalizującą się w produkcji rzeźb o tematyce religijnej. Ewa Kulikowska prowadziła w Kijowie całe przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją dekoracji architektonicznych.

Do nielicznych, którym udało się zdobyć zamówienia publiczne, należała Tola Certowicz, autorka m.in. popiersia o. Augustyna Kordeckiego wykonanego dla ojców paulinów ze Skałki. Z kolei

BARTOSZ BAJERSKI / MATERIAŁY PRASOWE MNW

Wystawa „Bez gorsetu. Camille Claudel i polskie rzeźbiarki XIX wieku", czerwiec 2023 r.

władze Wilna zleciły Marii Gerson projekt berła dziekańskiego z figurą Piotra Skargi, ofiarowanego potem Uniwersytetowi Jagiellońskiemu z okazji jubileuszu uczelni. Ona też jest autorką grupy nagrobków zachowanych do dziś na Powązkach.

Wszystkie te ograniczenia sprawiły, że najczęstszymi tematami podejmowanymi przez rzeźbiarki był portret i tematy religijne. Na wystawie znalazło się kilka bardzo ciekawych, a nawet wybitnych wizerunków autorstwa m.in. związanej z Krakowem Rożniatowskej. Znacznie rzadziej udawało się rzeźbiarkom podejmować tematykę historyczną, wysoko umieszczaną w hierarchii ówczesnej sztuki, a pełniącą w Polsce szczególną rolę. Jednym z nielicznych przykładów są „Szachy polskie" Heleny Skirmuntt, których poszczególne figury nawiązywały do zwycięstwa króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem.

W gorsecie

Niemal nieobecne u polskich rzeźbiarek jest nagie ciało. Wyjątek stanowią pokazane na wystawie prace Natalii Andriolli, a przede wszystkim Toli Certowicz. To ona podczas pobytu w Paryżu stworzyła „Akt siedzącego mężczyzny", przedstawiający dopiero co dorastającego młodzieńca, a także „Morfeusza" – brodatego mężczyznę w sile wieku. W obu świetnie oddała ciało, które zmienia się z upływem lat. Jakby nad Sekwaną było większe przyzwolenie na podejmowanie ryzykownych tematów.

Ten brak aktów jest szczególnie widoczny, gdy zestawimy dzieła Polek z pracami Hélène Bertaux, a tym bardziej Claudel, z jej niezwykłym spojrzeniem na męskie, a przede wszystkim kobiece ciało, ponętne, piękne, młodzieńcze, ale też starzejące się, podlegające upływowi czasu. Te dzieła wyłamują się z obowiązujących konwencji. Claudel udało się oddać w rzeźbie uniesienie, pożądanie, jak w pokazywanym na wystawie żywiołowym, przesyconym erotyką „Walcu".

Obecność rzeźb Camille Claudel w Warszawie pozwala lepiej dostrzec, w jak odmiennych warunkach przyszło tworzyć polskim rzeźbiarkom. Z jakimi ograniczeniami przyszło im się mierzyć. Ważne jest, co podkreśla kuratorka wystawy Ewa Ziembińska, „ukazanie postawy niezłomnej determinacji, która wielu z nich pozwoliła zrealizować artystyczne marzenia. Ich wytrwałość i upór przyniosły owoc w postaci kolejnych generacji kobiet, mających realny wpływ na rozwój nowoczesnej rzeźby".

Nieobecne

„Bez gorsetu" pokazuje wreszcie, że – mimo wysiłków badaczek – nadal niewiele wiemy o rzeźbiarkach tworzących w XIX w. Ich dorobek jest znany szczątkowo, niekompletne są informacje o ich życiu. W niektórych przypadkach nie ma nawet pewności co do dat urodzenia lub śmierci.

W tym samym gmachu w 1991 r. Agnieszka Morawińska organizowała pamiętną ekspozycję „Artystki polskie". Od tego czasu znacząco zwiększyła się wiedza na temat twórczości kobiet. Jednak nadal kanon polskiej sztuki jest męskocentryczny. Dobry przykład stanowią stałe ekspozycje naszych muzeów. Dzieła artystek nadal rzadko są na nich pokazywane.

W maju tego roku otwarto nową stałą wystawę Tate Britain, prezentującą sztukę od XVI stulecia po współczesność. Jej powstanie było wynikiem wieloletnich działań, w tym zmiany polityki zakupów, której jednym z priorytetów stało się uzupełnienie zbiorów o twórczość kobiet. W efekcie stworzono propozycję nowego kanonu sztuki brytyjskiej, w którym jest miejsce na głos mniejszości.

Czy po warszawskiej wystawie zwiększy się obecność artystek w naszych muzealnych salach? © PIOTR KOSIEWSKI

BEZ GORSETU. CAMILLE CLAUDEL I POLSKIE RZEŹBIARKI XIX WIEKU
Muzeum Narodowe w Warszawie, wystawa czynna do 10 września br. Kuratorka: Ewa Ziembińska.

Lek na islamofobię

ANITA PIOTROWSKA

Na początku była lektura „Imienia róży", później zaś Tarik Saleh zaczął projektować powieść Eco na muzułmańskie realia, a konkretnie na historię najnowszą Egiptu.

Szwedzkiego reżysera o egipskich korzeniach interesowały metody działania wojskowych dyktatur i zarazem rozległe wpływy islamskich instytucji religijnych, z uniwersytetem Al-Azhar na czele. Tu właśnie, w samym sercu sunnickiej teologii, Saleh osadził swój „kairski spisek" – bo tak brzmi alternatywny tytuł jego filmu. Tutaj zresztą studiował ongiś jego dziadek ze strony ojca. Tytułowy bohater „Chłopca z niebios" ma ponoć wiele z nim wspólnego: też pochodzi z biednej rybackiej wioski i studia na prestiżowej uczelni stały się dlań nie tylko przepustką do społecznego awansu, ale i zderzeniem czołowym z wielkomiejską rzeczywistością. Dla Adama (w tej roli Tawfeek Barhom) najbardziej brutalne okaże się spotkanie z samą instytucją, stanowiącą swoiste państwo w państwie i, z racji swego autorytetu, poddawanej infiltracji ze strony świeckich władz. Efektem jest mówiony po arabsku szpiegowski „thriller moralnego niepokoju", w którym wiara i sumienie zostają poddane ciężkiej próbie. W tle zaś toczy się pasjonująca opowieść o niebezpiecznych związkach religii i państwa.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

A wszystko rozpoczyna się wraz ze śmiercią wielkiego imama Al-Azharu i kręci się wokół ustanowienia sukcesji po nim. Prezydentowi kraju nie podobają się główne kandydatury – ani faworyt zdelegalizowanego niedawno Bractwa Muzułmańskiego, podejrzewanego o związki z terroryzmem, ani charyzmatyczny „Ślepy Szejk". Chciałby posadowić na tym stolcu swojego człowieka, co wymaga zdyskredytowania jego rywali. Wojskowi mają na uniwersytecie swoje wtyczki, kiedy jednak potrzebują nowego informatora, naiwny i niewinny Adam, od dziecka przyuczany do posłuszeństwa, wydaje się „kretem" idealnym. Pracuje nad nim ambitny pułkownik Ibrahim (gra go Fares Fares, ulubiony aktor Saleha) i wydaje się, że nie cofnie się przed niczym, by doprowadzić swoją misję do końca. Zresztą mury szacownej uczelni wiele już widziały. Nim główny bohater zagłębi się w tajniki przepastnych bibliotek, arabskiej kaligrafii i melorecytacji Koranu, jest świadkiem zasztyletowania na dziedzińcu znajomego studenta. Właśnie pod przykrywką śledztwa egipska bezpieka rozpoczyna swą sekretną akcję.

Równocześnie tak zasupłany scenariusz, wypełniony bohaterami całkowicie fikcyjnymi i wzorowanymi na autentycznych, stosuje wymyślne licencje poetyckie. Saleh osadza akcję niby współcześnie, a jednocześnie wykonuje spory krok w tył. Widzimy np., że telefony komórkowe są w powszechnym użyciu, lecz liczący sobie ponad tysiąc lat Al-Azhar, dziś uchodzący za nowoczesny w swojej kategorii, ma w filmie postać jeszcze bardzo archaiczną. Sprawia chociażby wrażenie miejsca bez kobiet, mimo że pierwsze studentki pojawiły się tam już w 1962 r.

Pod pretekstem kryminału toczy bowiem Saleh własną i zarazem bardziej zuniwersalizowaną opowieść o świecie skorumpowanym i korumpującym. W tej bajce role złych obsadza głównie państwowymi agentami, aczkolwiek po drugiej stronie znajduje się przeciwnik równie mocny i zdemoralizowany. Co gorsza, stojący na straży odwiecznych wartości i na nich budujący swój społeczno-polityczny kapitał. Opowieść o mackach władzy świeckiej przenika się więc z krytycznym spojrzeniem na funkcjonariuszy instytucji religijnej, z którą musi liczyć się każda władza.

Czuje się jednak w tym spojrzeniu jakąś ostrożność i respekt, być może związane z podwójną, egipsko-szwedzką tożsamością reżysera. Choć w wywiadach deklaruje się jako człowiek luźno związany z islamem, traktuje samo zjawisko poważnie i bez uprzedzeń próbuje wejść w buty żarliwego wyznawcy. Stąd „Chłopiec z niebios" nie jest dziełem szczególnie drapieżnym, unika prowokowania czy demonizowania religii i nawet kontrowersyjne Bractwo Muzułmańskie przedstawia w nieostrych konturach.

Zdjęcia do filmu, który po dziś dzień nie doczekał się premiery w ojczyźnie przodków reżysera, powstawały daleko od Kairu, a konkretnie w stambulskim meczecie Sulejmana i, wbrew celowym

MATERIAŁY PRASOWE

CHŁOPIEC Z NIEBIOS
(Walad min al-Janna) – reż. Tarik Saleh. Prod. Szwecja/Francja/ /Finlandia 2022. Dystryb. M2 Films. W kinach od 23 czerwca.

Tarik Saleh (ur. 1972) to wszechstronny szwedzki filmowiec o korzeniach egipskich. Ma na koncie dokument „GITMO – Nowe prawa wojny" (2005), animowaną „Metropię" (2009) czy pracę przy serialu „Westworld" (2018). Jako reżyser filmów fabularnych zrealizował m.in. nagrodzone na Sundance „Morderstwo w hotelu Hilton" (2017). Za scenariusz „Chłopca z niebios" otrzymał nagrodę w Cannes.

anachronizmom, łatwo dopatrzyć się tu linków do czasów dzisiejszych. Choć „Chłopiec" ogranicza jawne nawiązania do Egiptu pod rządami generała Abda al-Fattaha as-Sisiego, to jego portrety jednak migają w kadrze. Wszelako film woli trzymać się bezpiecznych ram gatunkowości: konwencji dreszczowca i moralitetu z religią w tle. Podobnie jak adaptacja „Imienia róży" (1986) Jeana-Jacques'a Annauda, nie zagłębia się w intelektualne dywagacje, skupiając się na opowiadaniu wciągającej historii. Wcześniejszy film szwedzkiego twórcy, czyli rozgrywające się nad Nilem (lecz kręcone w Casablance) „Morderstwo w hotelu Hilton", też był bardziej mrocznym kinem sensacyjnym aniżeli opowieścią o kraju w ogniu rewolucji z placu Tahrir. W tym przypadku na plan pierwszy wysuwa się znana skądinąd sylwetka młodego przeciętniaka, który poczuł się wybrańcem, po czym stał się narzędziem spisku, w końcu zaś jego ofiarą.

Toteż cała gra w filmie Saleha toczy się nie o to, kto ostatecznie będzie wielkim imamem i która siła ma w tej rozgrywce rację, ale czy Adam przejrzy wreszcie na oczy i jakich wyborów dokona. Do samego końca stawką jest jego wewnętrzny azymut, rozchwiany przez zewnętrzne manipulacje. Pułkownik Ibrahim, gorliwy, acz nieco już wypalony żołnierz systemu, także przeżywa swoje dylematy. W ten sposób reżyser stara się trochę pokomplikować kulturowe i fabularne stereotypy, głównie na użytek zachodniego widza, skłonnego do czarno-białych odczytań, gdy mowa o tej części świata. Dlatego równie dobrze można by wyjąć doświadczenia egipskiego chłopaka z lokalnych kontekstów i umiejscowić je w innej instytucji, niekoniecznie religijnej, albowiem stare mechanizmy zastraszania i deprawacji sprawdzają się w różnych organizacjach czy kulturach. I nawet jeśli do misternie napisanego scenariusza wdziera się czasem pewien schematyzm, a Saleh nie ma politycznego temperamentu swego mistrza Costy-Gavrasa, ta opowieść o relacjach tronu z ołtarzem i o przepaści między wiarą a religią potrafi zassać w swoją klaustrofobiczną przestrzeń. A przy okazji, jako dzieło insidera i outsidera w jednej osobie, próbuje przemycić szczepionkę na islamofobię. Czy skuteczną? – zależy pewnie od indywidualnej odporności. ©

Lektor:
Wywoływanie ducha

▪ *Yael Neeman*
BYŁA SOBIE KIEDYŚ
Tłum. Magdalena Sommer. Wydawnictwo Próby, Warszawa 2023, ss. 264

Była – ale kim? Kim była Sylwia Fein, córka polskich Żydów, urodzona w 1947 r. w Niemczech w obozie dla dipisów, w Izraelu obdarzona nielubianym przez siebie hebrajskim imieniem Pazit?

Była utalentowaną tłumaczką i redaktorką, może i pisarką, choć nie pozostawiła żadnych tekstów. I w ogóle niczego po sobie nie chciała pozostawić. Nieprzypadkowo motto książki (jeden z wielu wykorzystanych w niej cytatów) pochodzi z „Wymazywania" Thomasa Bernharda. „Pazit – pisze Yael Neeman – pozbyła się wszystkiego, co miała, wymazała wszystko, co kiedykolwiek robiła. Wymazywała teraźniejszość i przeszłość. Na tym się skupiła, odkąd się dowiedziała, że nadchodzi śmierć". Wycinała swoją twarz ze wspólnych zdjęć, książki rozdawała albo po prostu zostawiała w bramie sąsiedniego domu w Tel Awiwie, wcześniej starannie zakrywając korektorem komentarze, które wpisała na marginesach. Umarła 29 listopada 2002 r. – po wielu miesiącach cierpień wywołanych chorobą nowotworową zgodziła się przyjąć morfinę i wprowadzono ją w stan śpiączki. Nie ma grobu, bo ciało zapisała nauce, zastrzegając, że nie chce nawet symbolicznego pochówku.

Yael Neeman, urodzona w 1960 r. w kibucu Jechiam, zdobyła rozgłos autobiograficzną książką „Byliśmy przyszłością" (2011, rok później ukazała się po polsku w Czarnym). Spotkała Pazit tylko raz, choć wcześniej pracowały krótko w tej samej redakcji. I teraz wywołuje jej ducha, zszywając patchwork z relacji ludzi, którzy ją znali. Nie wszyscy zresztą zgodzili się na rozmowę, a i sama autorka wie, że postępuje niejako wbrew woli Pazit. Próbuje jednak, świadoma nieuchronnych luk w tej opowieści.

Powstał fascynujący portret, który jest zarazem spotkaniem pokoleń – wychowana w kibucu Izraelka wchodzi w klaustrofobiczny i pełen tajemnic świat rodzin Ocalałych. Bo przecież także ci, którzy urodzili się już po wojnie, czasem dopiero po latach dowiadywali się o istnieniu zamordowanego w Zagładzie rodzeństwa. Trauma była nie tyle nawet dziedziczona, ile – jak zapewne w przypadku Pazit, cierpiącej na depresję i podejmującej próby samobójcze – po trosze indukowana. A klimat zbudowanego dla przybyszów osiedla w Holonie, w którym w latach 50. mówiło się jeszcze głównie po polsku, daleki był od kibucowej wspólnotowości. ©℗

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Nagroda Literacka GDYNIA została powołana do życia w 2006 r. przez prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka w celu uhonorowania wyjątkowych osiągnięć żyjących polskich twórców. Jest przyznawana rokrocznie autorom najlepszych książek wydanych w poprzednim roku. Nagroda – Gdyńska Kostka Literacka i 50 tys. zł – przyznawana jest w czterech kategoriach: Esej, Poezja, Proza, Przekład na język polski. NLG jest inicjatywą władz miasta skierowaną zarówno do polskich pisarzy, jak i szerokiego grona odbiorców współczesnej literatury.

W skład kapituły Nagrody wchodzą: Jerzy Jarniewicz (przewodniczący), Adam Lipszyc, Eliza Kącka, Barbara Klicka, Dorota Kozicka, Aleksander Nawarecki, Tomasz Swoboda, Natalia Gromow (sekretarz).

Nagrodzie Literackiej GDYNIA już po raz kolejny towarzyszy festiwal Miasto Słowa: spotkania z nominowanymi, laureatami, panele dyskusyjne nawiązujące do wątków pojawiających się w tytułach walczących o Kostki Literackie, gościć też będziemy znamienitych polskich prozaików.

Znamy już dwudziestkę nominowanych do Nagrody Literackiej GDYNIA. Krótkie uzasadnienia kapituły przedstawiamy obok. Zapraszamy do Muzeum Miasta Gdyni, gdzie w dniach 23-27 sierpnia odbywać się będzie festiwal Miasto Słowa. Główne pasmo tegorocznej edycji nosi tytuł „sami o sobie" – przyjrzymy się w nim modnej literaturze autobiograficznej.

Wręczenie nagród 28 sierpnia.

Pełne uzasadnienia nominacji: **www.nagrodaliterackagdynia.pl**

GDYNIA | MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

WOJCIECH ROJEK

NOMINACJE

ESEJ

Georg Büchner, niemiecki romantyk **ANNY R. BURZYŃSKIEJ**, konfrontujący czytelniczki i czytelników z pytaniem, czym jest choroba i w jakim pozostaje związku z charakterem „ja". Jan Piotr Norblin, czyli nauczyciel rysunków **KONRADA NIEMIRY**, który nieoczekiwanie zostaje ojcem założycielem polskiej szkoły malarskiej. Przekorne przechrzty **PIOTRA SADZIKA**, czyli Bruno Schulz, Leo Lipski, Józef Wittlin, Teodor Parnicki i Leopold Buczkowski – wielcy pisarze dotąd nieczytani razem. Kaszubska wioska **GRZEGORZA PIĄTKA**, która stała się Ameryką. A także heavy metal **JARKA SZUBRYCHTA** – kronika dorastania w „ekstremalnych czasach wymagających ekstremalnych reakcji". Wbrew pozorom – o czym niebawem przekona Państwa kapituła NLG – pozycje te mają wiele wspólnego.

- Anna R. Burzyńska
ATLAS ANATOMICZNY GEORGA BÜCHNERA
Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022

- Konrad Niemira
BAZGRACZ. TRZY ESEJE O NORBLINIE
Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2022

- Grzegorz Piątek
GDYNIA OBIECANA. MIASTO, MODERNIZM, MODERNIZACJA 1920-1939
Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2022

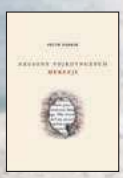

- Piotr Sadzik
REGIONY POJEDYNCZYCH HEREZJI
Wydawnictwo Austeria, Kraków 2022

- Jarek Szubrycht
SKÓRA I ĆWIEKI NA WIEKI
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

DO NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA 2023

POEZJA

MARCIN CZERKASOW: w tej przygodzie poetyckiej kryje się zupełnie nowa energia. Mistrz zen, którego Lem chwaliłby za poetykę bocznego uślizgu. **ANOUK HERMAN**: wiersze pisane na mocnym, egzystencjalnym beacie, gówniarskie i zbuntowane. **JOANNA OPAREK**: poetycka jazda z krainy wolności do krainy „wręcz przeciwnie". Konfrontacja ze zbrodnią, zawierająca sądowe przemówienia i oskarżycielskie spektakle. **PIOTR PRZYBYŁA**: tekst, który zaskakuje frazą na każdej stronie. **ADAM WIEDEMANN**: poczucie pustki przy jednoczesnym szczęściu z posiadania przyjaciół.

▪ Marcin Czerkasow
MOUNTAIN VIEW
Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022

▪ Anouk Herman
RIGHT INTO POD TRAMWAJ
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oddział w Łodzi, Instytut Literatury, Łódź-Kraków 2022

▪ Joanna Oparek
MAŁE POWINNOŚCI
Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022

▪ Piotr Przybyła
ANALFABETA
Galeria Sztuki Współczesnej Biuro Wystaw Artystycznych w Olkuszu, Olkusz 2022

▪ Adam Wiedemann
ODŻYWKI I SUPLEMENTY
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022

PROZA

Historia **BIEŻUŃSKIEJ** jest o dziewczynce czujnie obserwującej świat, w którym główną rolę odgrywają nieczuła babka, przemocowa matka i ojciec alkoholik. Jednocześnie realistyczna i surrealistyczna. Czuła, a zarazem ścierająca się z brutalnością świata. Opowieść **GÓRNIAKA** jest wywrotowa i rebeliancka. Polifoniczna i nicująca języki. Opowieść **JELONEK** jest o ludziach, którzy nie potrafią sobie poradzić z własną przeszłością. Opowieść **RUDZKIEJ** należy do twardo stąpającej po ziemi kobiety – intrygująco odpychającej, wulgarnej, mówiącej językiem rozpracowanym. Opowieść **ŻARÓW** to przedziwna, wizyjna historia dziewczyny, która wędruje w podartej sukni ślubnej przez zasnutą trującym dymem Warszawę. Apokaliptyczny nastrój i kryminalna zagadka. Porno i burleska. Serio i buffo.

▪ Wiktoria Bieżuńska
PRZECHODZĄC PRZEZ PRÓG, ZAGWIŻDŻĘ
Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2022

▪ Mateusz Górniak
TRASH STORY
Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2022

▪ Agnieszka Jelonek
TRZEBA BYĆ CICHO
Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2022

▪ Zyta Rudzka
TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO MA ZĘBY
Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2022

▪ Małgorzata Żarów
ZAKLINANIE WĘŻY W GORĄCE WIECZORY
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI

KAJA GUCIO – za precyzyjną robotę w przekładaniu książki operującej różnymi rejestrami języka. **JAN MARIA KŁOCZOWSKI** – za przekład absolutnie pasjonującego dzieła zawierającego cytaty z literatury dawnej. **JERZY KOCH** – za wstrząsający monolog hebefila, w którym fraza staje się odpowiednikiem perwersyjnego pożądania. Książka pełna cytatów z kultury popularnej. **RENÉ KOELBLEN** i **STANISŁAW WASZAK** – za tłumaczenie powieści pisanej w zupełnie nowym języku, w którym nie wolno wstukać na klawiaturze litery „e". **KRZYSZTOF MAJER** – za niesłychanie misterną pracę, która wymagała rozpoznania odniesień do kultury filozoficznej, malarskiej i literackiej.

▪ Kaja Gucio – Lidia Yuknavitch
CHRONOLOGIA WODY
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

▪ Jan Maria Kłoczowski – – Jean Fabre
STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI I EUROPA WIEKU ŚWIATEŁ | TOM I, II,
Wydawnictwo: Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie, Warszawa 2022

▪ Jerzy Koch – Marieke Lucas Rijneveld
MÓJ MAŁY ZWIERZAKU
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

▪ René Koelblen, Stanisław Waszak – Georges Perec
ZNIKNIĘCIA
Wydawnictwo Lokator, Kraków 2022

▪ Krzysztof Majer – David Markson
KOCHANKA WITTGENSTEINA
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022

MATERIAŁ PROMOCYJNY

OLGA

Drenda:
Pragnienie baśni

Historyk literatury i folkloru Julian Krzyżanowski lubił wspominać o powszechnej wśród ludzi „ochocie bajania" (za Goethem – „*Lust zu fabulieren*"), zamiłowaniu do sprawnej gawędy, łączącej wspólną sprawą gawędziarzy i słuchaczy, z których jedni chętnie powtarzali, a drudzy po raz kolejny słuchali innego wariantu tej samej, dobrze znanej opowieści. Ta stara, wywodząca się jeszcze z tradycji przekazu ustnego więź, zdaniem Krzyżanowskiego, wzmacniała się wraz z nowoczesnością. Im więcej opowieści i sposobów ich przekazywania, tym chętniej powtarzano jeszcze raz nowe kompozycje złożone z dobrze znanych wątków, a nowoczesny, tani druk dodatkowo pogłębiał potrzebę baśni.

Krzyżanowski przypomina mi się czasami, gdy ukazują się raporty i analizy dotyczące czytelnictwa w Polsce – tego, ile i jak czytamy. Ostatnie lata przyniosły fenomen opisanej także w poprzednim numerze „TP" popularności literatury *young adult*, co podsuwa mi myśl, że jest coś w słowie pisanym, czego nie da się odnaleźć w innych środkach wyrazu. Skoro przy takiej obfitości długo- i krótkometrażowych materiałów wideo, obrazów, gier, interaktywnych mediów młodzi ludzie, którzy nie znają niecyfrowej rzeczywistości, decydują się zwrócić ku staromodnej książce, to znaczy, że odnajdują w niej potrzebne jakości. Możliwe, że chodzi o wspomniane gawędziarstwo: w relacji między opowiadającym historię a jej odbiorcami pozostaje margines dla samodzielnej wyobraźni, która potrzebuje odrobiny ruchu i powietrza – a film czy gra podają na tacy zbyt wiele. I wychodzi na to, że żadne medium poza tekstem pisanym (albo mówionym, w audiobooku, co przecież zbliża nas najmocniej do klasycznej gawędy), może oprócz gier RPG i MUD, nie zapewnia tyle przestrzeni dla własnej pracy czytelnika czy słuchaczki. I to z tej samej potrzeby czytająca młodzież zabiera się za pisanie własnych fabuł na Wattpadzie, powołując do życia własnych bohaterów lub kontynuując ulubione powieści wedle własnej fantazji.

OLGA DRENDA

Zachwyt lekturą (bez ironii!) u postaci z zielonogórskiej mozaiki.

Czasami eksperci martwią się o to, jakiej jakości jest literatura z pierwszej dwudziestki najchętniej czytanych autorów dla dorosłych, bo też obok klasyki często pojawia się tam kryminał, romans, a nawet nieszczęsny, wyrachowany gatunek nazwany „holopolo" (sentymentalne lub epatujące okrucieństwem, za to zwykle niezgodne z prawdą historyczną opowieści z obozem koncentracyjnym w tle). To znów rozciągnięta na dekady dyskusja, sięgająca jeszcze XIX wieku, kiedy upowszechnienie taniego, wysokonakładowego druku i szersza piśmienność przyczyniły się do narodzin literatury groszowej, popularnej. Kto pamięta „Szkice węglem", może przypomnieć sobie podłego Zołzikiewicza, postać o charakterze spaczonym przez romanse, „Izabelę" i „Barbarę Ubryk" (choć, jak na ironię, Sienkiewicz po latach zyskał bezprecedensową sławę dzięki powieściom publikowanym w odcinkach, do tego doskonale odpowiadającym na pragnienie gawędy). Powszechnie zżymano się wówczas na sensacyjny charakter masowej literatury, nie bez racji – jednak dopiero później zauważając, że tak przejawia się potrzeba bajania przebrana w nowoczesne szaty.

Choć obudowane często współczesnym sztafażem, szkielety tych nieskomplikowanych i niejednokrotnie nieporadnych opowieści miały w sobie wiele ze starej gawędy – były tam cudowne interwencje, okrutne akty zbrodni, niewinne kobiety porwane przez złoczyńców, czyli wątki, które pozwalały w bezpiecznych warunkach doświadczyć niezwykłości, zajrzeć za zasłonę tabu, przeżyć kontrolowany wstrząs, ale też dać przestrzeń wyobraźni. Kiedy hitem wydawniczym było „365 dni", zdarzało mi się trafiać na próby domorosłej psychoanalizy – erotyczne romanse miały jakoby świadczyć o podświadomych potrzebach czytelniczek zmęczonych równością i samodzielnością. Tyle że nie trzeba było daleko szukać, żeby dostrzec w nich *remake* starych powieści sensacyjnych o hrabinach w szponach drani – tak samo ekscytujący i oburzający zarazem, choć dostosowany do zdecydowanie bardziej liberalnych czasów, w których można pokazywać znacznie więcej. Oczywiście, za recyklingiem starych pomysłów stoją wyrachowane decyzje wydawnicze, jednak inaczej należy spojrzeć na to, czego szuka w nich czytelnik.

Pozwolę sobie na przypuszczenie, że czytelnik szuka czegoś innego niż rozrywki – bo też pragnienie baśni ma inne źródła. Szuka czegoś bardziej znaczącego. Chodzi o chęć doświadczenia, przeżycia czegoś przy pomocy własnej wyobraźni, i jest to potrzeba poważna, nawet jeśli ktoś realizuje ją przy pomocy cynicznie wypuszczonego na rynek produktu. ©

PAWEŁ

Bravo:
Małe, skromne „t”

Siedemset osób z grubsza przebywało na kutrze zamienionym przez przemytników w pływający obóz śmierci w momencie, gdy tonął nieopodal wybrzeża Peloponezu. Wcale nie poza zasięgiem greckiej straży oraz unijnego Fronteksu. Na monitorach widać było prawie wszystko, może poza szczegółami twarzy ludzi patrzących z pokładu w stronę śmigłowca. Nie patrzeć w oczy, tak jest lepiej dla regulaminowego przebiegu służby, wtedy na pytanie „czemuście nie pomogli?” można odpowiedzieć: „nie wzywali nas”. Trudno, żeby przemytnik wołał, by go aresztować, trudno, żeby desperaci chcieli zostać wzięci do kraju, o którym wiadomo, że się nie patyczkuje z przybyszami. Zwłaszcza przed kolejnymi wyborami, które premier Mitsotakis ma nadzieję wygrać lepszym wynikiem niż poprzednie, także dzięki twardemu stanowisku wobec migracji.

Nie idźmy jednak w łatwe porównania z polską kampanią wyborczą, która już zaczyna wyglądać na turbopowtórkę ze znanych obrzydliwości. Podobieństwo retoryki przysłania różnice skali między nami a Południem. Polska, zdaniem swojego rządu, nie może dać sobie „narzucić” w ramach dziurawego skądinąd planu unijnej polityki migracyjnej dwóch tysięcy migrantów rocznie. A te dwa tysiące to Grecy i Włosi miewają nawet dziennie – zatem różne elementy już wcześniej niewydolnych systemów zaczynają się naprawdę zatykać, tworząc niewydumane sytuacje dyskomfortu czy nawet zagrożeń. Owszem, tamta część świata od tysiącleci przyzwyczajona jest do ustawicznej wędrówki ludów-skądś-tam, każda jednak, nawet największa gąbka, w pewnym momencie przestaje chłonąć.

Zwłaszcza gdy się ją dla własnej korzyści zacznie uciskać, aby pociekła z niej lepka ciecz mitów i strachów Tożsamości przez bardzo wielkie „T”. Owa Tożsamość to buty o dwa numery za duże, w których można sobie potupać, ale donikąd się nie dojdzie. Każda bowiem realna, a nie wyimaginowana wspólnota istnieje w wielu krzyżujących się małych tożsamościach, tradycja zaś (przez równie skromne, małe „t”) to kawałeczki przeszłości dogodnie dobrane tak, by dało się je połączyć z nowym. Szczególnie kiedy to nowe oznacza dobrobyt.

Dobrobyt, jak posiłek pożarty za szybko po całym dniu głodowania, odzywa się czkawką – Włosi po skoku rozwojowym przeżywali ją przez trzy ostatnie dekady. Silvio Berlusconi, o którym opowiadam kilkadziesiąt stron wcześniej, jako ostatni odwoływał się do radosnej konsumpcyjnej jazdy bez trzymanki. Jego następcy dobrali się do głów wyborców, majstrując przy dezorientacji i strachu: kto ty jesteś, Italianiec mały? Biały i katolik, to jasne. Wspólne państwo i język – z tym już gorzej w tamtych okolicach. Jeśli coś się nadaje na wspólnotowe spoiwo, to być może kuchnia, jedzenie, tradycje czasem podrasowane, a czasem wymyślone *ad hoc*. Przekłamana wspólnota stołu. W kraju, który przez pół wieku modernizacji zagubił sporą część pamięci o tym, co prawdziwa babcia gotowała (bób, groch i placek z mąki, mięso z rzadka, przy niedzieli), łatwo mamić fantastyczną nonną żywcem wyjętą z reklam – tyle że produktem nie są mrożone tortellini z mięsem, lecz partia i jej lider.

Obecna włoska premier tylko raz publicznie się pokazała, jak się uczy od nonny lepić pierożki. Ale jej poprzednik i pionier gastronacjonalizmu – Matteo Salvini – uczynił z „tradycyjnego” jedzenia główny wątek swojej obecności medialnej. Wpiszcie do Google’a frazę „Salvini mangia”. Czterysta tysięcy razy wielkie żarcie. Wciąga kluski, gryzie pizzę, wcina bułę z nutellą. W garniturze, w dresie, w plażowych gaciach. Wszystko dla obrony tożsamości, choć głównym składnikiem orzechowego smarowidła jest niezbyt swojski olej palmowy, a współczesna pizza przyjechała w połowie stulecia z Ameryki.

Jesteśmy w Polsce uderzająco do nich podobni, jeśli chodzi o ścieżkę szybkiego wzbogacenia, tyle że jakieś pół wieku spóźnieni. Na razie fraza „Ziobro schabowy” daje sto tysięcy wyników, ale część z nich to skutek tego, że jeden z jego przybocznych sędziów nosi nazwisko Schab. „Ziobro flaki” – tu sporo wyników, ale głównie dlatego, że ludzie piszą, iż im się flaki na jego widok przewracają. Trzeba jeszcze poczekać – raczej więc nie dożyję czasów, gdy przyjdzie nam się wstydzić rzewnych tekstów o ziemniakach z koperkiem. ©℗

IVANODS / ADOBE STOCK

Carbonara, o której przypomniałem w zeszłym tygodniu, jest przykładem rzymskiego „klasyka”, który nie ma nawet stu lat. Jednak, jak to z nowinkami bywa, idealnie się wpasowała w pewną konstelację istotnie znanych wcześniej sosów, które mają wspólne składniki. Cacio e pepe – mamy ser pecorino i pieprz. Jeśli dodamy boczek – wyjdzie nam gricia. Jeśli do gricii dojdą żółtka, wyjdzie carbonara, a jeśli pomidory – amatriciana, faktycznie stare danie, moje ulubione z tej czwórcy. Ok. 100 g drobno pokrojonego boczku (lub guanciale, jeśli macie, ale któż ma?) podsmażamy na wolnym ogniu do chrupkości, dodajemy puszkę dobrych pomidorów bez skóry, dwie papryczki, kieliszek czerwonego wina. Długo dusimy, aż pomidory się rozpadną, a sos zgęstnieje. Władze miasteczka Amatrice ścigają medialnie szefów, którzy do sosu dodają cebuli lub czosnku. A ser? Jeśli Salvini nie patrzy, możemy zamiast pecorino użyć parmezanu.

POMARAŃCZE Z KOLYMBETRY

Ta niewielka sycylijska dolina jest jak ogród ziemskich rozkoszy. Choć wszystko zaczęło się od ciężkiej pracy kartagińskich niewolników.

DOROTA KOZIŃSKA

BRUNO MORANDI / AFP / EAST NEWS

Cierpliwość pająka" jest ósmym tomem z cyklu powieści kryminalnych Andrei Camilleriego o Salvo Montalbano. Kto czytał poprzednie, ten już wie, że kryzys skomplikowanego związku komisarza z Livią będzie się tylko pogłębiał, a nowe śledztwo prędzej czy później przekreśli nadzieje zaniedbywanej kobiety na rychłą poprawę sytuacji. Livia jednak stara się jak może, kusząc Salva całkiem realną obietnicą ogrodu rozkoszy ziemskich (tutaj w przekładzie Stanisława Kasprzysiaka):

– Odkryłam wspaniałe miejsce, wiesz? – powiedziała. – Nazywa się Kolymbetra. Salvo, pomyśl tylko: wcześniej był tam ogromny zbiornik na wodę, wykuty w skale przez kartagińskich niewolników.

– Gdzie to jest?

– Ciągle w tym samym miejscu, w pobliżu świątyń. Zrobili tam teraz wielki park, piękny, rajski, i od niedawna otwarty dla publiczności.

– Jadłaś coś?

– Tak, jadłam. W Kolymbetrze kupiłam sobie kanapkę. A ty?

Rozkojarzenie komisarza

Camilleri urodził się w Porto Empedocle nad Cieśniną Sycylijską, miasteczku, które posłużyło za pierwowzór fikcyjnej Vigaty z posterunkiem policji, gdzie pracuje komisarz Montalbano. Z kolei Montelusa, dokąd Salvo jeździ z najwyższą niechęcią na spotkania ze swoim zwierzchnikiem, kwestorem Bonettim-Alderighim, zdradza wiele podobieństw z Agrygentem, w którego obrębie leży wspomniana przez Livię Dolina Świątyń wraz z ogrodem Kolymbetra. Oba punkty dzieli dystans niespełna dziesięciu kilometrów. Warto o tym wiedzieć, żeby w pełni zdać sobie sprawę z rozkojarzenia komisarza. Jego pytanie „gdzie to jest?" brzmi równie absurdalnie, jak zabrzmiałoby pytanie rodowitego krakowianina o lokalizację Skałek Twardowskiego. Jeśli cokolwiek usprawiedliwia Montalbano, to tylko okoliczność, że w czasie, gdy rozmawiał z Livią, Kolymbetra rzeczywiście była stosunkowo świeżą atrakcją dla turystów i szukających chwili wytchnienia miejscowych.

Ogród, otwarty z pompą 9 listopada 2001 roku, po dwóch latach żmudnych prac rekonstrukcyjnych, wcześniej leżał odłogiem. Ale tylko przez dwadzieścia lat, odkąd pan Antonino Vella, miejscowy rolnik, przeszedł na emeryturę i przestał doglądać uprawianych w nim drzew owocowych. Historia tego miejsca jest jednak znacznie dłuższa: liczy przeszło dwa i pół tysiąclecia. Livia mówi najszczerszą prawdę. Pomyślcie tylko: pierwszy tę historię opisał Diodor Sycylijski, grecki uczony żyjący w epoce Juliusza Cezara i Oktawiana Augusta, autor „Biblioteki historycznej", największej starożytnej kompilacji źródeł do dziejów powszechnych.

↦

Świątynia Zgody w Dolinie Świątyń koło Agrygentu, Sycylia.

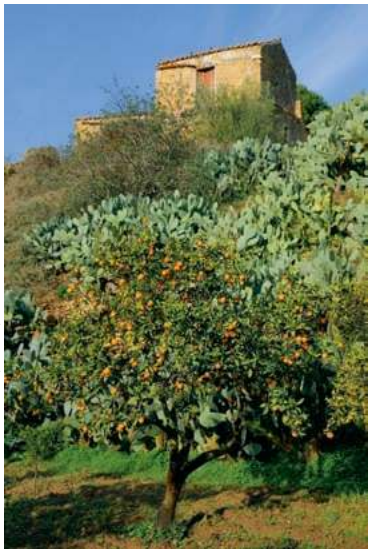

BOISVIEUX CHRISTOPHE / AFP / EAST NEWS

JULIAN JULY / ADOBE STOCK

Na zdjęciach: Ogrody Kolymbetra w Dolinie Świątyń koło Agrygentu, Sycylia.

Miasto pełne jeńców

Nie bądźmy małostkowi jak XIX-wieczni historycy, którzy zarzucali Diodorowi niesumienność i godną pożałowania niedbałość w kwestiach chronologii. Zajrzyjmy do Księgi XI jego *opus vitae*, w której podsumował okres II wojny perskiej, ale w szerszym kontekście, uzupełniając historię konfliktu świata greckiego z imperium Achemenidów informacjami o tym, co działo się wówczas na jego rodzinnej Sycylii.

Otóż w 480 r. p.n.e., ponoć tego samego dnia, kiedy w Zatoce Sarońskiej rozegrała się bitwa pod Salaminą, greckie siły pod wodzą sycylijskich tyranów, Gelona i Terona, rozgromiły pod Himerą armię kartagińską Hamilkara Magonidy. Według Diodora zginęło w niej 150 tysięcy Kartagińczyków; pozostali żołnierze próbowali salwować się ucieczką w góry, ale wkrótce zostali wyłapani i wzięci w niewolę przez mieszkańców Akragas, czyli późniejszego Agrygentu.

„Miasto pełne było jeńców", czytamy u Diodora w przekładzie Ireneusza Ptaszka. „Większość z nich stała się własnością skarbu państwa i to właśnie oni ciosali kamienie, z których zbudowano nie tylko największe świątynie bogów, lecz również podziemną sieć kanałów odprowadzających ścieki z miasta. (...) Akragantyjczycy zbudowali także wielkimi nakładami finansowymi sztuczny staw o obwodzie siedmiu stadiów i głębokości dwudziestu łokci. Doprowadzono doń wodę z rzek i strumieni, po czym go zarybiono. Dostarczał on wielu ryb, zarówno w formie pożywienia, jak i kulinarnych specjałów dla smakoszy. Gdy zaś jeszcze zaczęły gromadzić się nad stawem łabędzie, jego widok stał się naprawdę uroczy. W późniejszym jednak okresie, wskutek zaniedbania, staw stawał się coraz bardziej zapuszczony, aż wreszcie upływ czasu zniszczył go kompletnie. Okoliczne tereny, ze względu na żyzną glebę, zamieniono w winnicę i gęsto obsadzono drzewami różnych gatunków, by uzyskiwać z tych ziem jak największe dochody".

Miejsce do nurkowania

Takie były początki Kolymbetry, czyli po prostu stawu, a ściślej „miejsca do nurkowania", takie jest bowiem dosłowne znaczenie słowa użytego w dziele Diodora. Zanim całkiem zarósł, minęło ponad dwieście lat. Systemy irygacyjne, które z początku doprowadzały deszczówkę do zbiornika, działały jednak bez zarzutu i z czasem sprawdziły się doskonale przy nawadnianiu pól warzywnych i sadów owocowych. Nie sposób dokładnie prześledzić zmian w strukturze upraw prowadzonych w tym czarodziejskim miejscu. Akragas już w czasach tyranów słynęło z produkcji wina, oliwy i zbóż. Kartagińczycy z czasem wzięli odwet za klęskę pod Himerą i przez dwa stulecia sprawowali niepodzielną władzę w mieście. W czasie II wojny punickiej wyparli ich Rzymianie, którzy zaprowadzili tu własne porządki na pięćset lat z górą.

Po upadku cesarstwa zachodniorzymskiego Agrygent kilkakrotnie poddał się najazdom Wandalów i Gotów, ostatecznie wypartych przez Bizancjum. W IX wieku naszej ery miasto opanowali Arabowie. Pod koniec XI stulecia oblicze słonecznej wyspy odmienili „ludzie z północy", czyli Normanowie. Po nich nastali Hiszpanie, sprowadzając na Sycylię rośliny przywiezione z wypraw na kontynent amerykański. Pejzaż rolniczy Kolymbetry kształtował się stopniowo. Do winnic, gajów oliwnych i drzew cytrusowych stopniowo dołączały migdałowce, drzewka pistacjowe, cierniste krzewy granatu, poletka pszenicy, warzywniki z dorodnymi pomidorami, cukiniami i karczochami, plantacje kaparów, ziół i innych przypraw.

Rajski zakątek

W epoce wielkich edukacyjnych podróży po Europie, zapoczątkowanych w połowie XVII wieku i popularnych wśród intelektualistów oraz aspirujących arystokratów aż do pierwszych dekad XIX stulecia, Agrygent stał się jednym z ważniejszych przystanków na szlaku wędrowców złaknionych piękna pejzażu i uroku greckich starożytności.

Obowiązkowe wycieczki w dolinę doryckich świątyń, wzniesionych z miejscowego wapienia o niespotykanej, żółtopomarańczowej barwie, kończyły się z reguły w Kolymbetrze, gdzie młodociani esteci musieli się zmierzyć z kolejnym zachwytem – często przerastającym wszystko, czego do tej pory doświadczyli. Jean-Claude Richard, francuski malarz i grafik, znany pod mylącym przydomkiem „*Abbé de Saint-Non*",

ponieważ rodzina zamierzała go posłać do życia w klasztorze, dotarł tu po raz pierwszy w latach 60. XVIII wieku – w towarzystwie innego artysty, Jeana-Honoré Fragonarda, przyjaciela z Akademii Francuskiej w Rzymie. To właśnie jemu – obok świadectwa angielskiego poety Swinburne'a – zawdzięczamy jeden z najbardziej zmysłowych opisów Kolymbetry, zakończony słowami: „ta niewielka dolina jest niczym Ogród Edenu, niczym rajski zakątek Ziemi Obiecanej".

To właśnie niezmierzone bogactwo cytrusów ściąga tu najwięcej turystów: oszołomionych zapachem kwiatów i owoców, którym mogą nacieszyć się też w domu, zaopatrzywszy się w w miody, kremy i marmolady.

Sprzątanie stajni

Rekonstrukcja zapomnianego raju była naturalną konsekwencją wpisania Valle dei Templi na listę światowego dziedzictwa UNESCO w 1997 r. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno w Kolymbetrze piętrzyły się stosy śmieci pozostawionych przez turystów – pod gołym niebem, tuż za czterema narożnymi kolumnami, jakie pozostały z dawnej świątyni Dioskurów. Urodzajne niegdyś poletka zarosła plątanina jeżyn, w drożnych przez tysiąclecia kanałach irygacyjnych pieniły się cuchnące ścieki, pozostałe przy życiu drzewa – nieraz kilkusetletnie – wymagały natychmiastowej interwencji dendrologów.

Eksperci zarządzili wielkie sprzątanie tej stajni Augiasza i założyli na jej miejscu rajską oazę bioróżnorodności, uzupełniając stare nasadzenia zaroślami głogu, kosmatki i nieszpułki, skupiskami drzew jarząbu i pigwowca, przycupniętymi na zboczach doliny krzewami żarnowca, mirtu i szakłaka. Najwięcej uwagi poświęcili jednak odtworzeniu sadów cytrusowych, w których rośnie dziś kilkanaście odmian pomarańczy (od krwistych Sanguigno Doppio po niewiarygodnie słodkie Vaniglia Apireno), słynne syrakuzańskie cytryny Feminello, które kwitną co miesiąc i wydają owoce praktycznie przez cały rok, oraz bezpestkowe mandarynki Avana.

To właśnie niezmierzone bogactwo cytrusów ściąga do Kolymbetry najwięcej turystów: oszołomionych zapachem kwiatów i dojrzewających owoców, którym mogą nacieszyć się później w domu, zaopatrzywszy się w ogrodowym sklepiku w słynne miody, kremy i marmolady, a także smakowite i aromatyczne ciasteczka maślane, pieczone na równie aromatycznych, jadalnych liściach z drzewek pomarańczowych.

Zakazane owoce

Ściągnęło także nas dwoje z przyjacielem, w Poniedziałek Wielkanocny, pierwszy prawdziwie ciepły i słoneczny dzień tegorocznej sycylijskiej wiosny. Odurzeni wonią drobniutkich, fioletowo-niebieskich kwiatów rozmarynu, rosnącego szpalerem u samego wejścia do Kolymbetry, istotnie poczuliśmy się jak w Ziemi Obiecanej. Zmożeni upałem po wizycie w warzywniku, schroniliśmy się w cień cytrusowego sadu, gdzie skorzystaliśmy z najwspanialszego przywileju dla zbłąkanych w dolinę turystów: możliwości uraczenia się opadłymi z drzew owocami, zanim inni smakosze odnajdą je w wilgotnej ściółce. Udało nam się dopaść trzy pomarańcze: soczyste, ze spękaną od gorąca skórką, którą dało się obrać bez trudu palcami. Każda z nich była warta poematu Swinburne'a. Każda pozostawiła nam w ustach wyczuwalny do dziś posmak zakazanego owocu Edenu.

Livia przyjechała godzinę później i zobaczyła, że komisarz patrzy na morze. Nie sprawiała wrażenia rozgoryczonej.

– Gdzie byłaś?

– Pojechałam odwiedzić Bebę, a potem wpadłam do Kolymbetry. Musisz mi obiecać, że prędzej czy później też się tam wybierzesz. A ty? Nawet nie zadzwoniłeś, żeby mi dać znać, że nie przyjedziesz na obiad.

– Przepraszam, Livio, ale...

– Nie tłumacz się, nie mam najmniejszej ochoty się z tobą sprzeczać. To są ostatnie godziny, jakie spędzamy razem. Nie zamierzam ich popsuć.

Teraz już wiem, dlaczego związek Livii i Salva nie miał przed sobą żadnej przyszłości.

© DOROTA KOZIŃSKA

REKLAMA

STANISŁAW

Mancewicz:
Tygrys

Od zarania interesujemy się potencjałem śmieszności. Od wielu dekad oglądamy pod tym kątem świat, a zwłaszcza wszechświat polski. Rzecz jasna, nie bez powodu.

Podobnie jak sejsmolodzy przypatrujący się kalderom wokół Wezuwiusza, obliczamy, kiedy nadejdzie dzień zmiany, erupcji totalnej, kiedy to pióropusze magmy wytrysną w niebo, a morze czerwonej lawy przekroczy wpierw Alpy, a później pasmo naszych malowniczych Karpat – gdzieś, powiedzmy, w okolicach Chyżnego – i dotrze aż do plaż bałtyckich, zamieniając po drodze wszelkie białko w białko na twardo. Każdy przyzna, że nakreślony teraz, może w pośpiechu, krajobraz totalny musi przestraszyć wszystkich, nawet zwolenników ugrupowań mających do swych statutów wpisany dowolny heroizm. Mówiąc wprost: śmieszność, gdy już się zdarzy, jest znakiem przejmującym i zapisującym się na wieki w historii, jak ów wybuch wulkanu.

Trudno w Polsce, jeśli idzie o śmieszność, przejść do konkretu. Zaraz ktoś powie bądź wyliczy: jeszcze to przecież, i to, i tamto. Musimy więc gwarzyć ogólnie. O potencjale albo jego ciekawym braku. Weźmy polski kabaret ostatnich dwóch albo i trzech dekad czy moc tutejszej satyry. Otóż kabaret to gatunek rozrywki niemający w Polsce żadnego potencjału śmieszności. Rzec to trzeba twardo. A weźmy dla odmiany rząd polski i jego funkcjonariuszy. Tu na odwrót, potencjał śmieszności jest kolosalny. Słowem: coś, co ma być z definicji śmieszne, śmieszne nie jest, a coś, co ma być poważne i od śmieszności najdalsze, jest śmieszne niemal zawsze, w niemal każdym zdarzeniu. Prezydent krajowy – popatrzmy – tak samo. Dziewięć na dziesięć jego prób aktywności, czy to fizycznej, czy umysłowej, jest śmieszne. Albo ma potencjał, by się śmiesznym stać zaraz. Nie przeczą temu nawet jego najzagorzalsi wielbiciele. Idźmyż dalej.

Najsroższy człowiek w Polsce, którego życie polega na przeczeniu własnej śmieszności, jest kompletnie i w każdym sensie śmieszny. Od rana do wieczora. Wystarczy przez chwilę w ową perswazję, że jest poważny i srogi, nie wierzyć. I co? Jest bardzo śmieszny. Ta śmieszność przechodzi ludzkie pojęcie o polskiej historii, o najsroższych postaciach w naszych dziejach, może dlatego, że nie mieliśmy ich zbyt wielu i pewnie dlatego, że wszyscy byli mniej śmieszni. Ktoś powie teraz, że się mylimy, że próbujemy zlekceważyć wiejącą zewsząd grozę, osłabić ją, że chcemy anulować rzeczywistość. Ten ktoś jednak nie wie, że śmieszność nie wyklucza straszności. Śmieszno i straszno – to pomieszanie poznawcze w życiu człowieczym nienowe. Na dowód chciałoby się tu natychmiast przytoczyć stareńką, sławną rosyjską opinię na temat obcowania z tygrysem – rzecz jasna, nie możemy tego zrobić z przyczyn od nas niezależnych. Każdy może sobie ją wyklikać i zapoznać się z jej słusznością, na własne ryzyko i odpowiedzialność.

Słowem, jest i straszno, i śmieszno właśnie. A im straszniej, tym śmieszniej. I jest to bodaj skłonność tutejsza, wschodnioeuropejska. Budowanie aury strachu w oparciu o groteskę jest wynalazkiem nienowym, ale wciąż zaskakującym, starym, a jednak opartym na nieprzebranych możliwościach stawania się i śmiesznym, i wobec śmieszności. Nikt nie lubi być śmieszny. Zwłaszcza my, tu mieszkający, pomiędzy pachnącymi dorzeczami Odry i Bugu, pomiędzy pasmem Karpat, znad których unosi się teraz ku niebiosom puszczone najgłośniej disco polo, aż po wspomniane tu już oślepiająco białe plaże, sponad których takoż bije w niebo disco polo, ale w wersji morskiej. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

Czytanie cieszy oczy!

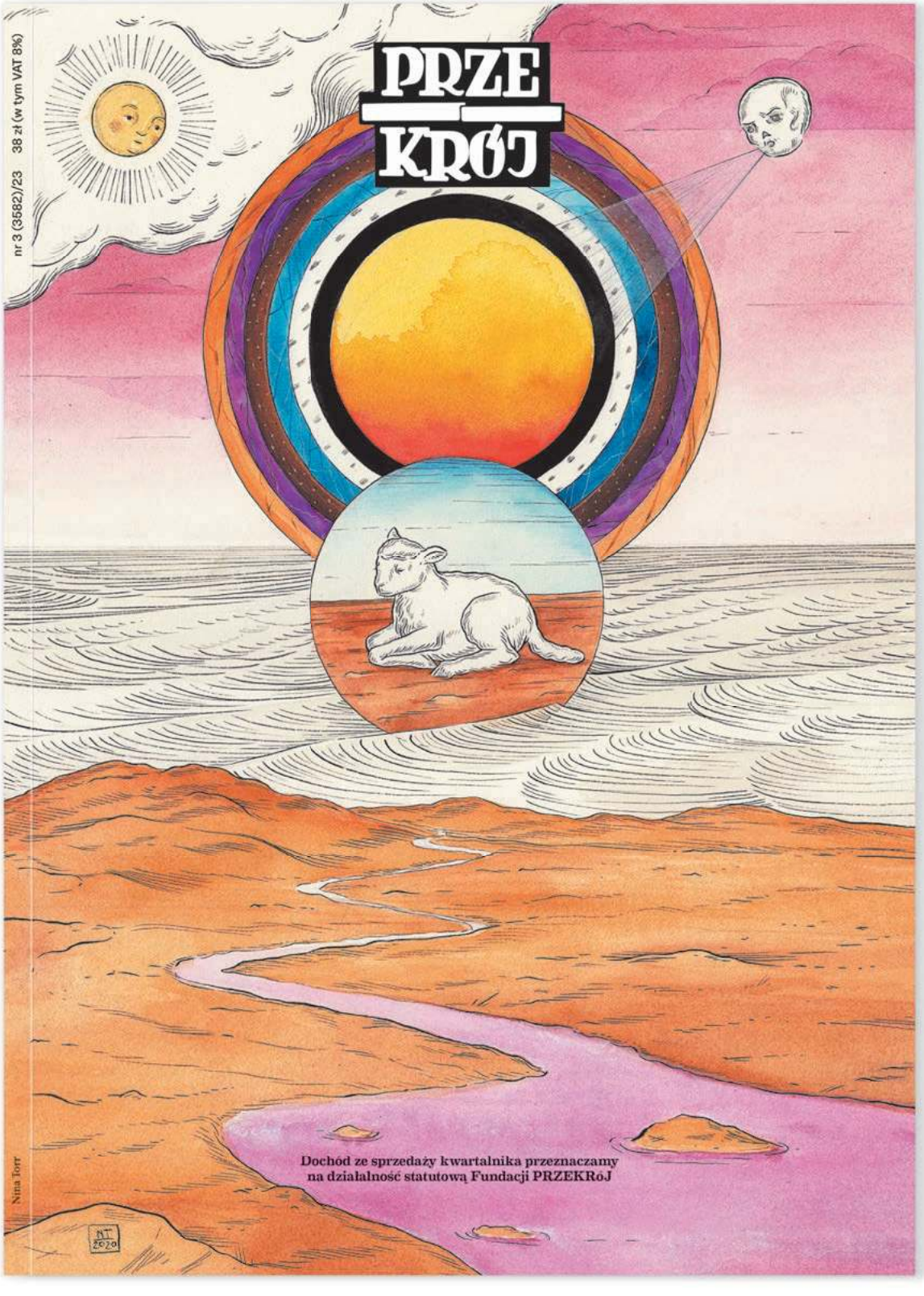

Kup na przekroj.pl